

Detektyw Monk i straż pożarna

Detektyw Monk jedzie na Hawaje

Detektyw Monk i dwie asystentki

Detektyw Monk i kosmos

Detektyw Monk jedzie do Niemiec

Detektyw Monk jedzie do Paryża

Detektyw Monk i brudny glina

Lee Goldberg

Na podstawie serialu telewizyjnego Andy'ego Breckmana

Detektyw Monk w Opalach

Podziękowania i nota autora

Spora część akcji powieści rozgrywa się w Opałach, fikcyjnym miasteczku górniczym w Kalifornii, w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. W związku z tym pozwoliłem sobie na parę historycznych i geograficznych dowolności, aby zadowolić swoje twórcze potrzeby. Mam nadzieję, że czytelnicy mi to wybaczą.

Winny jestem podziękowania D.P. Lyle'owi i Katherine Ramsland za ich porady z zakresu medycyny i medycyny sądowej; Richardowi S. Wheelerowi, Kenowi Hodgsonowi oraz Jamesowi L. Reasonerowi za ich mądrość w dziedzinie prac kopalnianych w czasie gorączki złota oraz Dzikiego Zachodu; Williamowi Rabkinowi, Grantowi Loganowi oraz Ripleyowi Hilliardowi za pomoc w odkryciu legendy Złotego Ekspresu; Davidowi Breckmanowi za entuzjazm, jaki okazywał przy powstawaniu książki (także za istotny wkład w postaci pewnego bardzo śmiesznego dowcipu); wreszcie moim przyjaciółom Andy'emu Breckmanowi, Kristen Weber, Kerry Donovan i Ginie Maccoby za nieustające wsparcie.

W czasie przygotowań do pracy nad *Monkiem w Opałach* kilka książek okazało się szczególnie pomocnych: *California Gold and the Highgraders* autorstwa F.D. Calhouna, *The Writer's Guide to Eve-*

ryday Life in the Wild West, pióra Candy Moulton, *How the West Was Worn* Chrisa Enssa, *Black Powder and Hand Steel* oraz *Western Mining* Otisa E. Younga Juniora, a także dwa tomy serii wydawniczej *Time-Life Old West Series: The Forty-Niners* Williama Webera Johnsona oraz *Miners* Roberta Wallace'a.

Akcja tej powieści dzieje się po wydarzeniach w książce *Monk i brudny glina*, a przed wydarzeniami przedstawianymi w ostatnim sezonie z zaplanowanych telewizyjnych przygód detektywa Mońka.

Przez wiele lat w serialu telewizyjnym, jak również we wszystkich moich poprzednich książkach, Monk pił wyłącznie butelkowaną wodę Sierra Springs. Jednak ostatnio producenci filmowi, bez żadnego wyjaśnienia, nieoczekiwanie zmienili markę ulubionej wody Monka z Sierra Springs, która rzeczywiście istnieje, na nieistniejącą markę Summit Creek. W książce dokonałem takiej samej zmiany.

Chociaż czynię, co w mojej mocy, aby w książkach zachować zgodność fabularną ze scenariuszami serialu telewizyjnego, jednak nie zawsze jest to możliwe, biorąc pod uwagę długi okres między ukończeniem książki a jej publikacją. W tym czasie na ekranie telewizorów mogą się pojawić odcinki, w których znajdują się szczegóły i sytuacje kłócące się z treścią książek. Jeśli natkniesz się, drogi czytelniku, na tego rodzaju sprzeczności, będę ci wdzięczny za wyrozumiałość.

Pamiętajcie, że zawsze liczę na waszą wizytę na stronie www.leegoldberg.com!

Prolog

Nadzwyczajny pan Monk

Opaty, Kalifornia 1855
(Z pamiętników Abigail Guthrie)

Mojego męża, Hanka Guthrie, zabiło marzenie, zanim skończył dwadzieścia pięć lat.

Tyraliśmy na kawałku jałowej ziemi w Kansas, daremnie próbując przemienić ją w farmę, kiedy Hank przeczytał gdzieś o całym tym złocie, którym obsypane są ziemie dalekiej Kalifornii.

Gazety rozpisywały się, że dna tamtejszych rzek pokryte są złotem i każdy, komu nie brakuje pary rąk, łopaty i misy do płukania piasku, bez wysiłku może zarobić co najmniej sto dolarów dziennie. Brzmiało zbyt pięknie, aby mogło być prawdziwe, jednak nie uchroniło to rzeszy biedujących farmerów od złapania gorączki złota.

Należał do nich również mój Hank.

Próbowałam przemówić mu do rozsądku, ale w jego głowie było wyłącznie jedno: jak najprędzej porzucić farmę, spakować cały nasz skromny dobytek i wyruszyć na zachód, w kierunku Kalifornii.

Właściwie trudno mi go winić za to, że tak bardzo tego pragnął.

Jeśli człowiek żyły z siebie wypruwa, na próżno się trzudząc, aby jakieś ziarno wyrosło na glebie tak

suchej, nieurodzajnej i odpornej jak moja stara babcia, to w końcu zaczyna wierzyć, że musi być łatwiejszy sposób na życie.

Wiedziałam, że Kalifornia nie może być takim złotym rajem, jak opisywały to gazety, ale doszłam do przekonania, że gorzej, niż jest, być już nie może. Poza tym wpajano mi od zawsze, że żona powinna być posłuszna mężowi, choćby był głupi jak but i uparty jak osioł.

Tak więc w 1852 roku zebraliśmy się z czterema innymi rodzinami i ruszyliśmy na zachód. W czasie długiej, ciężkiej wędrówki straciliśmy niemal całe bydło, musieliśmy wyrzucić piec kuchenny, naczynia, świeczniki mojej mamy i właściwie wszystkie inne cięższe rzeczy. Utrata przedmiotów była jednak niczym wobec strat w ludziach. Połowa uczestników wyprawy zmarła na cholera.

Całą drogę na zachód, od Kansas po Kalifornię, znaczyły przedmioty wyrzucone przez ludzi, samotne groby i zwierzęce szkielety. Niejeden raz podczas długich, okrutnych miesięcy zastanawiałam się, jak wielkie bogactwo u kresu podróży mogłoby wyrównać poniesione przez nas straty.

Brałam to wszystko za złą wróżbę na przyszłość. Jakby tego było mało, pierwsza kalifornijska osada górnicza, do której się wtoczyliśmy, nazywała się po prostu Opały.

O wiele bardziej wolałabym się zatrzymać w miejscu o nazwie Możliwość, Szczęście albo Błogostan, ale z drugiej strony, jak sądzę, mogło być znacznie gorzej. Osada mogła nosić nazwę Płonność, Nędza lub choćby Konanie, co zresztą dokładniej ilustrowałoby to, co nas miało czekać.

Z pewnością nie było to urocze miejsce. Główną

ulicę stanowiło grzęzawisko błota, trocin, kamieni i końskich odchodów, w poprzek którego biegła czasem deska lub dwie, by w miarę umożliwić przejście na drugą stronę.

Wszystko wokół robiło wrażenie, jakby zostało wzniesione w ogromnym, pośpiechu przez ludzi, którzy mają mało uważania dla wyglądu zewnętrznego, niewiele umiejętności budowlanych i nie zawracają sobie głowy trwałością rzeczy.

Większość budynków była parterowa, zbudowana z okrągłych belek, z drewnianymi witrynami o wysokich, płaskich gzymsach różnej szerokości. Było też parę szop zbitych z desek, parę szalasów, a nawet namiotów różnego rodzaju. Niektóre z nich zbudowane były prymitywnie z konarów i starych perkallowych koszul. Budynek hotelu, dwukondygnacyjny, z zapadającą się werandą, wyraźnie chylił się w jedną stronę. Z obu stron ulicy ciągnęły się drewniane podesty służące jako chodnik, przy których stało mnóstwo słupków do wiązania koni.

Nie widziałam nigdzie kościoła, ale niewykluczone, że w jednym z namiotów siedział jakiś kaznodzieja czy nawet dwóch. Doświadczenie podpowiadało mi, że tam, gdzie są whiskey i pieniądze, tam zawsze znajdują się hazardziści i kaznodzieje.

Ludzie na ulicy wyglądali tak, jakby przed chwilą wyczołgali się z grobów. Wszyscy byli pokryci kurzem - przylegał do ich wystrzępionych wełnianych koszul i połatanych krótkich spodni, okrywał ich długie, rzadkie brody i poszarpane kapelusze, przy wierał do długich włosów, zaczesanych do tyłu z użyciem smaru z kół powozu konnego.

Jeśli przemieszkiwały tu również kobiety albo pozostawały w ukryciu, albo nie wypelzły jeszcze ze

swoich grobów. Zresztą, patrząc na brać męską, nie dziwię się kobietom, że wołały się nie pokazywać.

Jedynym dowodem jakiegokolwiek prosperity w osadzie było samo jej istnienie, a trzeba powiedzieć, że mimo całej swojej szpetoty był to dowód istotny. Opały w ogóle by się nie rozwijały, a nawet by nie zaistniały, gdyby w okolicy nie było złota.

Bez problemu mogliśmy z Hankiem minąć osadę i wędrować dalej, prawdopodobnie powinniśmy byli tak zrobić, ale Hank nie mógł się doczekać, by zanurzyć wreszcie w rzece swoją misę. Już podczas pierwszego wypłukiwania znalazł wśród grudek żwiru parę złotych płatków i wpadł w taką euforię, że natychmiast zgłosił roszczenie do działki, przekonany, że siedzimy na kopalni złota.

Nie siedzieliśmy.

Kiedy się okazało, że ten odcinek nic nam nie przynosi, wędrowaliśmy to w górę, to w dół rzeki, nigdy nie oddalając się zbyt daleko od Opała, zgłaszając prawo do kolejnych działek, w nieustannej nadziei, że od bogactwa dzieli nas ta jedna, następna misa przepłukanego piasku.

Nie znaleźliśmy się dobrze na geologii, ale szybko się nauczyliśmy, że złoto najłatwiej można znaleźć na płycznach, wśród naniesionych przez nurt otoczków, gdzie rzeka się poszerza i tworzy zakole lub gdzie kiedyś takie zakole było. Złoto, kruszec cięższy od pozostałych minerałów, osiada na dnie w postaci płatków lub grudek, niekiedy tuż pod powierzchnią wody, a czasem głębiej.

Złoto nietrudno było rozpoznać. Najpierw oczywiście rzucał się w oczy kolor, potem miękkość, którą się wyczuwało, kładąc grudkę między zęby, choć nie powiem, żebyśmy wiele takich grudek znaleźli.

Złoto było, to nie ulegało wątpliwości, ale wydobyć go z ziemi w takich ilościach, żeby starczyło na dostatnie życie, było krwawicą o wiele cięższą niż gospodarowanie na farmie. Jednak takich ludzi jak Hank gorączka złota napędzała mocniej niż praca na roli. Zbyt wiele osób wokół nas bogaciło się dosłownie z dnia na dzień, aby Hank mógł przestać wierzyć, że również jego kiedyś to spotka. Ta gorączka przesłoniła mu ból, daremność trudu, nędzę i żnój.

Mnie gorączka nie ogarnęła, ale miałam u boku mężczyznę, którego kochałam i z którym łączył mnie węzeł małżeński. Walka o niego i nasze małżeństwo dodawała mi sił.

Mieszkaliśmy w namiocie, więc mogliśmy się swobodnie przemieszczać tam, gdzie miało być złoto. Hank pracował stale na działce, a ja utrzymywałam dom, przygotowywałam posiłki, a czasem, w zamian za różne potrzebne nam przedmioty, łątałam i cerowałam ubrania innym poszukiwaczom złota.

Jeśli człowiek chciał przeżyć i odłożyć coś na przyszłe życie, musiał wypłukać od pół uncji do uncji złota dziennie, co było równoważnością szesnastu dolarów.

Nam jednak nie udawało się wypłukać więcej złota niż równoważność sześciu dolarów dziennie, ledwie sześć szczypt złotego pyłu, za co, wobec cen dochodzących do dolara za butelkę melasy czy pięćdziesięciu centów za pół kilograma mąki, ledwie mogliśmy się wyżywić.

Zwykle nasza torebka mąki warta była więcej niż nasz mieszek złota. Starłam się przekonać Hanka, że czas rzucić poszukiwania i zająć się czymś innym. Spieraliśmy się na ten temat przez większą część pierwszego roku, aż w końcu uległam i postanowiłam robić, co w mojej mocy, aby wspierać męża

bez względu na to, jak mylne wydawały mi się jego zamiary. Przecież, jak mnie nauczono, tak powinna postępować dobra żona.

Dwa lata codziennego płukania piasku w zimnej wodzie sprawiły w końcu, że Hank miał stale opuchnięte stawy i zaczął się garbić. Niebawem jego stan tak się pogorszył, że nie mógł stać i z trudem oddychał. Ale nawet wówczas, mimo wszystkich dolegliwości, najbardziej dokuczało mu pragnienie dalszego wypłukiwania złota.

Podobno zabiła go gorączka reumatyczna, ale ja wiem swoje.

Zabiło go marzenie o złocie.

Po śmierci męża zostałam zupełnie sama, choć nie z pustymi rękami. Miałam prawo do działki, namiot i narzędzia Hanka. Nie były one jednak warte worka ziemniaków. Jediną wartościową rzeczą, jaka mi pozostała, było moje ciało.

Kobiety należały w Opałach do rzadkości, zatem z chwilą złożenia Hanka do grobu stałam się równie rzadkim i ekskluzywnym towarem jak złoto.

Istniało parę sposobów, w jakie mogłam tę wartość wykorzystać.

Mogłam poślubić jakiegoś bogatego mężczyznę, których jednak nie było wielu, a większość z nich mieszkała już w pięknych domach w San Francisco, każąc innym harować na siebie w kopalniach.

Mogłam się też zainteresować jednym z mniej zamożnych mężczyzn, których było na pęczki, a którzy za szczyptę lub dwie złote pyłu chętni byli nacieszyć się przez krótką chwilę względami kobiet.

Kobiety, które wchodziły w tego rodzaju wymianę barterową, nazywano paniami lekkich obyczajów i mieszkały one zazwyczaj w pokojach na tyłach sa-

loonu. Ogólnie rzecz biorąc, cieszyły się większym poważaniem niż kobiety tej profesji na wschodzie kraju, być może dlatego, że populację Opał stanowili przede wszystkim samotni mężczyźni, pogrążeni w desperackiej potrzebie ich usług. Być może tłumaczy to również, dlaczego używki i pewne nadużycia, których w moich rodzinnych stronach nie tolerowano, w osadach wokół kopalń uchodziły za coś normalnego, czy to chodziło o nadmierne picie, hazard, nierząd czy wręcz morderstwo.

Niektóre z pań lekkich obyczajów całkiem dobrze sobie radziły. Zarabiały wystarczająco dużo, aby móc się samodzielnie utrzymywać do czasu znalezienia mężczyzny posiadającego dużo złota - najczęściej o równie mało wymagających standardach moralnych. Mogły go wtedy poślubić i żyć dalej. Nie mogłam się jednak oprzeć wrażeniu, że większość tych kobiet umierała młodo, nie doczekawszy bogatego męża, pokonana przez kiłę, aborcje lub chęć popełnienia samobójstwa za pomocą dawki laudanum.

Postanowiłam więc zarabiać na życie, szyjąc i piorąc rzeczy górnikom. Niestety niewielu mężczyzn było gotowych wydać swój ciężko zapracowany złoty pył na coś tak frywolnego jak czyste spodnie i koszula, które następnego dnia znowu miały być brudne. Uznawali, że lepiej wydać złoto na whiskey, jedzenie i panie lekkich obyczajów.

Był jednak pewien nadzwyczajny człowiek, zupełnie niepospolity, który czystość i porządek cenił ponad wszystko.

Mówię, rzecz jasna, o Artemisie Monku, jedynym w miasteczku probiercy złota.

Słyszałam gdzieś, że zawód probiercy - polegający na badaniu grudek minerałów oraz ustalaniu ich

składu - jest trzecim najstarszym zawodem świata po zawodzie lekarza i kobiety lekkich obyczajów.

Wszyscy poszukiwacze i górnicy przychodzili do Monka z grudkami, aby ten mógł stwierdzić, ile jest w nich złota oraz jaką przedstawia ono jakość, i aby mógł z grubsza oszacować potencjalny zysk z działki, do której patent zgłaszał prawa. Taka funkcja czyniła Monka bez mała drugim albo trzecim najważniejszym człowiekiem w Opalach.

Musiała być coś bardzo osobliwego w geologicznej strukturze miasteczka lub coś nadzwyczajnego w analizach Monka, ponieważ w próbkach, które przynoszono mu do zbadania, różnego rodzaju minerały objawiały się zawsze w równych ilościach. Monk tłumaczył to „niezmienną równowagą natury”, ale jeśli to prawda, to reszta świata musiała być mocno nierównoważona.

Dziwne czy nie, fakt pozostawał faktem, że w kwestii szacunkowych dochodów z działki Monk nie mylił się nigdy i każdy z tych nielicznych poszukiwaczy, którzy postanowili podważyć jego wnioski, koniec końców odczuwał to na własnej skórze.

Ale nawet gdybyś nigdy nie wchodził z nim w interesy, z pewnością wiedziałbyś, o kim mowa. Artemis Monk się wyróżniał. Był jedynym gładko ogolonym mężczyzną w osadzie, włosy miał zawsze starannie przystrzyżone i codziennie brał ciepłą kąpiel, co już samo w sobie było zdumiewające. Chodził stale tak samo ubrany - filcowy kapelusz typu „derby” z kopulastą główką i wąskim, okrągłym rondem, zapięta pod szyję biała koszula z długimi rękawami, kamizelka z czterema kieszonkami i czterema guzikami, wełniane spodnie i sztywne, czarne buty.

Ubranie miał zawsze czyste. Wiedziałam o tym

bardzo dobrze, ponieważ sama je prałam - choć nie powiem, bym znalazła na nim kiedykolwiek pyłek kurzu lub choćby drobną plamę. Przynosił je czyste i równiutko złożone. Rzeczy wyglądały tak, jakby w ogóle nie były rozkładane, nie mówiąc już o tym, że noszone, ale doszłam do wniosku, że jeśli chce, żebym prała mu czyste rzeczy, to jego sprawa. Moje położenie nie pozwalało mi odrzucać żadnej oferty pracy.

Monk wydawał się bardzo zadowolony z efektów mojego prania i przychodził do mojego namiotu nad rzeką niemal w każdy ranek. Nigdy nie widziałam go w siodle ani nawet w bezpośredniej bliskości konia. Zwierzęta zdawały się budzić w nim wstręt. Poruszały się pieszo, a na dłuższych odcinkach pociągami.

Pewnego dnia znowu przyszedł pod mój namiot, ale ponieważ nie było mnie nad rzeką, a namiot świecił pustkami, zaczął mnie szukać w całym mieście. Znalazł mnie przed jednym z saloonów z walizką przy nodze.

Próbowałam pozbyć się wszystkich uprzedzeń i rozpocząć życie pani lekkich obyczajów. Monk nie miał wątpliwości, co mi chodziło po głowie.

- Nie może pani tego robić - oznajmił.
- Nie mam wyboru, panie Monk. To jedyna wartośćowa rzecz, jaką mogę oferować na sprzedaż.
- Potrafi pani znakomicie pracować - zapewnił. - Nikt nie robi tego lepiej od pani.
- Jakoś trudno z tego żyć.
- Ale pani jest mi bardzo potrzebna.
- A mi potrzebne jest jedzenie, ciepłe miejsce do spania i dach nad głową.
- Załatwione.

Odwróciłam zdziwioną głowę, aby na niego spojrzeć.

- Co pan powiedział?
- Zatrudniam panią - oświadczył pan Monk. -
Może pani zamieszkać w pustym pokoju w moim
biurze.

Przyjrzałam mu się podejrzliwie.

- Czego pan oczekuje w zamian, panie Monk?
- Nie tego, co jest pani gotowa robić tutaj, pani
Guthrie - odpowiedział szybko, czyniąc głową gest w
kierunku saloonu. - Potrzebna mi asystentka, abym
mógł utrzymywać swoje życie w ładzie i czystości.
Przy takim nawale pracy coraz trudniej sobie z tym
radzę.

Wynagrodzenie uzgodniliśmy w takiej wysokości,
żebym mogła się z niego skromnie utrzymywać, a
zarazem trochę odkładać, by móc któregoś dnia
wrócić do Kansas.

Monk przystał na moje warunki tak skwapliwie,
że zastanawiałam się, czy nie podałam zbyt niskiej
stawki za swoją pracę. Jednak byłam tak wdzięczna
za nieoczekiwaną propozycję, że jeszcze tego samego
dnia wprowadziłam się do jego biura.

Była to absolutnie czysta i cnotliwa ugoda, choć je-
stem pewna, że w miasteczku nikt w to nie uwierzył.

Ale nie obchodziło mnie, co ludzie myśleli. Dla
mnie najważniejsze było to, że nie musiałam zosta-
wać panią lekkich obyczajów, w każdym razie jesz-
cze nie teraz.

Niebawem odkryłam, że utrzymywanie życia pana
Monka w ładzie i czystości daleko wykraczało poza
zwykłe obowiązki domowe, a jego umiejętności oraz
usługi świadczone na rzecz lokalnej społeczności obej-
mowały o wiele więcej niż ustalanie ilości cennego
kruszcza w skalnych grudkach.

Artemis Monk rozwiązywał zagadki kryminalne.

1

Detektyw Monk i psikus

Adrian Monk nie cierpiał Halloween.

Nie znosił, kiedy do domu przychodzili obcy ludzie, bał się dzieci (nazywał je „dwunożnymi szczurami” i „roznosicielami zarazy”), a zabawę „cukierek albo psikus” uważał za wymuszenie rozbójnicze. Halloweenowy wieczór zawsze staram się spędzać z Monkiem, aby uchronić go przed niepotrzebnymi kłopotami.

Właściwie robię to na co dzień jako jego pełnoetatowa asystentka. Monk cierpi na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne i posiada encyklopedyczną listę fobii, które czynią jego życie prawdziwym wyzwaniem dla niego i wszystkich dookoła, zwłaszcza wówczas, gdy Departament Policji San Francisco, którego Monk jest konsultantem, zleca mu śledztwo w sprawie zabójstwa.

Ale towarzyszenie Adrianowi Monkowi w Halloween to coś znacznie więcej niż służbowe nadgodziny.

Wydawać by się mogło, że teraz, kiedy moja córka, Julie, była już nastolatką i wyrosła z cukierkowych psot, Halloween wreszcie mógł przestać być dla mnie niewdzięcznym obowiązkiem, tymczasem wciąż nie było mi dane zaznać uciech tego święta. O wiele bardziej wołałabym spędzić ten wieczór na

fajnej imprezie z przyjaciółmi, jak Julie, lub choćby siedzieć w domu i otwierać drzwi przychodzącym po słodczyce maluchom.

Oczywiście mogło być jeszcze gorzej. Przynajmniej nie spędzaliśmy święta w domu Ambrose'a, cierpiącego na agorafobię brata Monka, jak to się zdarzyło parę lat wcześniej. Ambrose o mały włos nie został wtedy zamordowany przez niepoczytalnego zabójcę, który podał mu zatrutego cukierka, ale to już zupełnie inna historia.

Chcę powiedzieć tylko tyle, że jeśli człowiek może tego uniknąć, to za żadne skarby nie powinien spędzać Halloween z Monkiem, ponieważ ma jak w banku, że albo naje się wstydu, albo będzie świadkiem morderstwa - a najpewniej spotka go jedno i drugie.

Mimo wszystko miałam nadzieję, że tamten Halloween się nie powtórzy i będzie normalnie. Monk także wiele po tym wieczorze nie oczekiwał. Jak zwykle stanął nieruchomo w korytarzu, gdy tylko zapadł zmierzch, spoglądając czujnie na drzwi wejściowe.

- Nie musi pan stać przed drzwiami - powiedziałam.

Leżałam z podwiniętymi nogami na kanapie i przeglądałam brukowe czasopisma, które zabrałam, aby uzupełnić istotne luki w wiedzy. W „National Inquirer” pojawił się duży, ważny materiał na temat tego, jak gwiazdy hollywoodzkie wyglądają bez makijażu. Z kolei w „Star” można było przeczytać, kto co zrobił ze swoim ciałem i w którym miejscu.

- Przyjdą- stwierdził Monk. - Wiem, że przyjdą.
- Nie trzeba być detektywem, żeby to wiedzieć, panie Monk - odparłam. - Dzisiaj mamy Halloween.
- Wieczór niekończącego się horroru.

- Istotnie, o to chodzi w tej zabawie - przyznałam.

W Halloween łatwo byłoby się przebrać za Monka, ponieważ jego styl ubierania był tak sztywny i konsekwentny, że Monk praktycznie chodził w uniformie. Koszule miał zawsze ze stuprocentowej bawełny, zawsze w złamanej bieli, zawsze z dokładnie ośmioma zapiętymi pod szyję guzikami i rozmiarem kołnierzyka czterdzieści. Chodził w brązowej marynarce, na nogach miał brązowe, zawiązane na idealne kokardki, skórzane buty marki Hush Puppies, a jego spodnie z zaprasowanymi zakładkami niezmiennie posiadały w pasie osiem, nie siedem, szlufek.

Monk zajmował parterowe mieszkanie z oknami od ulicy w dwukondygnacyjnym apartamentowcu w stylu „deco”. Uwielbiał budynek ze względu na jego opływowe kształty i doskonałą symetrię.

Dzielnica, w której mieszkał Monk, jakimś cudem zachowała zaciszny, ciepły urok, eklektyczne przemieszanie architektonicznych stylów i ceny mieszkań na kieszeń średniej klasy społecznej, mimo że dosłownie parę ulic dalej zaczynało się Pacific Heights, dzielnica starych, wielkich fortun rodzinnych, słynąca z misternie zdobionych wiktoriańskich domów, wypieszczonych ogródków i wspaniałych widoków na zatokę.

Większość mieszkańców ulicy Mońka dobrze wiedziała, że w Halloween nie należy pukać do drzwi jego domu, ale każdego roku zawsze znalazł się ktoś nowy, do którego nie dotarły jeszcze szeptane wieści.

Miałam głęboką nadzieję, że tej nocy wieści zdążyły dotrzeć do wszystkich.

- Na ulicy roi się od potworów - powiedział Monk, patrząc nerwowo przez judasza w drzwiach.

- To dzieci w maskach.

- Oczywiście - sarknął, spoglądając na mnie spod łba. - Żeby nikt nie mógł ich zidentyfikować.

- Nie robią nic wbrew prawu, panie Monk - przekonywałam.

- Chcą mnie zastraszyć. To czysty terror, a terror to przestępstwo. Jestem pewien, że tak właśnie zaczynał Osama bin Laden.

- Cukierek albo psikus?

- Bardzo prawdopodobne.

W tej chwili rozległ się dzwonek i Monk sięgnął do klamki. Zerwałam się z kanapy i podeszłam do niego, kiedy otwierał już drzwi.

W progu stało dwoje małych dzieci w wieku około pięciu, sześciu lat, przebranych za ducha i mumię. Były cudowne. Za ich plecami stali rodzice uśmiechnięci od ucha do ucha. Mama trzymała w ręku matką kamerę wideo.

- Cukielek albo psikus! - zapisał duch i dziewczynka wyciągnęła przed siebie torebkę pełną zebranych słodyczy

Lekko sepleniała, ponieważ brakowało jej paru zębów.

- Wybieram cukierka - odpowiedział Monk. - Ale chcę, abyście wiedziały, że robię to pod przymusem.

- Nie musi pan wybierać, panie Monk - powiedziałam.

- Nie stawiałyby żądań, gdyby nie oczekiwała odpowiedzi - stwierdził Monk.

- To nie jest żądanie - upierałam się.

- Masz rację - przyznał Monk. - To groźba. Musisz coś pokazać albo wykupić się słodyczami, albo

możesz też zabarykadować drzwi, wyłączyć światła i schować się w szafie, dopóki nie przestaną cię prześladować lub dopóki nie wzejdzie wreszcie słońce.

Uśmiechnęłam się do rodziców, na których twarzach pojawił się wyraz zaszokowania.

- Macie państwo takie słodkie dzieci - powiedziałam. - Cieszcie się nimi, póki czas. Ani się obejrzy cie, jak zostaną nastolatkami, którym będzie wstyd pokazać się gdziekolwiek z rodzicami.

Za dużo mówiłam. Zawsze to robię, gdy jestem zdenerwowana. Po słowach „słodkie dzieci” powinienam była zamknąć buzię. Rodzice patrzyli teraz na mnie tak, jakbym była nie mniej osobliwym okazem niż Monk. Już chciałam wyjaśniać, że wcale nie jestem taka, że jestem racjonalnie myślącym i zrównoważonym psychicznie rodzicem jak oni, ale w porę ugryzłam się w język.

Monk wziął do ręki miskę, stojącą na stoliczku w korytarzu, i wyciągnął ją w stronę dzieci.

- Każde może wziąć tylko po dwie - oznajmił.

- Co to, landrynki? - zainteresowała się mumia, zapuszczając wzrok w miskę.

- Żadne landrynki - odpowiedział Monk. - To coś znacznie lepszego.

Rodzice zrobili krok do przodu i spojrzeli podejrziwym wzrokiem, czym Monk częstuje ich pociechy.

- Pan rozdaje chusteczki Wet Ones? - wyrwało się zdziwionemu ojcu.

Miska pełna była opakowań z nawilżonymi chusteczkami higienicznymi.

- Państwa dzieciom wyjątkowo się w tym roku poszczęściło - powiedział Monk. - Zaopatrzyłem się w wieczorowy rozmiar.

- Wolelibyśmy snickersa - bąknął duch.
- Od snickersa psują się zęby i rosną tłuste brzuchy - powiedział Monk. - Chyba dość już straciłaś zębów, co?

- To nie od słodczy, panie Monk - wyjaśniłam. - W tym wieku dzieciom wypadają mleczne zęby, to naturalne.

- A ten tłuszcz? — Monk wskazał brzuszek dziewczynki. - To też normalne?

- To nie tłuszcz - włączyła się mama oburzonym głosem. - To dziecięce fałdki.

- Fałda to tłuszcz - zawyrokował Monk. - Ta mała to wstrętny tłuszczoch.

Mama jęknęła. Ja również. Tato zagarnął opiekuńczo córeczkę do siebie i odciągnął synka od drzwi.

- Chodźmy, nic tu po nas.

- A cukierek? - zapiszczała płacliwie mumia.

- Ten okropny pan nie ma w domu cukierków - powiedziała mama.

Mumia się rozpląkała, a duch zaraz za nią. Monk zatrzaskał drzwi, dosłownie przed nosami malców. Płaczące dzieci budziły w nim paniczny strach - za dużo łez, za dużo śluzu.

- Boże drogi - mruknął. - Co się dzieje z tymi ludźmi?

- Nazwał pan tę dziewczynkę wstrętnym tłuszczochem.

- Bo jest tłuszczochem - upierał się Monk. - A jeśli dalej będzie pukać do wszystkich drzwi, nie myjąc rąk, to będzie chorym tłuszczochem.

- Nie może pan tak mówić do dzieci - przekonywałam. - Tylko je pan straszy.

- W takim razie wyrównuję rachunki.

- Nie zdobędzie pan ich serca, jeśli będzie je pan wyzywał i obdarowywał chusteczkami.

- Zapobiegam rozprzestrzenianiu się chorób - stwierdził sucho Monk. - Jeszcze mi za to podziękują.

- Obrzucą pana jajkami.

- Widzisz? - zachnął się Monk. - Cały czas to mówię. To wymuszenie rozbójnicze.

Znowu rozległo się pukanie do drzwi. Monk otworzył. Przed domem stało dwóch młodszych nastolatków. Jeden miał w głowie siekierę i strużki zaschłej krwi na twarzy, a drugi bardzo interesującego kosmitę wychodzącego z brzucha wraz z organami wewnętrznymi.

Byłam pod autentycznym wrażeniem. Monkowi zrobiło się niedobrze.

- Tylko nie psikus! - powiedział szybko, zanim odezwał się któryś z chłopców.

Wrzucił po dwa opakowania chusteczek do torebki każdego z nich, zatrzasnął z hukiem drzwi i oparł się o nie plecami na wypadek, gdyby znowu zaczęli się dobijać.

- Pan wie, że to tylko charakteryzacja, prawda? - zapytałam.

- To odrażające - mówił Monk. - Jak w takim stanie mogą się pokazywać w miejscach publicznych?

- To Halloween, panie Monk.

- To szaleństwo.

- Czasami trochę szaleństwa nie zaszkodzi - stwierdziłam. - Dzięki niemu trudno doszczętnie oszaleć.

- To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem.

- Nie miał pan nigdy ochoty zrobić czegoś szalonego? To może być podniecające!

- Na przykład napić się wody z kranu?

- Myślałam o czymś bardziej lekkomyślnym.
 - O tym, żeby przyłożyć sobie do skroni naładowaną broń i zabawić się w rosyjską ruletkę?
 - Między rosyjską ruletką a piciem wody z kranu jest wielka różnica.
 - Skąd, nie ma żadnej - odparł Monk. - To dokładnie to samo.
 - Ruletka może pozbawić życia - zauważyłam.
 - Jedno i drugie może zabić - odparł. - Nie widzę nic zabawnego w skłonnościach samobójczych.
 - Kto tu mówi o samobójstwie? - zdziwiłam się.
 - Ty.
 - Nie mówiłam nic o ryzykowaniu życia. Miałam na myśli zrobienie czegoś odłotowego, nawet skandalicznego, tylko dla zabawy, nie troszcząc się o to, co sobie inni pomyślą. Nigdy nie miał pan ochoty zrobić czegoś takiego?
 - Nie - odpowiedział Monk.
 - To smutne.
 - Nigdy też nie wsadziłem palców do uruchomionego robota kuchennego - dodał Monk. - Uważasz, że to także jest smutne?
 - Panie Monk, ja mówię o przebraniu się w fajny kostium i o dobrej zabawie w Halloween.
 - Mówisz o szaleństwach - stwierdził Monk. - Trzeba być stukniętym, żeby się przebierać za trupa, pukać do drzwi obcych ludzi i żądać słodyczy. Każdego innego dnia takich ludzi natychmiast by aresztowano.
 - To nie jest każdy inny dzień.
 - A powinien.
- Poczułam napływający gwałtownie, pulsujący Monkowy ból głowy. Postanowiłam zakończyć spór, za nim dostanę wylewu.

Tymczasem znowu ktoś zastukał do drzwi. Monk otworzył. Na zewnątrz stał młody mężczyzna. Na oko oceniłam, że mógł mieć jakieś dwadzieścia lat. Jego biała koszula i niebieskie dżinsy zbryzgane były krwią. W jednej ręce trzymał zakrwawiony nóż, a w drugiej torbę na zakupy pełną słodyczy.

- Cukierek albo psikus - powiedział.

- Nie ma pan za dużo lat na Halloween? - zapytałam z powątpiewaniem w głosie.

- Halloween jest jak Boże Narodzenie - odparł. - Człowiek nigdy nie jest za stary, aby zachowywać się jak dziecko.

Trudno było nie przyznać mu racji.

- Wybieram psikusa - oświadczył Monk i znienacka uderzył młodziana prawym sierpowym w szczękę.

Mężczyzna padł na ziemię jak kłoda.

Spojrzałam na Monka zszokowana.

- Dlaczego pan go uderzył?

- Dzwon po kapitana Stottlemeyera - powiedział Monk, sięgając do miski po paczkę chusteczek i rozrywając opakowanie. - Powiedz, że popełniono morderstwo.

- Niech się pan nie obawia - powiedziałam. - On żyje, zaraz się ocknie.

- Nie mówię o nim - odparł Monk, starannie wycierając dłonie w nawilżone chusteczki. - Mam na myśli kobietę, którą ten człowiek zakłuł dwadzieścia minut temu.

Detektyw Monk i pirat

Włożyłam parę gumowych rękawiczek, obróciłam nieprzytomnego mężczyznę na brzuch i związałam mu ręce na plecach grubą taśmą klejącą, podczas gdy Monk w tym czasie wykladał korytarz gazetami.

Kiedy wciągałam mężczyznę do środka na rozłożone gazety, pod naszymi drzwiami zjawiała grupka przebranych dzieci z rodzicami.

Rodzice zobaczyli, co zrobiliśmy z poprzednim halloweenowym gościem, i szybkim krokiem przeszli do następnego domu.

Zamknęłam drzwi mocnym kopnięciem i odwróciłam się do Monka.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli.

Monk przypatrywał się badawczo torbie z cukierkami należącej do mężczyzny i zakrwawionemu nożowi, które ułożył na gazecie rozpostartej na stole w pokoju jadalnym.

- To chyba oczywiste. Był umazany krwią, a w ręku trzymał nóż.

- Dziś jest Halloween, panie Monk. Po ulicach chodzą setki ludzi umazanych krwią i z nożem w ręku.

- Na to właśnie liczył - stwierdził Monk.

- Skąd pan wie? - Zadawałam to pytanie mnóstwo razy podczas codziennej pracy z Monkiem.

- Sztuczna krew jest czerwona.

- Prawdziwa krew również jest czerwona - zauważyłam.

- Ale gdy zasycha, traci kolor. Staje się rdzawo-brązowa - odpowiedział Monk. - Na jego koszuli znajduje się prawdziwa krew, na jego jak najbardziej prawdziwym nożu również.

Odwrociłam się i spojrzałam na mężczyznę, który zaczynał pojękiwać, odzyskując z wolna świadomość.

- To jeszcze nie znaczy, że krew pochodzi z morderstwa - powiedziałam. - Ani w ogóle, że to ludzka krew.

- Nie znam wielu zwierząt, które skrapiają się perfumami, choć szkoda, że tego nie robią.

Zanim zdążyłam zapytać, co ma na myśli, rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłam je, spodziewając się policji, ale zamiast policjantów zobaczyłam kolejną grupkę przebranych dzieciaków. Wołając zgodnym chórem: „Cukierek albo psikus”, spoglądały na rozciągnięte na podłodze zakrwawione ciała.

- Supertrup - pochwalił wampir.

- Ale powinna pani położyć go w kałuży krwi, a nie na zwykłych gazetach - dodała zła wiedźma.

- Nie chciałem brudzić podłogi - odpowiedział Monk, biorąc do ręki miskę i wrzucając dzieciom do torebek chusteczki higieniczne. - Skąd macie te czekoladki z masłem orzechowym?

- Dostaliśmy je w tym domu z nagrobkami - wyjaśnił wilkołak.

- A batoniki Trzej muszkietierowie?

- Z tamtego domu na rogu - odpowiedział wampir.

- Powinniście je oddać i domagać się Czterech muszkietierów - stwierdził Monk.

- Nie ma takich batoników - zdziwił się wampir.

- W takim razie tych nie jedzcie - powiedział Monk.
- Dlaczego? - zapytała wiedźma.
- To nieparzysta liczba, takie batoniki są nie do przyjęcia - wyjaśnił Monk.

- Bardziej do przyjęcia niż chusteczki Wet Ones - odparła z przekąsem wiedźma.

Monk zamknął drzwi i odstawił miskę.

- Dlaczego mnie pan uderzył? - zapytał charczącym głosem mężczyzna leżący na podłodze. - Dlaczego jestem związany?

- Bo jest pan niebezpiecznym szalonym zabójcą.

- To tylko kostium, kretynie - powiedział mężczyzna. - Rozwiążcie mnie.

- Ma pan na sobie prawdziwą krew - stwierdziłam.

- To krew z kurczaka.

- Zarznął pan kurczaka? - zapytałam.

- Chodziło mi o autentyczność - wyjaśnił. - Natychmiast mnie rozwiążcie.

- Policja już jedzie - powiedział Monk.

- Radzę wam, puśćcie mnie, zanim przyjadą, bo każę was aresztować za napaść i porwanie - zagroził mężczyzna.

- Po prostu chodzi panu o to, żeby pana tu nie było przed przybyciem policji - stwierdził Monk.

- Chodzi mi o to, żeby was tu nie było przed przybyciem policji - odpowiedział mężczyzna. - Niech się pan dobrze nad tym zastanowi.

- Już się zastanowiłem - zapewnił go Monk. - Dobrze wiem, co się stało.

Ktoś zapukał do drzwi. Monk otworzył je i zobaczył kolorowego pirata wywijającego nad głową plastikową szabelką. Miał na sobie luźną koszulę, sięgający kolan płaszcz z rozcięciem z tyłu, szero-

kie pumpy, a na głowie trójkątny kapelusz i sztuczne dredloki z nanizanymi paciorkami. Kilka dodatkowych paciorków zobaczyłam jeszcze na podkręconych końcówkach sumiastych wąsów.

- Johoho! - powitał nas kapitan Stottlemeyer.
- Wygląda pan fantastycznie - orzekłam.
- Kiedy zadzwoniłaś, byłem w drodze na przyjęcie - wyjaśnił kapitan, wsadzając szablę do pochwy. - Jeśli się pośpieszymy, mogę jeszcze zdążyć.
- Na pomoc! - krzyknął mężczyzna na podłodze, przesuając się rozpaczliwie w kierunku drzwi. - Ci szaleńcy wzięli mnie jako zakładnika.

Stottlemeyer wszedł do mieszkania i spojrzał od niechcienia na naszego więźnia, jakby nie był to jakiś niezwykle widok. Kapitan nigdy z niczego nie robił problemu. Sądzę, że w ten sposób podchodził do wszystkich rzeczy. Gdy miało się do czynienia z Monkiem, taki mechanizm z pewnością pomagał, ale była to umiejętność, nad którą musiałam jeszcze sporo popracować.

- Zgubił pan jedno „jo” - powiedział Monk.
- Słucham? - Stottlemeyer przeniósł wzrok na Monka.
- Chodzi o pozdrowienie piratów - wyjaśnił detektyw. - Mówi się „Johoho” albo „Joho, joho”.
- Skądże, to przecież zawołanie z tradycyjnej pirackiej szanty - stwierdził kapitan i ku mojemu zachwytowi zaczął śpiewać i podrygiwać w tańcu. - *Piętnastu chłopa na umrzyka skrzyni, johoho i butelka rumu...*
- Kogo to obchodzi? - przerwał mu mężczyzna na podłodze. - Zostałem napadnięty. Potrzebuję pomocy.
- Musieli być strasznie pijani od tego rumu, bo

w przeciwnym razie śpiewaliby „jojohoho” - tłumaczył Monk. - Każde dziecko to wie.

- W takim razie muszę być niezłe zalany - powiedział Stottlemeyer.

- Nie powiedziec dwa razy „jo”, to tak jakby Święty Mikołaj nie powiedział cztery razy „ho”, składając życzenia na Boże Narodzenie.

- Święty Mikołaj mówi „ho” tylko trzy razy. - Stottlemeyer pogrzebał w jednej z kieszeni i wydostał z niej odznakę policyjną, którą pokazał leżącemu mężczyźnie. - Kapitan Leland Stottlemeyer z policji San Francisco. Pańskie nazwisko?

- Clarence Lenihan. Pański przyjaciel jest zdrowo stuknięty, jak pan zapewne wie. Jeśli mnie uwolnicie, nie będę wnosił skargi, a pan będzie mógł zapewnić temu człowiekowi fachową pomoc, której z pewnością potrzebuje.

Stottlemeyer kiwnął głową i odwrócił się do Monka.

- Co masz do powiedzenia, Monk?

- Ho, ho, ho, ho! Wesółych Świąt!

- Na jego temat. - Stottlemeyer skinął głową w kierunku Lenihana.

- Jadł dziś wieczorem obiad z kobietą w domu przy Pine Street sto siedemdziesiąt osiem, a potem zakłuł ją nożem.

- On kompletnie zwariował! - zawołał mężczyzna.

Stottlemeyer pokiwał głową, wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do porucznika Randy'ego Dishe-ra, swojego podwładnego zawsze chętnie nadskakującego szefowi. Kapitan poprosił, aby w drodze do mieszkania Monka Randy zajrzał do domu przy Pine Street 178.

- Wierzy pan temu obłąkanemu człowiekowi? -
denerwował się Lenihan.

- Nie zaszkodzi sprawdzić - odparł kapitan.

- To absurd. To niemożliwe, co on opowiada -
rzekął się mężczyzna. - Ledwie raz na mnie spojrzał,
na miłość boską.

- Pan jest ubrany w wyznanie winy - powiedział
Monk. - Krew rozbryzgała się po pańskim ubraniu,
układając się w szczególny wzór, który pokazuje, w
jaki sposób uderzył pan kobietę nożem.

- Już mówiłem, że to krew z kurczaka - powie-
dział Lenihan.

- Jest jej za dużo, żeby była to krew z jednego
kurczaka - stwierdził Monk.

- Nie jednego, było więcej kurczaków.

- Przywarłyby do pana jakieś pióra albo puch -
stwierdził z przekonaniem Monk.

- Wszystko wyczyściłem.

- Nie sposób samemu ułożyć śladów tryskającej
krwi - powiedział Monk.

Wyjaśnił, że uderzenie człowieka nożem daje po-
dobny efekt jak przy kłapnięciu dłonią w powierzchnię
wody. Woda się rozpryskuje, tworząc fontannę
kropelek. Tak samo dzieje się przy dźgnięciu nożem.
Już samo miejsce, w które trafia ostrze noża, czy jest
to serce czy tętnica, może mieć wpływ na to, jak się
rozprysnie krew. Jeśli natomiast uderza się raz po
raz, za każdym razem podnosząc wysoko nóż,
powstają długie bryzgi.

Monk wskazał palcem ślady krwi na spodniach i
koszuli Lenihana, a także fragmentaryczny, krwawy
ślad dłoni, jaki ofiara zostawiła na rękawie, próbując
się bronić.

- Sądząc po układzie smużek i kropeł, a także po

stopniu zakrzepnięcia krwi, jestem pewien, że czterdzieści minut temu ten mężczyzna śmiertelnie ugodził nożem kobietę co najmniej tuzin razy.

Stottlemeyer przytaknął. Dobrze wiedział, jak interpretować ślady krwi, ale wiedział również od dawna, że Monkowi nie należy przerywać, kiedy podsumowuje wnioski zamykające śledztwo. Była to jedna z nielicznych przyjemności, jakie Monk miał w życiu, i kapitan nie miał zamiaru mu jej odmawiać.

Poza tym po wyjaśnieniach Monka układ śladów wydał się Stottlemeyerowi zupełnie oczywisty. Rzeczy, które Monkowi z miejsca wpadają w oko, inni muszą wypatrywać przez długi czas - jeżeli w ogóle je zobaczą.

Rozumiem, jak coś takiego może wpędzić człowieka w poczucie, że jest ślepy i głupi, ale dla mnie to nie miało znaczenia. Nie byłam policjantką. Trudno, żebym porównywała geniusz Monka do własnych talentów detektywistycznych.

Jestem pewna, że w większości wypadków uznanie Stottlemeyera dla niezwykłych umiejętności Monka górowało nad własnym poczuciem niższości, zwłaszcza w sytuacjach, gdy w pobliżu nie było policjantów, wobec których kapitan czułby wstyd z powodu swoich względnych porażek.

- Skąd wiesz, że ofiarą była kobieta? - zapytał Stottlemeyer.

- Zalatuje perfumami.

- Lubię się skropić dobrą wodą kwiatową - powiedział Lenihan. - Podobnie jak mnóstwo innych mężczyzn w San Francisco. To jeszcze nie zbrodnia.

- Skąd pan wie, że do zabójstwa doszło po obiedzie? - zapytałam.

- Zadał cios małym nożem do mięsa z kompletu stołowego składającego się z sześciu sztuców, a poza tym opryskał koszulę sosem do sałaty i masłem.

Stottlemeyer pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Cały jest umazany krwią, a ty potrafisz zauważyć drobne plamki po jedzeniu.

- Właśnie o tym mówię - włączył się Lenihan. - To absurd.

- Może dla pana, dla mnie i każdego innego człowieka na świecie - przyznał kapitan. - Ale nie dla Monka.

Widziałam, jak Monk wyjaśnił z setką różnych morderstw, i nigdy nie przestawały mnie zadziwiać jego zdumiewające umiejętności detektywistyczne, których sporą część należy przypisać osobliwościom zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. Ustawiczna potrzeba porządkowania wszystkiego oraz unikania brudu i zarazków zrodziła w nim niewiarygodną spostrzegawczość i zdolność dostrzegania szczegółów.

- Skąd wiesz, w którym domu to się stało? - pytał dalej Stottlemeyer.

- Wystarczyło przyjrzeć się słodyczom w jego torebce - stwierdził Monk.

- Wiesz, jakie słodycze rozdają dziś mieszkańcy okolicznych domów? - zdziwił się kapitan.

- Było tu kilku małych szubrawców i widziałem, co mieli w torebkach - wyjaśniał Monk. - Wiem, gdzie mieszkają, i wiem, którą drogą tu przyszli. Jeśli nie znałem jakiegoś cukierka, zaraz szubrawców wypytywałem.

- Szubrawców? - powtórzył Stottlemeyer.

- Terrorystów - dodał Monk.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłam je i zobaczyłam porucznika Randy'ego Dishe-

ra, za którym stało dwóch umundurowanych policjantów. Disher miał na sobie swoją zwykłą, taną marynarkę z marketu i krawat, ale z jakichś powodów na nosie miał również przeciwsłoneczne okulary.

- Monk miał rację - powiedział od progu, wchodząc do środka. - W tym domu leży martwa kobieta. Nazywa się Monica Tyler. Mieszkała sama. Zna leżliśmy ją przy stole w jadalni. Musiała dostać co najmniej tuzin ciosów nożem.

- Dokładnie tuzin - poprawił go Monk.

Kapitan Stottlemeyer spojrzał na Lenihana.

- Może jednak zechcesz nam powiedzieć, co się stało?

Clarence Lenihan patrzył tylko na niego wilkiem.

- Tak myślałem — powiedział kapitan. — Dokończ za niego, Monk.

- Nie było to morderstwo z premedytacją - ciągnął detektyw. - Lenihan przyszedł do Moniki Tyler na obiad, ale doszło między nimi do sprzeczki. W przypływie wściekłości zaczął ją uderzać nożem, a potem wytoczył się z domu zbryzgany krwią. Na ulicy byli ludzie. Lenihan nie chciał się wyróżniać, więc próbował się wmieszać w tłum krwiożerczych uczestników święta Halloween, bo, jak wiadomo, najciemniej jest pod latarnią.

- Plan mógł się powieść - przyznał Stottlemeyer. - Gdyby nie zastukał do twoich drzwi.

Disher spojrzał drwiąco na Lenihana.

- I co, dopisało ci dzisiaj szczęście? Dopisało, śmieciu?

Lenihan już się nie odzywał. Stottlemeyer zmierzwił Dishera karcącym wzrokiem i pokręcił głową.

- O co chodzi? - zapytał Randy.

- Odczytaj mu po prostu jego prawa i zabierz go stąd, dobrze? - polecił kapitan.

Porucznik odczytał Lenihanowi prawa. Stottlemeyer włożył zakrwawiony nóż do woreczka na dowody rzeczowe i wręczył go wraz z torebką ze słodyczami jednemu z mundurowych. Drugi z policjantów pomógł mężczyźnie wstać i odprowadził go do radiowozu.

Przywykłam już do tego, że za każdym razem, kiedy Monk wychodzi z domu, natrafia na jakąś zbrodnię albo martwe ciało. Ale tym razem nie musiał nawet wychodzić z domu. Morderca sam zapukał do jego drzwi. Dosłownie.

Uznałam, że to bardzo niepokojące, ale jego martwiło w tej chwili tylko jedno; brudne od krwi gazety na podłodze.

- Muszę posprzątać - powiedział i popędził do kuchni po środki czystości.

Disher kiwnął głową.

- Człowiek musi znać własne granice - orzekł poważnym głosem.

- Pan Monk zna je na pewno - stwierdziłam.

Stottlemeyer spojrzął na zegarek.

- Sądzę, że jeśli się pośpieszymy, to zdążymy na przyjęcie. Masz swój kostium, Randy?

- Przecież mam go na sobie - odpowiedział burkliwie Disher.

- Och, za kogo się przebrałeś? - zapytałam.

Oczywiście wiedziałam, za kogo się Randy przebrał, bo od początku rzucał cytatami swojego bohatera, ale dla zabawy chciałam się z nim trochę podrażnić.

Disher postąpił krok w moją stronę, zacisnął zęby i warknął głucho głosem Clint Eastwooda:

- Dalej, mała, nie daj się prosić.
- Za George'a Busha?
- Nie - skrzywił się Disher.
- Shreka?
- Nie - znowu się skrzywił.
- Elmera Fudda? - wtrącił się Stottlemeyer.
- Za Brudnego Harry'ego Callahana - powiedział w końcu Disher.

Stottlemeyer spojrział na niego ze zwątpieniem.

- Naprawdę sądzisz, że wystarczy włożyć na nos przeciwsłoneczne okulary, żeby się przebrać za Brudnego Harry'ego?

- Mam odznakę policyjną, broń i odpowiednią postawę, a moja obecność onieśmiela ludzi - tłumaczył Disher. - Właściwie brakuje mi tylko charakterystycznego powiedzonka, a będę Brudnym Harrym w prawdziwym życiu. Nieraz mnie już z nim mylono.

Spojrzałam na niego sceptycznie.

- Nieraz?

- Turyści zawsze pytają, czy mogą sobie zrobić ze mną zdjęcie - powiedział Disher.

- Brudny Randy - mruknął Stottlemeyer i ruszył do wyjścia. - Brudny Randy.

- Tak do mnie mówią na ulicy - powiedział porucznik, wychodząc za szefem.

- Na której ulicy? - zapytał Stottlemeyer.

- Mojej.

- Nie słyszałem tego na twojej ulicy - zdziwił się kapitan.

- Ja słyszałem.

- To, co mówi twoja mamusia, się nie liczy. - Stottlemeyer odwrócił się i mrugnął do mnie, zamykając za sobą drzwi.

3 Detektyw Monk

przybywa do Opał

Monk nie miał problemu, aby bez drgnienia powiek dokonać oględzin zwłok, ale nie mógł żyć z myślą, że na drzwiach jego domu lub na podłodze w jego mieszkaniu może się znajdować plamka krwi. To jedna z wielu sprzeczności jego charakteru.

Dwa następne dni Monk spędził na skrobaniu, czyszczeniu i dezynfekowaniu korytarza, ale w końcu się poddał, doszedłszy do wniosku, że jedynym racjonalnym rozwiązaniem będzie wymienić wejściowe drzwi, wycyklinować podłogę i odmalować ściany.

W zasadzie był to kompromis, do którego namówiłam go z wielkim trudem, ponieważ Monk chciał od podstaw przebudować mieszkanie lub wyprowadzić się i znaleźć sobie nowy dom.

Kiedy się zastanawiał, dokąd się przenieść na czas remontu, a ja podsuwałam mu kolejne argumenty za tym, aby przeprowadził się do brata Am-brose'a, niespodziewanie zadzwonił kapitan Stottle-meyer i poprosił, żebyśmy natychmiast przyjechali do jego biura.

W drodze na komendę cały czas namawiałam Monka, aby tymczasowo zamieszkał u brata.

- To dom, w którym się razem wychowywaliście i będzie mógł pan spać w swojskim, bezpiecznym i czystym wnętrzu własnej sypialni - przekonywa-

łam. - Może pan nawet zabić czas, sięgając po swój zestaw do polerowania kamieni.

- Jest tylko jeden problem.

- Jaki?

- Mój brat jest niepoczytalny - odpowiedział Monk. - Nie wytrzymam tego stresu.

- Sam pan teraz widzi, co czuję - powiedziałam, ale natychmiast pożałowałam swoich słów i czym prędzej próbowałam naprawić gafę. - Mieszkanie z nastolatką pod jednym dachem to istne piekło. Nastolatki ciągle wpadają w jakieś nastroje, są nieprzewidywalne. Czasem mam wrażenie, jakby Julie miała rozdwojenie jaźni.

Monk potakiwał ze zrozumieniem. Nie tylko kupił moje tłumaczenie, ale, jak sądzę, to, co usłyszał, zmusiło go do ponownego przemyślenia propozycji, którą miał zamiar mi złożyć. Na pewno chciał, żebym zaproponowała mu, aby zamieszkał razem z nami.

Raz już pozwoliłam Monkowi zamieszkać na parę dni w moim domu, kiedy jego mieszkanie poddano odkazaniu, i nie było to doświadczenie, do którego chciałabym wracać.

- Co gorsza, pozostawia po sobie potworny bałagan - mówiłam więc dalej, starając się uwypuklić sens swoich słów. - W łazience zostawia włosy, na karniszu wisi nieraz biustonosz, a na kanapie w salonie ciągle znajduję niedojedzone posiłki.

Monk aż się wzdrygnął. Uśmiechnęłam się do siebie. Cel został osiągnięty.

Kiedy weszliśmy do pokoju detektywów, Disher wracał właśnie do biurka z kubkiem kawy. Obijał się po drodze o krzesła i stoły, potykając się jak ślepiec. Dopiero kiedy usiadł na swoim miejscu przy

drzwiach do gabinetu kapitana, zorientowałam się dlaczego.

Na nosie miał tak ciemne przeciwsłoneczne okulary, że równie dobrze mógłby przewiązać sobie oczy opaską.

- Dlaczego nosisz okulary przeciwsłoneczne? - zapytałam.

- Bo słońce oślepia.

- Przecież nie ma słońca.

- Jest na ulicy - odpowiedział Disher. - Zrozumiałabyś to, gdybyś kiedykolwiek wyszła na ulicę.

- Właśnie stamtąd przychodzę.

- Nie mówię o takiej ulicy.

- A o jakiej?

- O złej ulicy, moja pani, o brudnym, splamionym krwią pasie asfaltu, na którym egzekwuję prawo - mówił porucznik. - Prawo Dishera.

- Ach... o tej ulicy - powiedziałam.

- Dobrze, że nie ma na niej gum do żucia - stwierdził Monk. - Brud i krew można z ulicy stosunkowo łatwo zmyć, ale guma to istne piekło. Ludzie, którzy wypływają na ulicę przezutą gumę, resztę życia powinni spędzać w celi więziennej.

Disher prychnął.

- Tam, na tej ulicy, glina musi twardo spojrzeć w oślepiający blask korupcji, szamba i ludzkiej rozpaczy. Bez okularów ten blask dosłownie spiecze mu gałki oczne i spopieli duszę.

Monk spojrzał na mnie.

- Potrzebne mi okulary przeciwsłoneczne.

Uśmiechnęłam się do Dishera, choć prawdopodobnie nie mógł tego dostrzec przez swoje ciemne okulary. Przypominał mi Julie, gdy była małą dziewcz-

czynką. Zwykle musiał minąć tydzień, zanim przestawała nosić halloweenowy kostium. Nie mogła się pogodzić z porzuceniem fantazjowania, że jest Małą Syrenką czy Teletubisiem.

Stottlemeyer otworzył drzwi swojego gabinetu.

- Jeśli skończyliście już pogawędki z Brudnym Randym, to chciałbym zamienić z wami słowo.

- Skończyliśmy - oświadczył Disher.

Patrząc wciąż na nas, sięgnął po kubek kawy, ale złapał pojemnik na ołówki. Kiedy wchodziliśmy do gabinetu kapitana, przechylał właśnie uniesiony pojemnik, wysypując sobie na twarz ołówki.

- Dowiedziałeś się, dlaczego Lenihan zabił moją sąsiadkę? - zapytał Monk.

- Tak. Chodzili ze sobą od paru miesięcy. Zabił ją, bo notorycznie rozgotowywała mu mięso.

- Żartuje pan - powiedziałam.

- Często bywało przesolone - mówił Stottlemeyer. - Lenihan po prostu lubi jadać stek przyrządzony na swój sposób.

- Nie rozumiem, jak z takiej błażostki można robić sprawę życia i śmierci - powiedział Monk.

Spojrzeliliśmy na niego przeciągle.

- Byłoby gorzej, gdyby podała mu obiad na wyszczerbionym talerzu, prawda? - rzuciłam z przekąsem.

- Albo gdyby na talerzu jarzyny stykały się z mięsem - dorzucił kapitan.

- Właśnie - przytaknął Monk. - On ma źle ustalone priorytety.

Stottlemeyer potarł skronie i usiadł ciężko za biurkiem.

- Nie mówmy już o Lenihanie. Nie z jego powodu cię wezwałem.

- Ja wiem, dlaczego chciałeś, żebyśmy przyjechali - powiedział Monk.

- Wiesz? - zdziwił się kapitan.

- Chcesz nas przeprosić.

-Za co?

- Za profanowanie świąt Bożego Narodzenia - wyjaśnił Monk.

- Co takiego zrobiłem?

- Powiedziałeś, że Święty Mikołaj mówi „ho” tylko trzy razy.

- Jednak nie po to was wzywałem. - Stottlemeyer pokręcił głową. - Mam do ciebie prośbę.

Monk potrząsnął stanowczo głową.

- Dopóki nie przeprosisz, nawet nie będę się nad nią zastanawiał.

Kapitan spojrzał na mnie, ale wzruszyła tylko ramionami. Oboje wiedzieliśmy, że Monk nie daruje. Stottlemeyer westchnął ciężko.

- W porządku, Monk. Przepraszam, że powie działałem, że Święty Mikołaj mówi „Ho, ho, ho”, a nie „Ho, ho, ho, ho”. Zadowolony?

Monk zaprzeczył ruchem głowy.

- Co mówię pirat, kiedy chce kogoś pozdrowić?

- „Johoho” - odpowiedział kapitan z bolesnym wyrazem twarzy.

Monk się uśmiechnął.

- Zostało ci wybaczone. Możesz kontynuować.

- Dziękuję. Chodzi o mojego przyjaciela Manny'ego Feikemę. Może go pamiętasz?

- To ten, który przez długie lata patrolował ciemne zaułki Tenderloin?

Stottlemeyer przytaknął.

- Ten sam.

- Ostatni raz widziałem go siedemnastego maja

tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Miał zaplamiony krawat - powiedział Monk jednym tchem. - Od sosu po spaghetti.

- Jakies pięć lat temu przeszedł na emeryturę i przeprowadził się do Opał, małej osady górniczej w Kalifornii, gdzie kiedyś wydobywano złoto. Po paru miesiącach Manny zaczął się nudzić, więc podjął pracę strażnika w miejscowym muzeum historycznym. Był szczęśliwy, że może wyjść z domu i znowu włożyć mundur.

- Mam nadzieję, że nie nosi już tego krawata - zaniepokoił się Monk.

- Dwa dni temu został zamordowany podczas obchodu - wyjaśnił Stottlemeyer.

- Co z krawatem?

- Krawat nie jest ważny - zdenerwował się Stottlemeyer. - Zamordowano człowieka.

- Cóż, jeśli został skremowany razem z krawatem, to, jak sądzę, rozwiązuje to nasz problem - stwierdził mój szef.

- Nie mam pojęcia, w co był ubrany, Monk. Wiem tylko, że nie żyje, a człowiek, który go zabił, chodzi na wolności - powiedział Stottlemeyer. - To mnie teraz najbardziej interesuje.

- Los Manny'ego był od początku przesądzony - powiedział Monk.

- Z powodu krawata? - zapytałam.

- Z powodu miejscowości, w której zamieszkał. Nazwa Opały to przecież oczywista przestroga, którą Manny beztrudnie zignorował, czym ściągnął na siebie niebezpieczeństwo.

- Miasteczka na Dzikim Zachodzie często nosiły barwne nazwy - powiedziałam. - Cementarysko, Miasto Wisielców, Trupia Przełęcz, Psiakość, Czy-

ściec czy Obumarłe Drzewo. Same nazwy nic nie znaczą.

- Chciałabyś na emeryturę wyjechać do miasteczka Nędza? - zapytał Monk.

- Gdyby było tam ładnie...

- A do miasteczka o nazwie Wszawy Brud?

- Nie sądzę, aby miasteczko o nazwie Wszawy Brud w ogóle istniało.

- Ponieważ nikt by nigdy w nim nie zamieszkał. - Monk odwrócił się do Stottlemeyera. - Skąd się dowiedziałeś o śmierci Manny'ego?

- Telefonował do nas komendant tamtejszej policji, pytał o śledztwa Manny'ego, w nikłej nadziei, że może ktoś chciał wyrównać z nim rachunki - wyjaśnił kapitan. - Kazałem Brudnemu Randy'e-mu sprawdzić, czy w ostatnim czasie nie wyszedł z więzienia ktoś, kogo Manny zapuszkował. Ale coś mi podpowiada, że lokalne żółtodzioby liczą na pomoc, bo nie wiedzą, od czego zacząć.

- Co zabrali złodzieje z muzeum? - zapytał Monk.

- Nic. Manny musiał ich przepłoszyć, zanim zdążyli zabrać to, po co przyszli.

- Co miałbym tam robić?

- Złapać sukinsyna, który to zrobił.

- Miejscowa policja nie może tego zrobić?

- W Opałach jest trzech policjantów plus komendant. Nie mają ani doświadczenia, ani dostatecznych środków, aby prowadzić dochodzenie w sprawie morderstwa - mówił Stottlemeyer. - Manny może przeszedł na emeryturę, ale dla mnie wciąż pozostawał policjantem z San Francisco. Powinniśmy mu oddać wszystko, co mamy najlepszego. Czyli ciebie, Monk. Sam bym tam chętnie pojechał, ale nie mam już w tym roku urlopu. Byłbym wdzięczny, gdybyś zrobił to dla mnie.

- Świetnie się składa, kapitanie - wtrąciłam się. - Pan Monk musi przez parę dni przebywać poza domem.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Monk.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Z powodu solanek kolczystych - wyjaśnił krótko.

Panicznie się ich bał.

- Co solanki mają z tym wspólnego? - zdziwił się Stottlemeyer.

- To miasteczko Dzikiego Zachodu - powiedział Monk. - Dzikie Zachód to kraina, gdzie solanki przetaczają się po drogach niesione przez wiatr.

- Będę pana osłaniać - obiecałam.

-Jak?

- Jeśli pojawi się solanka, zasłonię pana własnym ciałem.

- Zrobiłabyś to dla mnie?

- Tak jak zrobiłam to parę tygodni temu, kiedy o mały włos uderzył w pana puch z mleczka.

- To nie to samo - stwierdził Monk. - Solanka jest jak puch mleczka na asteroidzie.

- Jestem gotowa wziąć na siebie to straszne ryzyko, jeśli ma to pomóc w schwytaniu mordercy - oświadczyłam. - Nie sądzi pan, że to sprawa warta ryzyka?

Monk westchnął ciężko i spojrzał na kapitana.

- Dobrze. Pojadę tam.

Te skromne wiadomości, jakie mam na temat gorączki złota w Kalifornii, wyniosłam jeszcze ze szkoły podstawowej, więc będziecie musieli mi wybaczyć, jeśli niektóre szczegóły opiszę wam w dużym skrócie.

Otóż z grubsza wyglądało to tak: w 1849 roku pracownicy tartaku pana Suttera na południowym rozwidleniu rzeki American przez przypadek natknęli się na kilka samorodków złota. Przypadkowe odkrycie pociągnęło za sobą gwałtowny napływ do środkowej Kalifornii setek tysięcy ludzi ze wszystkich zakątków świata szukających szczęścia i fortuny. Śmiałowie ci przeszli do historii jako „Czterdziestkidziewiątki”.

Gdy tylko ktoś wyplukał w swojej misie parę płatków złota, w jego okolice ściągały zaraz roje ludzi i w ciągu jednej nocy budowano górnicze obozowisko. Przez długi czas tak się działo wzdłuż rzek kalifornijskiej Doliny Centralnej i na zachodnich stokach gór Sierra Nevada, aż w końcu wszędzie powstały obozowiska i osady. Jeśli rzeczywiście w miarę regularnie znajdowano złoto, obozowiska przekształcały się w świetnie prosperujące miasteczka.

Jednak większość bogactwa prędzej czy później wędrowała do San Francisco, gdzie wielcy właściciele kopalń, baronowie kolei żelaznej i giganci przemysłu wiodli spokojny żywot w bogatych posiadłościach dzielnicy Nob Hill.

Dziesięć lat później, kiedy już nie tak łatwo było znaleźć złoto, a same poszukiwania wymagały o wiele większych nakładów, większość osad i miasteczek się wyludniła.

Te miasteczka, które przetrwały, w większości przekształciły się w rozległe osiedla mieszkaniowe dla klasy średniej, z rzędami identycznych domków i identycznymi centrami handlowymi, i pozostało w nich już niewiele śladów świadczących o przeszłości Dzikiego Zachodu.

Niemniej jednak wciąż istnieje parę starych, gór-

nicznych osad, sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Sacramento, jadąc autostradą 49, które w ciągu półtora wieku właściwie w ogóle się nie zmieniły.

Podróż z Monkiem przez sam środek kalifornijskiej krainy złota była jak jazda przez kolejne filmowe scenografie do westernów.

Niektóre miasteczka były oczywiście tylko pułapką na turystów. W sklepikach za starymi, drewnianymi witrynami sprzedawano T-shirty i rozmaite westernowe pamiątki. Inne drobiazgowo zrekonstruowano i zrewitalizowano, otwierając drogie sklepy z antykami, francuskie kawiarenki i intrygujące, eleganckie hoteliki. Takie miasteczko bardziej przypominało galerię handlową z westernowym wystrojem niż autentyczną osadę górniczą z dziewiętnastego wieku, którą kiedyś rzeczywiście było.

Zjechaliśmy z szosy i przejechaliśmy kilkanaście kilometrów źle utrzymaną, wąską dwupasmową drogą, która wiała się między farmami i opuszczonymi kopalniami; w miarę upływu czasu samochód pokrywał się coraz grubszą warstwą pyłu.

Nagle z nieba zaczęło na nas padać coś, co w uszach brzmiało jak grad, ale na przedniej szybie wyglądało jak rozbite surowe jajka bez skorupki. Żółta maź spływała wolno po szkle.

Monk wrzasnął.

- Co się dzieje?
- Nie wiem.
- Czy to koniec świata?
- Wątpię.

Zjechałam na pobocze i zatrzymałam samochód. Dopiero wtedy zorientowałam się, co to jest.

Motyle. Dziesiątki tysięcy motyli, które trzepo-

cząc skrzydełkami, przelatywały nad szosą. Nadal obijały się o nasz samochód, ale teraz było ich już dużo mniej.

- To tylko motyle - powiedziałam.

- Można je jakoś objechać? - zapytał Monk.

- Nie sądzę. To jedyna droga dojazdowa i wyjazdowa z Opał.

- W takim razie będziemy musieli zawrócić i poczekać w domu, dopóki nie odlecą.

- Nie możemy tak zrobić, panie Monk - stwierdziłam. - Będzie pan musiał zacisnąć zęby i przejechać przez tę chmurę.

Obejrzałam się przez lewe ramię i powoli wyjechałam z powrotem na drogę. Niemal natychmiast motyle zaczęły się roztrzaskiwać o szybę.

Próbowałam ją obmyć płynem ze spryskiwacza i zetrzeć wycieraczkami, ale to tylko zmieszało owadzie wnętrzości z brudem, tak że w rezultacie powstało odrażające, kleiste mazidło.

- Mam nadzieję, że masz odłożone trochę grosza - powiedział Monk.

- Na pewno nie z pensji, którą dostaję od pana - odparłam.

- Więc nie wiem, co zrobisz.

- Z czym?

- Nie wiem, jak kupisz nowy samochód.

- Po co mi nowy samochód?

- Ten nadaje się do kasacji.

- Jest zupełnie sprawny.

- Ale niebezpiecznie nim jeździć - powiedział Monk. - Na oponach ma groźne zarazki.

- Pojadę z nim do myjni. Będzie wyglądał jak nowy.

- Myjnia nie wystarczy - powiedział Monk.

Długo moglibyśmy się tak spierać, ale pozostawi-

liśmy za sobą chmurę motyli, pokonaliśmy najbliższy zakręt i przed naszymi oczami rozciągnęły się Opały, z miejsca przykuwając naszą uwagę.

Miasteczko leżało przytulone do załomu rzeki Stanislaus. Otaczał je przerzedzony las, a zdeformowane wzgórza nadal nosiły ślady dewastacji spowodowanej hydrauliczną techniką wydobywczą, rozszadającą zbocza jak kostki cukru. Widok był niesamowity. Zupełnie jakby nastąpiło załamanie czasu i znaleźlibyśmy się raptem w 1850 roku.

Centrum Opał stanowiły cztery krzyżujące się ulice wytyczone prostopadle do siebie, jakby na wzór gry w kółko i krzyżyk. Uderzyło mnie to, ponieważ uznałam, że to wyjątkowo zmyślne założenie urbanistyczne jak na dzikie, górnicze obozowisko, które w tamtych czasach nie rządziło się żadnymi prawami.

Asfalt drogi zmienił się teraz w utwardzony żwir głównej ulicy Opał, wzdłuż której z obu stron ciągnęły się drewniane sklepiki, zniszczone od słońca, wiatru i deszczu, oraz zbite z desek, wąskie chodniki.

Kolory stojących przy ulicy dwukondygnacyjnych budynków i wiszących na nich sztyldów mocno wyblakły, przybierając wszędzie niemal taki sam, zmatowiały od słońca odcień szarości. Po ulicach spacerowały leniwie bezdomne osiołki, a przechodnie mijali je z naturalną familiarnością.

Jechałam bardzo powoli. Samochód kołysał się na nierównej, zrytej koleinami drodze. Przypomniłam mi się ojciec, który bujał mnie tak na kolanach, gdy byłam mała. Może dlatego, że jednocześnie nucił muzykę z telewizyjnej *Bonanzy*, podrzucając mnie w rytm melodii. Śmiałam się tak radośnie, że aż traciłam oddech. Samo wspomnienie wywołało uśmiech na mojej twarzy.

Monk jednak krzywił się niemiłosiernie, przytrzymując się deski rozdzielczej, jakby była to poręcz w mknącym wagoniku kolejki górskiej.

Z ciekawością spoglądałam w głąb mijanych przecznic. Dostrzegłam stację kolejową, parę wspaniałych wiktoriańskich domów, kościółek i imponujący budynek z kamienia, który wyglądał na bank.

Nie zdziwiłabym się, gdybym zobaczyła wjeżdżający do miasteczka dylizans, ciągnięty przez cztery galopujące konie.

Jedyną oznaką nowoczesności były słupy telegraficzne, linie energetyczne, lampy uliczne oraz stacja benzynowa u wylotu z miasta, z restauracją i motelem w stylu lat pięćdziesiątych minionego wieku. Kilka zakurzonych samochodów, które zauważyłam wśród dziewiętnastowiecznych zabudowań, tak bardzo nie pasowało do tego miejsca, że wyglądały jak latające spodki.

To chyba jakiś cud, że autentyczny urok Dzikiego Zachodu w tym miasteczku nie został zeszpecony przez bary szybkiej obsługi, neony, sklepy z pamiątkami czy asfaltowe drogi i ulice. Albo miasteczko miało bardzo rygorystyczną komisję planowania, albo nie znalazł się nikt, kto chciałby tu otworzyć McDonalda czy ufundować drogi.

Zatrzymałam się, aby przepuścić przechodzącego przez ulicę osła. Zwierzę uniosło łeb w naszą stronę, przeżuwało coś przez chwilę, a potem przeszło niespiesznym krokiem na drewniany chodnik i, niczym robiący zakupy przechodzień, ruszyło wolno wzdłuż witryn sklepowych.

Przebywaliśmy w Opalach zaledwie parę minut, a miasteczko już zdążyło całkowicie zafundować moim sercem.

Monk spojrział na mnie.

- Zawróć samochód i dodaj gazu.
- Dlaczego? - zapytałam.
- Ponieważ wyjeżdżamy.
- Dopiero co przyjechaliśmy.
- Powinniśmy uciekać, póki jeszcze możemy.
- Nawet jeszcze nie byliśmy na miejscu przestępstwa - przypomniałam.
- Całe to miasteczko jest miejscem przestępstwa - stwierdził sucho Monk.
- O czym pan mówi?
- Niewybrukowane chodniki, rozjuszone zwierzęta na ulicach, wszędzie brud - wyliczał Monk. - To kompletny zastój cywilizacyjny.
- Miasteczko jest po prostu osobliwe.
- To koniec świata. Całe to miejsce powinno być poddane kwarantannie. Musimy zawiadomić odpowiednie władze.
- Zawiadomimy władze, jak znajdzie pan zabójcę Manny'ego Feikemy.
- Ja już znam zabójcę.
- Naprawdę? - zdziwiłam się.
- Zrozumiałem to w chwili, gdy wjechaliśmy do Opał.
- Więc kto to zrobił?
- Opały. Zabiło go to miasteczko. Nas również zabije, jeśli natychmiast stąd nie wyjedziemy.
- Nie wyjedziemy, dopóki nie rozwiąże pan sprawy - oświadczyłam. - Więc niech się pan lepiej pośpieszy.
- Módlmy się, żeby mi szybko poszło.

Jak powiedział, tak zrobił, złożył dłonie, zamknął oczy i zaczął pomrukiwać coś pod adresem Boga, a ja ruszyłam dalej ulicą.

Detektyw Monk poznaje komendanta

Posterunek policji w Opałach mieścił się na parterze ratusza, jednopiętrowego budynku z doryckimi kolumnienkami w podcieniach, łukowymi oknami, imitacjami wieżyczek i kopułą na dachu. Ta architektoniczna zdobność, mająca wytworzyć aurę powagi i trwałości, miałaby rację bytu w gmachach większej skali, ale przy tak małej budowli przytłaczała ją tylko i przydawała komicznej pompatyczności.

Tego samego nie mogłam powiedzieć o komendancie miejscowej policji, Harleyu Keltonie, który wydawał się bezpośredni, zrelaksowany i bezpretensjonalny. Na policzkach miał lekki zarost, a jego znaczone siwymi pasemkami włosy były rozwichrzone, jakby właśnie wstał z łóżka. Gdyby nie odznaka przypięta do paska u spodni, nigdy bym nie pomyślała, że jest policjantem, a zwłaszcza komendantem.

Wnętrze posterunku było równie proste i niewymyślne jak jego komendant. Zamiast recepcji z ladą, przy wejściu stało zwykłe biurko, a za nim siedziała sekretarka, która wyglądała tak wiekowo, że mogłaby być naocznym świadkiem gorączki złota. Za nią stały trzy inne biurka z komputerami, każde zajęte przez umundurowanego policjanta. Za ich plecami widać było dwie cele dla aresztantów z których

jedna była otwarta i zajęta przez jakiegoś chrapiącego mężczyznę.

Burko komendanta Keltona znajdowało się w najbardziej odległym kącie pomieszczenia, skąd mógł obserwować swoje wielkie królestwo. Usiedliśmy naprzeciw niego, na krzesłach z twardymi drewnianymi siedziskami.

- Spodziewałem się was - powiedział Kelton, kiedy się przedstawiliśmy.

Odchylił się na swoim skrzypiącym fotelu i położył nogi na biurku. Monk zamrugał.

- To znaczy, że miło panu nas widzieć czy też obawiał się pan naszego przyjazdu? - próbowałam uściślić.

Uśmiechnął się do mnie, a był to uśmiech tak intymny jak pocałunek.

- Trudno mi sobie wyobrazić, pani Teeger, aby, widząc panią, ktokolwiek poczuł się nieszczęśliwie. Dobrze znana jest mi też reputacja pana Mońka jako znakomitego detektywa. Jednak nie jesteśmy niedoświadczonymi niedołęgami z prowincji, jak się wydaje kapitanowi Stottlemeyerowi. Swego czasu byłem detektywem wydziału zabójstw policji w Bostonie.

- Nie powinien pan - powiedział Monk.

- Czego nie powinienem?

- Nie powinien pan kłaść nóg na biurko. To niehigieniczne.

- To nie szpital, a ja nie przeprowadzam na biurku operacji chirurgicznej.

- Po ulicach chodzą dzikie zwierzęta i to, w co pan wdepnie, przenosi pan później na dokumentacje i akta, które biorą do rąk inni ludzie. Wnosząc po okrucach, rozsypanych na pańskiej księdze zatrzymań, wiem również, co pan jadł przy tym biurku.

Niech się pan zastanowi, co z każdym kęsem może pan wkładać do ust. - Na samą myśl o tym Monk aż się wzdrygnął.

Kelton powoli zdjął nogi z biurka. Monk dał mi znak, abym podała mu chusteczkę higieniczną.

- Dlaczego odszedł pan z bostońskiej policji? - za pytałam Keltona, podając chusteczkę.

Jednak tym razem Monk nie wytarł rąk, lecz zaczął wycierać miejsce na biurku, na którym przed chwilą spoczywały nogi Keltona. Komendant przyjrzał mu się bacznie.

- Nie odszedłem. Zwolniono mnie za pijaństwo - odpowiedział.

Jego szczerość rozbroiła mnie niemal tak samo jak uśmiech. Zdawało się, że Kelton jest tego w pełni świadom.

- Uznanie własnej porażki jest częścią terapii - dodał.

- Rozumiem - powiedziałam. - Jak panu idzie?

Kelton wzruszył ramionami.

- Raz lepiej, raz gorzej.

- A dzisiaj?

- Odkąd pani tu weszła, o wiele lepiej. Flirtował ze mną, a mnie się to podobało. Praca

z Monkiem wiązała się z pewnym stopniem izolacji towarzyskiej. Oczywiście wychodziłam z domu, kiedy pracował nad jakąś sprawą, ale większość ludzi, z którymi wówczas rozmawialiśmy, to policjanci, zagrożone w żalu rodziny ofiar, domniemaną podejrzeni lub mordujący z zimną krwią zabójcy. Śledztwa w sprawie morderstw jakoś nie tworzą okoliczności, które sprzyjałyby niewinnym zalotom.

Biorąc więc pod uwagę, że byłam na posterunku i prowadziłam rozmowę z kolejnym gliną, musiałam

przyznać, że Kelton był niepodobny do żadnego ze stróżów prawa, których dotąd udało mi się poznać.

- Czy wszyscy w miasteczku są alkoholikami? - zapytał tymczasem Monk.

- Nie - odparł Kelton. - Skąd takie mniemanie?

- Ponieważ to by wszystko wyjaśniało.

- Wszystko?

Monk kiwnął głową w kierunku ulicy.

- Macie tu żwirowe drogi i dzikie zwierzęta na ulicach, a wygląda na to, że nikogo to nie obchodzi.

- Przeciwnie, ludzi to bardzo obchodzi - odpowiedział Kelton. - Mieszkańcy pragną zachować pierwotny charakter miasteczka. Wyasfaltowanie nawierzchni ulic oznaczałoby wzmożony ruch kołowy.

- A te dzikie bestie?

- Osiołkom miasto zawdzięcza swoją egzystencję. Według miejscowej legendy, kiedy jeden z poszukiwaczy złota zawędrował w te okolice, z jego karawany odłączył się osioł i nie chciał wrócić. Wściekły poszukiwacz chwycił kamień, by cisnąć nim w niesforne zwierzę, gdy raptem zauważył, że kamień pokrywają płatki złota. Szybko się wzbogacił, a w miejscu, gdzie znalazł złoto, narodziły się Opały. Osiołki, które tu widzicie, to potomkowie jucznych osłów, używanych przez pierwszych poszukiwaczy złota i górników. Kiedy pokłady kruszcu się wyczerpały, a kopalnie pozamykano, osiołki puszczono wolno. Te zwierzęta to żywa historia naszego miasta.

- To jeszcze nie znaczy, że trzeba im pozwalać wałęsać się po chodnikach i ulicach - stwierdził Monk. - Powinny przebywać za ogrodzeniem.

- Są przyjazne i zupełnie nieszkodliwe - mówił Kelton. - I bardzo sympatyczne.

- Dopóki któryś nie odgryzie panu ręki lub nie

przyniesie mieszkańcom miasteczka zarazy morowej. Skoro już o zarazach mowa, co się dzieje z tutejszymi motylami?

- To okres ich naturalnej corocznej migracji - wyjaśnił Kelton. - Miliard motyli wędrownych, monarchów, odlatuje na zimę na południe, do Meksyku. Przed podróżą potwornie się obżerają. Lecą dopóty, dopóki nie spalą tłuszczu lub o coś się nie roztrzaskają. Lepka breja na waszym samochodzie to tłuszcz.

- Dobrze wiedzieć - rzuciłam. - Może powie nam pan coś o Mannym Feikemie?

- Manny przez trzydzieści lat był policjantem, Byłby nim zapewne nadal, gdyby nie stał się zbyt stary i zbyt otyły, żeby biegać za czarnymi typami. Był wdowcem, bezdzietnym. Przemięły facet. Prawie co dzień spotykaliśmy się na śniadaniu w Dorothy's Chuckwagon i snuliśmy frontowe opowieści z czasów służby w dużych miastach. Znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny w mieście, może nawet lepiej niż ja sam siebie znam. Będzie mi go naprawdę brakowało.

- Czy w chwili śmierci miał na krawacie brudną plamę po spaghetti? - interesował się Monk.

- Nie przypominam sobie - odpowiedział Kelton. - Dlaczego pan pyta?

- Miał taką plamę siedemnastego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku.

- Co każe panu myśleć, że plama wciąż była na krawacie? Albo że w ogóle miał na sobie ten krawat w dniu, kiedy go zamordowano?

- Absolutnie nic.

- Dlaczego więc podnosi pan tę kwestię?

- Może mieć kolosalne znaczenie dla sprawy.

- Nie bardzo widzę, jakim sposobem.

- Dlatego jest pan policjantem w Opalach, a nie w Bostonie.

- Nie - odpowiedział spokojnie Kelton. - To z powodu mojego pijaństwa.

- Może nie sięgałby pan tyle do butelki i nie zostałby pan pijaczną, gdyby zwracał pan większą uwagę na brudne plamy wokół siebie.

- Słucham? - zdziwił się Kelton. - To, co pan mówi, nie ma żadnego sensu.

- Miałoby sens, gdyby był pan trzeźwy.

W tym momencie musiałam uruchomić plan awaryjny, mający powstrzymać Monka przed obrażeniem komendanta. Chrząknęłam głośno i zadałam Keltonowi pytanie.

- Czy Manny Feikema miał wrogów?

- Nie tutaj - odparł Kelton.

- Poza tym jednym, który go zabił - stwierdził Monk. - Dlaczego Feikema porzucił cywilizację i przeniósł się tam, gdzie diabeł mówi dobranoc?

- Proszę bez urazy - dodałam szybko.

- Bynajmniej - powiedział Kelton. - Odniosłem zupełnie takie same wrażenie, gdy tu zajechałem, ale szukałem pracy, a właśnie tutaj znaleźli się jedyni głupcy w kraju, którzy mi ją zaferowali. Manny przeprowadził się tutaj, bo lubił łowić ryby w zatoczce Zeskoku Joego. Ale ile można wędkować? Człowiek musi robić też coś innego.

- Co to jest Zeskok Joego?

- To jeziorko kilometr za miastem. Nazwa wzięła się od imienia pewnego osadnika, który przejeżdżał tędy swoim powozem, gdy nagle jego koń spłoszył się, widząc na drodze grzechotnika. Zwierzę poderwało się do dzikiego biegu i pociągnęło za sobą wóz. Osadnik zdołał zeskoczyć do jeziora ułamek se-

kundy przed tym, jak wóz się przewrócił |rozleciał w drzazgi, zabijając konia.

- Wygląda na to, że w Opalach wszystko tłumaczy jakaś legenda - zauważyłam.

- Bardzo chciałbym poznać legendę kryjącą się za śmiercią Manny'ego, żeby jak najszybciej stąd wyjechać - powiedział Monk.

- Uczciwie postawiona sprawa. - Kelton podniósł się zza biurka. - Zawiozę was w takim razie do muzeum, żeby mógł pan obejrzeć miejsce popełnienia przestępstwa.

Poprowadził nas do drzwi, otworzył je przed nami szeroko i wyszliśmy na drewniany chodnik przed budynkiem.

- Jest tu jakieś złomowisko? - zapytał Monk.

- Nie - odparł Kelton. - Dlaczego pan pyta?

- Natalie musi oddać samochód na złom. - Monk pokazał palcem mojego upačanego błotem i owadami buicka lucernę.

- Wystarczy, jeśli go umyję - stwierdziła.

- Proszę mi dać kluczyki do auta - powiedział Kelton.

Podałam mu kluczyki, a komendant wrócił na chwilę na posterunek i rzucił kluczyki jednemu z podwładnych.

- Billy, jeśli nie masz wiele do roboty, umyj ra diowozy i tego buicka.

Potem wrócił i dopiero wtedy mogłam zareagować.

- To bardzo miło z pana strony, ale nie chciałybym sprawiać panu kłopotu.

- Dla mnie to żaden kłopot - odparł ujmująco Kelton. - Raczej dla posterunkowego Cridera.

Komendant skierował nas w lewo, na chwilę przy-

kładając delikatnie dłoń do moich pleców. Poczulałam, jaka jest ciepła i silna. Trzymał ją tam na tyle długo, na ile nakazywała przyzwoitość, ale chciałam, aby została nieco dłużej.

Szłam obok Keltona, a Monk dreptał wolno z nami, ostrożnie przestępując z jednej deski na drugą.

- Co on robi? — szepnął do mnie komendant.

- Jak się domyślam, chce być pewien, że przy każdym roku postawi nogę na jednej desce, i sprawdza przy okazji, czy każda deska jest równa i wypoziomowana.

Minęliśmy saloon, małą lodziarnię, aptekę i rząd niewielkich sklepików, w których sprzedawano odzież, sprzęt domowy, warzywa i owoce, karmę dla zwierząt, książki i różnorodne drobiazgi. Ani jeden ze sklepików nie należał do dużej sieci.

- Trochę jakby miał nierówno pod sufitem - mruknął Kelton.

- Ma bardzo równo - odpowiedziałam. — Nie znosi, gdy coś jest nierówne albo nieparzyste.

- Aha, to dlatego przy spodniach ma osiem szlufek, a nie siedem.

- Bardzo pan spostrzegawczy - przyznałam. - Jestem pod wrażeniem.

- Jak mówiłem, kiedyś byłem detektywem. - Kiedy się do mnie uśmiechnął, oczy mu błyszczwały, a ja starałam się nie oblać rumieńcem.

- Jak się panu podobają Opały?

- Czas wolno tu biegać - odpowiedział. - Rola stróża prawa rzeczywiście polega tu wyłącznie na utrzymywaniu spokoju. W Opałach trudno mówić o przestępczości, dochodzi tu najwyżej do mniejszych wykroczeń, najczęściej jest to zakłócanie porządku w stanie nietrzeźwym, czasem jakieś kłótnie domo-

we. Bywa, że przez długie tygodnie nie dokonujemy żadnych zatrzymań.

- Nie nudzi się pan?

- Nie ma porównania z emocjami w Bostonie - przyznał. - Ale prawdopodobnie dlatego już nie piję.

- Uciekajcie, ratujcie życie! - usłyszałam raptem krzyk Monka, który pchnął mnie gwałtownie i minął w biegu.

Mój bohater.

Odwrociłam się i zobaczyłam idącego wolno za nami osiołka.

- Niech pan strzela! - krzyknął Monk do Keltona.

- Nie mam przy sobie broni - odparł policjant.

- Gdzie pan ją ma?

- Trzymam w szufladzie w biurku.

- Dlaczego? - zdziwił się Monk.

- Broń zabieram tylko wtedy, gdy uznaję, że może będę musiał jej użyć - wyjaśnił Kelton. - Zresztą nie mogę strzelać do zwierzęcia. Prawo Opał zabrania zabijania i dręczenia osiołków.

- Ale jeśli osiołki tratują przechodniów, to wszystko jest w porządku? - zapytał Monk. - Czy tutaj już wszyscy postradali zmysły?

- Proszę się nie martwić. Panuję nad sytuacją.

- Gdyby to była prawda, dzikie zwierzęta nie szalałyby po ulicach pańskiego miasta. W Bostonie czy San Francisco takie rzeczy są nie do pomyślenia.

- Wolę mieć na ulicach kilka osiołków niż hordy bezdomnych pijaków, prostytutek, gangsterów i handlarzy narkotyków.

Kelton zatrzymał się na rogu ulicy, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej smakołyk dla psów, który podał osiołkowi na otwartej dłoni.

Zwierzak podszedł, ostrożnie wziął z ręki poczę-

stunek i połknął łąpczywie. Kelton pogłaskał osiołka po głowie.

- Teraz skręcamy w lewo - powiedział.

Ruszyliśmy w bok Drugą Ulicą, a osiołek poma szerował dalej Main Street.

- Chusteczka - powiedział Monk, ponaglaając mnie nerwowo ręką.

Sięgnęłam do torebki, wyciągnęłam chusteczkę higieniczną i podałam ją Monkowi. Ten jednak wskazał Keltona.

- Nie dla mnie. Dla niego. Prędko!

Wyciągnęłam chusteczkę w kierunku komen danta.

- Bardzo dziękuję, ale nie będzie potrzebna.

Monk jęknął głucho.

- Pan pragnie umrzeć? -

Nie.

- Jest pan pijany?

- Nie w tej chwili.

- Jak więc wytłumaczy pan odmowę umycia rąk po tym, jak obśliniło je dzikie, chore na wściekliznę zwierzę, a na dodatek zatopił pan palce w jego brudnej, zapchlonej sierści?

Kelton westchnął, wziął ode mnie chusteczkę i wytarł obie ręce.

- Później mi pan podziękuje - oświadczył Monk, idąc parę kroków przed nami, ostrożnie stawiając stopy, jakby szedł po polu minowym.

Wyjęłam z torebki foliowy woreczek i podsunęłam go Keltonowi, by wrzucił do niego zużytą chusteczkę. Gdy to zrobił, zapięłam woreczek i wsadziłam go z powrotem do torebki.

- Ile takich chusteczek nosi pani przy sobie? - za pytał mnie Kelton.

- Setki.
- Na jak długo wystarcza taki zapas?
- Na dzień, może dwa.

Potrząsnął głową.

- Długo z nim pani pracuje?
- Od lat.
- I nie jest pani alkoholiczką? -Nie.
- Narkomanką? -Nie.
- Nie podjęła pani od tego czasu ani jednej próby samobójczej?
- Nie.
- Nie usiłowała pani nikogo zamordować? - Nie.
- To cud. Przytaknęłam bez słowa.

Detektyw Monk i Złoty Ekspres

Muzeum Gorączki Złota zajmowało pomieszczenia dawnej stacji kolejowej Opał. Wypełniały je eksponaty z tamtego okresu, na przykład przyrządy do ważenia złota czy sprzęt niezbędny poszukiwaczowi do pracy, począwszy od szpadli, oskardów i mis do płukania złotonośnego piasku, a skończywszy na skrzynkach do wytrząsania złota czy ręcznych śluzach.

Ściany muzeum obwieszane były dziesiątkami oryginalnych dagerotypów, fotografii, rysunków, obrazów i dokumentów ilustrujących pełne znoju i biedne życie „czterdziestekdziewiątek”.

Był tam klasyczny, kryty płótnem wóz osadników, była oryginalna bryczka i prawdziwy dylizans, a także przekrój chaty górnika naturalnej wielkości.

Było też kilka zainscenizowanych dioram z manekinami odzianymi w stroje tamtych czasów, uchwyconymi w chwili budowy górniczej chaty, płuczącymi piasek w poszukiwaniu złota lub przekopującymi kopalniane korytarze.

Jedynymi eksponatami przedstawiającymi większą wartość materialną były pokryte złotymi smużkami grudki kwarcu, a także złote samородki oraz połyskujące stożki złotego pyłu w jednej z wystawowych gablot.

Główną atrakcją muzeum była jednak potężna lokomotywa parowa i doczepiony do niej wagon pasażerski. Należały one, jak wyjaśniała umieszczona przed nimi tabliczka, do składu osławionego Złotego Ekspresu.

- Właśnie tu zginął Manny - powiedział Kelton. - Napastnik ukrył się za pociągiem i uderzył go z tyłu oskardem.

- Znaleźliście narzędzie zbrodni? - zapytał Monk.

- Oskard pochodził z jednej z muzealnych dioram.

Kelton wskazał ręką dioramę w najbardziej odległej części muzeum. Widać było w niej brodatego, puciołowatego poszukiwacza złota, który kuca przy jakiejś formacji skalnej i bada jej odłamki, podczas gdy stojący obok niego krnąbrny osioł ciągnie go za luźną szelkę drelichowego kombinezonu.

Nie jestem historykiem, ale diorama nie wydawała się prawdziwa. Bardziej kojarzyła mi się z disnejowską opowieścią, w której górnik przypomina sympatyczną postać z kreskówki, a osiołek ulega antropomorfizacji jak w bajce, aby z chwili żmudnych poszukiwań stworzyć żywy, wesoły obrazek.

- Nie mamy na miejscu techników dochodzeniowych, więc wezwałem laborantów ze stanowej policji kryminalnej, żeby zbadali miejsce przestępstwa - wyjaśniał Kelton. - Oskard, rzecz jasna, został wyarty do czysta, a ponieważ przez muzeum przewija się tysiące ludzi, zebrane włókna i odciski palców prowadzą donikąd.

- Czy Manny miał dyżur? - zapytał Monk.

Kelton przytaknął.

- Obchodził budynek co godzinę. Po drodze musiał przesuwać kartę identyfikacyjną przez specjalne

czytniki rejestrujące czas obchodu. Dzięki temu dyrektor muzeum mógł być pewny, że Manny nie przespisał służby z głową złożoną na biurku w recepcji.

- Jak napastnik dostał się do środka bez uruchamiania alarmu?

- Sądzę, że wszedł w ciągu dnia jako zwykły zwiedzający i ukrył się w muzeum do czasu zamknięcia. Natomiast wyszedł o drugiej trzydzieści dwie w nocy, używając klucza elektronicznego Manny'e-go, zatem znowu nie uruchomił alarmu. Kartę z kluczem znaleźliśmy przed budynkiem pod drzwiami. Oczywiście nie było na niej żadnych odcisków palców.

- Co widać na kamerach przemysłowych?

- Nie ma kamer - wyjaśnił Kelton. - Dyrekcja muzeum doszła do przekonania, że system alarmowy i strażnik w zupełności wystarczą. W końcu nie trzymają tu królewskich klejnotów ani Mony Lisy.

- A złoto? - wskazałam ręką gablotkę z samородkami i złotym pyłem. - To chyba jest coś warte.

- Najwyżej kilkaset dolarów — odpowiedział Kelton. - Dla takiej sumy nie warto zabijać człowieka.

- Ludzie padają ofiarą morderstw z bardziej błahych powodów.

- W San Francisco albo Bostonie - powiedział Kelton. - Ale nie tutaj.

Monk wyciągnął przed siebie ręce, tworząc z kciuków i palców wskazujących klatkę niczym prawdziwy reżyser. Potem przechylił głowę to w jedną, to w drugą stronę, zakręcił piruetic i zaczął przemierzać salę niepewnym krokiem, przypominającym balet w zwolnionym tempie.

Kelton nie mógł oderwać od niego wzroku.

- Co on robi? - zapytał w końcu.

- Bada miejsce zbrodni - wyjaśniłam. - Nazywam to Monkowym tańcem zen.

- To działa?

- Jeszcze nigdy się nie pomylił. Jak pan sądzi, co tu się stało?

- Mam parę hipotez, które jeszcze dopracowuję. Według jednej z nich, morderstwo nie miało nic wspólnego z próbą udaremnienia włamania rabunkowego ani w ogóle z muzeum. Celem sprawcy było zabicie Manny'ego.

- Dlaczego tutaj, a nie w domu lub w drodze do pracy?

- Żeby upozorować włamanie do muzeum.

- Ale zabójca nic nie ukradł.

- To właśnie jest słaba strona tej hipotezy. - Kelton znowu spojrzął na Mońka, który w tym momencie dokładnie oglądał pociąg.

- Ma pan więc jakąś inną teorię, komendancie?

- Być może zabójca szukał tu czegoś, co nie było warte góry pieniędzy, ale miało bezcenną wartość osobistą lub kolekcjonerską, dla niego samego albo dla kogoś, kto go wynajął do czarnej roboty.

- Będzie pan w stanie to ustalić?

- Poprosiłem dyrektora muzeum, aby przejrzał historię pozyskanych eksponatów i sprawdził, czy z którymś z nich nie wiążą się jakieś kontrowersje. Nie licząc oczywiście pociągu.

- Tego pociągu? - zapytał Monk, wychodząc zza wagonu.

- Tak. To Żółty Ekspres - powiedział Kelton.

- I cóż z tego? - zapytałam. - To ten

słynny Żółty Ekspres.

- Nigdy o nim nie słyszałam - stwierdziłam.

- Ja też nie - powiedział Monk.

- Naprawdę? - zdziwił się Kelton. - Tutaj mówią o nim tak, jakby słyszał o nim każdy mieszkaniec Kalifornii.

- Bardzo bym chciał, żeby tak było - odezwał się ktoś za naszymi plecami.

Obróciliśmy się i zobaczyliśmy przysadzistego, otyłego mężczyznę w golfie i luźnych spodniach, który zmierzał w naszą stronę. Wyglądał jak brzoskwinia, której złota rybka spełniła życzenie przemienienia się w człowieka. Towarzyszył mu mężczyzna w uniformie strażnika.

- Nasze muzeum nie mogłoby się opędzić od turystów - dodał okrągły mężczyzna.

- To pan Edward Randisi, dyrektor muzeum - przedstawił przybysza komendant Kelton. -A to Bob Gorman, nasz mechanik samochodowy, a w każdym razie były mechanik.

- Bob przyjął propozycję objęcia funkcji strażnika w muzeum - wyjaśnił Randisi.

- Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci Manny'ego, ale propozycja takiej pracy to dla mnie okazja, której nie mogłem przegapić - powiedział Gorman.

Był to wysoki, dość szczupły mężczyzna, z jabłkiem Adama tak wydatnym, że miałam wrażenie, jakby Gorman usiłował przelknąć piłkę baseballową.

- Nie zamartwiaj się tyle, Bob. Dobrze cię rozumiem - powiedział Kelton. - To pan Adrian Monk, konsultant wydziału zabójstw Departamentu Policji San Francisco oraz jego asystentka Natalie Tee-ger. Byłbym wdzięczny, gdybyście okazali im, panowie, wszelką możliwą pomoc i zapewnili pełny dostęp do muzeum.

- Oczywiście, komendancie - powiedział Randisi. - Jestem tutaj przez cały dzień, poza godziną lunchu, którą spędzam w Chuckwagon, a Bob zaczyna dziś nocną służbę.

- Zamierzam zabrać ze sobą dubeltówkę wujka. Jeśli znowu pojawi się jakiś odurzony narkotykami wyznawca szatana, to z obu luf wyślę go do wszystkich diabłów - oświadczył Gorman.

- Dlaczego sądzisz, że Manny'ego zamordował odurzony narkotykami wyznawca szatana? - zaciekawił się Kelton.

- Tak słyszałem - odparł Bob.

- To nawet logiczne - wtrącił Monk. Wszyscy odwróciliśmy się w jego stronę.

- Na podstawie czego pan tak twierdzi?

- Na podstawie tego, jak ludzie tu żyją.

Przymusiłam się do uśmiechu.

- Pan Monk żartuje.

- Wcale nie żartuję - zaprzeczył Monk.

Dźgnęłam go łokciem i odezwałam się do dyrektora:

- Może więc pan powie, panie Randisi, z czego słynie ten pociąg?

Randisi uśmiechnął się i zatarł z rozkoszą rękę. Odesłał Boba Gormana i zaczął opowieść.

- Złoty Ekspres był prywatnym pociągiem dla bogaczy i elity, który przewoził pasażerów z ich posiadłości w San Francisco do ich kopalni złota w środkowej Kalifornii. Opały były ostatnią stacją na trasie - wyjaśniał. - Do wydarzeń, które rozślawiły pociąg, doszło jednak dopiero blisko sto lat później.

Randisi wyraźnie delectował się tą historią, prowadząc nas przez brek dla maszynisty do czarnego

od sadzy kotła, gdzie palacz dorzucał do pieca węgiel, aby kocioł był bez przerwy rozgrzany.

Kiedy zakończyła się gorączka złota, Złoty Ekspres pozostawał przez dziesięć lat w prywatnych rękach, a potem został oddany do użytku publicznego. Jego trasa kolejowa skróciła się do niedługiego odcinka między Sacramento a Opalami, na terenie, gdzie jeszcze poszukiwano złota. Pociąg pozostawał w eksploatacji, ale liczba przewożonych pasażerów powoli topniała, aż do roku 1962, kiedy ostatni kurs uczczono turniejem pokera na wysokie stawki. Pulę nagród stanowiły monety ze szczerego złota, warte ponad sto tysięcy dolarów, co wówczas było ogromną sumą.

W istocie rzeczy turniej pokera miał być chwytym reklamowym, przygotowanym przez jednego z deweloperów, który chciał przyciągnąć uwagę inwestorów i zainteresować ich ogromnym osiedlem mieszkaniowym, które planował wybudować nieopodal Opał. Po tym ostatnim przejeździe pociąg miał być rozebrany na części i oddany na złom.

Jednak wypadki potoczyły się inaczej.

W połowie drogi dokonano napadu na Złoty Ekspres. Pociąg został złupiony przez co najmniej trzech sprawców przebranych za pasażerów. Bandyci zasłonili twarze i ograbili z pieniędzy wszystkich pasażerów jadących w salonce, gdzie grano w pokera, zabierając całą pulę złotych monet. Podczas napadu zginęło dwóch ludzi, jeden strażnik, którego dosięgła kula, oraz konduktor, który wypadł z jadącego pociągu. Ponieważ w czasie rabunku pociąg się nie zatrzymał, uznano, że sprawcy wmieszali się w grono pasażerów.

Na stacji w Opalach dokładnie przeszukano wszyst-

kich pasażerów i załogę pociągu. Ujęto w ten sposób dwóch rabusiów, ponieważ mieli w kieszeni kilka unikatowych złotych monet. Obaj stanęli przed sądem. Jeden dostał piętnaście lat więzienia, a drugi dożywocie. Ale żaden nie zdradził trzeciego współnika i nie ujawnił, co się stało z gotówką i resztą łupu.

Dochodzenie policji opierało się na założeniu, że musiał być jeszcze jeden współnik, a może było ich więcej, który wyskoczył z łupem z pociągu w czasie jazdy. Brano też pod uwagę, że worki ze zdobyczą zostały rzucone z pociągu do kogoś, kto czekał przy torach w umówionym miejscu, i kto zakopał łup, aby wydobyć go, gdy przycichnie sprawa.

Ta teoria miała wiele niejasności. Wielu twierdziło, że skok z pędzącego pociągu nie mógł nie skończyć się poważnymi obrażeniami lub nawet śmiercią, a ciężkie worki z pewnością rozerwałyby się w momencie uderzenia o ziemię, rozsypując złoto i pieniądze na długim odcinku. Jednak wzdłuż torów znaleziono jedynie broń i maski napastników. Odcisk palca zdjęty z kolby pistoletu należał, jak się okazało, do jednego z dwóch schwytanych.

W ciągu blisko pięćdziesięciu lat, jakie upłynęły od tamtego zdarzenia, dziesiątki tysięcy ludzi w poszukiwaniu skarbu przeczesало trasę przejazdu pociągu i całą okolicę. Nie odnaleziono ani jednej monety.

- Po tym ostatnim, tragicznym w skutkach kursie pociąg miał być wycofany z użytku, ale na szczęście, dzięki sławie, jaką zyskał za sprawą napadu, Złoty Ekspres służył jeszcze przez kolejnych dwadzieścia lat jako atrakcja turystyczna, aż w końcu trafił na bocznice - mówił Randisi. - Został sprze-

dany na złom, ale zanim to nastąpiło, skład rozebrano kawałek po kawałku i skrupulatnie przeszukano w nadziei odnalezienia ukrytego schowka. Nic jednak nie znaleziono. Udało nam się ocalić lokomotywę, która służy teraz za główną atrakcję muzealną.

- Co się stało z deweloperem i jego osiedlem mieszkaniowym? - zapytałam.

- Zbankrutował, zanim zabrał się do budowy - wyjaśnił dyrektor. - Złoto utracone w czasie napadu należało właśnie do niego.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami i przekreślił na bok głowę.

- Złota nigdy nie odnaleziono? - upewnił się.

Randisi potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Może panu się uda.

Żadne „może”. Monk już łyknął haczyk. Nie wyjedziemy z miasta, dopóki nie rozwiążemy obu zagadek, nawet jeśli jedna z nich liczyła już sobie niemal pół wieku.

- Gdzie mógłbym się dowiedzieć czegoś więcej na temat Złotego Ekspresu i obu rabusiów schwytanych w czasie napadu? - zapytał Monk.

- Może pan porozmawiać z panią Doris Thurlo, historykiem naszego miasteczka. W swoim domu, zwanym przez wszystkich „Pudełkiem”, Doris zarządza miejskim towarzystwem historycznym i lokalną izbą handlową - mówił Randisi. - Dom na pewno nie umknie waszej uwagi. To idealny sześcian.

Monk szybko zamrugał.

- Idealny sześcian?

- Nawet okna są kwadratowe - powiedział Randisi. - To osobliwość naszego miasteczka od ponad stu pięćdziesięciu lat.

- Muszę to zobaczyć.

Monk natychmiast ruszył do wyjścia, ale Kelton zastąpił mu drogę.

- Pan chce zwiedzać miasto? - zapytał. - Sądziłem, że przyjechał pan, aby pomóc nam w śledztwie w sprawie morderstwa.

Monk obszedł komendanta, nie zwalniając kroku. Ruszyliśmy z Keltonem za nim.

- Dyrekcji muzeum powinien pan kazać sporządzić inventarz wszystkich pokoiów i biurków, a nie tylko zbiorów - powiedział Monk. - Niewykluczone, że kradzieży uległ nie eksponat, ale jakieś akta albo przedmiot osobistego użytku należący do któregoś z pracowników.

- Zaraz powiem Edowi, żeby się tym natychmiast zajął — powiedział Kelton. — Ma pan jeszcze inne spostrzeżenia?

- Powiedział pan, że Manny zginął ponoć od uderzenia oskarżeniem zdjętym z dioramy, a do morderstwa doszło koło pociągu.

- Tu nie ma żadnych domniemywań - stwierdził Kelton. - To fakty. W każdym razie według ustaleń techników ze stanowej policji kryminalnej.

- Ale diorama znajduje się na drugim końcu muzeum - zauważył Monk, wychodząc z budynku.

- Co to ma za znaczenie? - Kelton pospieszył za Monkiem i wyszedł za nim na chodnik.

- Dlaczego zabójca przeszedł taki kawał drogi po narzędzie zbrodni, skoro bliżej miał inne przedmioty, których również mógłby użyć?

- Może właśnie w dioramie czekał w ukryciu na zamknięcie muzeum i sięgnął po to, co miał pod ręką?

- Może - przytaknął Monk, krocząc przed siebie z wielką determinacją i bacząc, by stawiać nogi na

odpowiedniej desce. - Jeśli jednak morderca przyszedł tutaj z zamiarem zabicia Manny'ego, to dlaczego nie przyniósł broni ze sobą?

- Nie wiem - zgodził się Kelton. - Tu nic do niczego nie pasuje.

- Zawsze wszystko do wszystkiego pasuje - oświadczył Monk. - Taki jest naturalny stan rzeczy. Po prostu brakuje paru elementów. Ale ja je znajduję.

Wzięłam Keltona pod ramię i pociągnęłam, aby zwolnił, tak żeby Monk mógł nas wyprzedzić i nie słyszał, co mówimy.

- Może pan być tego pewny, komendancie. Pan Monk nie będzie mógł dalej funkcjonować, jeśli nie rozgryzie tej tajemnicy.

- Funkcjonować?

- W życiu - odparłam. - Dopóki nie rozwikła morderstwa Manny'ego Feikemy, będzie myślał wyłącznie o nim. Już nie spocznie, nawet gdyby miało to oznaczać pobyt w mieście pełnym pijusów i odurzonych narkotykami wznawców szatana.

Nie widziałam powodu, aby wspominać, że Monk będzie również pracował nad sprawą napadu na Złoty Ekspres. To przestępstwo nie należało do priorytetów Keltona.

- Co za poświęcenie - stwierdził komendant.

- To obsesja.

Kelton wzruszył ramionami.

- Nieważne co, byle przyniosło dobry skutek. Pani wybaczy, ale mam teraz zamiar łyknąć parę mar-tini i zarznąć parę koziółków w ofierze szatanowi. Potem zajmę się waszym noclegiem w motelu. Za-rezervować jeden pokój czy dwa?

- Dwa. Zdecydowanie dwa. I oba muszą mieć parzyste numery.

- Oczywiście. Gdzieś was później znajdę - po wiedział i odszedł.

Odprowadzałam go przez chwilę wzrokiem. Miałam nadzieję, że znajdzie mnie bardzo szybko.

Monk dotarł do „Pudełka” i zatrzymał się, podziwiając budynek. Randisi się nie mylił, trudno było coś takiego przeoczyć. Dom był zbudowany z drewnianych bali, okna miał kwadratowe, a wokół biegła weranda z zadaszeniem wspartym z każdego boku czterema kolumnkami. Mało tego, dom był idealnie symetryczny, z każdej strony miał po dwa kwadratowe okna, a jego tył i boki wyglądały dokładnie tak samo jak fasada.

Wiem to, ponieważ dom otaczał parking i cały czas szłam za Monkiem, który obszedł budynek, nie mogąc wyjść z podziwu. Stąd też wiedziałam, że posiadłość rzeczywiście była kwadratowa, a każdy z narożników działki znaczyło jedno drzewo.

- To prawdziwe dzieło sztuki - powiedział Monk, kiedy podeszliśmy pod drzwi wejściowe.

Zatrzymał się, aby policzyć bale. Od ziemi po dach była ich parzysta liczba. Nawet kwadratowe okna osadzone były na takiej wysokości, aby od ziemi do dolnej ramy okna i od górnej ramy po dach znalazła się parzysta liczba bali.

- Wyborna budowla, prawda? - zachwycał się Monk.

- Trochę nazbyt pudełkowata - wyraziłam wątpliwość.

- Nie ma takiego określenia jak „nazbyt pudełkowata” - odpowiedział. - To tak, jakby powiedzieć, że coś jest nazbyt doskonałe.

Monk otworzył drzwi i weszliśmy do środka. Wnętrze wyglądało jak skromniejsza wersja muzeum,

wszędzie znajdowały się narzędzia poszukiwaczy złota i stare fotografie. Była też gablotka wystawieni-
nicza z broszurami, publikacjami i książkami doty-
czącymi Opał i okolic miasteczka.

Za biurkiem siedziała kobieta w wieku dobrze
ponad sześćdziesięciu lat. Miała natapirowane włosy,
a na szyi okulary na cienkim łańcuszku i korale w
stylu Wilmy Flintstone.

Kiedy nas zobaczyła, jej oczy zrobiły się okrągłe.
Wstała wolno i trzęsącymi się rękami nałożyła oku-
lary na nos.

- Dzień dobry - przywitał się Monk. - Czy pani
Doris Thurlo?

Kobieta przytaknęła nerwowo.

- Pan Monk? - zapytała drżącym głosem. - To
naprawdę pan?

- We własnej osobie - odpowiedział Monk. - Przy-
chodzę specjalnie do pani.

Kobieta wydała z siebie krótki, zduszony krzyk i
zemdląła.

6 Detektyw

Monk i pan Monk

Doris Thurlo osunęła się na kolana, ale zanim uderzyła całym ciałem o podłogę, udało mi się ją złapać i posadzić z powrotem na krześle. Zamrugła powiekami i otworzyła oczy.

- To ty, Abby?

- Lepiej się pani czuje? Mam wezwać lekarza?

Spojrzała ponad moim ramieniem na stojącego za mną Monka i aż się wzdrygnęła.

- Czy ja jeszcze żyję? - zapytała.

- Myślę, że tak - odparłam.

Doris spojrzała mi w oczy.

- Czy pani żyje?

Robiła wrażenie zupełnie zagubionej. Bałam się, czy nie doznała małego wylewu lub czegoś w tym rodzaju.

- Chyba jednak wezwę ambulans - powiedziałam, sięgając do torebki i wyciągając telefon komórkowy.

- Zaraz. - Kobieta chwyciła mnie za nadgarstek. - Gdyby pani była Abby, nie miałyby pani telefonu komórkowego.

- Nie wiem, kim jest Abby. Nazywam się Natalie Teeger. Pracuję u pana Adriana Monka.

-Adriana?- powiedziała, wpatrując się z zaciekawieniem w Monka.

- Czy my się znamy? - zapytał Monk. - Czy też rozpoznana mnie pani, ponieważ jestem znanym na całym świecie detektywem?

Rzuciłam mu chłodne spojrzenie.

- Od kiedy stał się pan sławny na cały świat?

- Znają mnie w Niemczech i we Francji.

- To jeszcze nie jest cały świat.

- Wieści rozchodzą się lotem błyskawicy.

- Pan Adrian Monk jest konsultantem wydziału zabójstw Departamentu Policji San Francisco - wyjaśniłam. - Pomagamy komendantowi Keltonowi rozwiązać zagadkę morderstwa Manny'ego Feikemy, strażnika z Muzeum Gorączki Żłota.

- Och, matenka... - stęknęła Doris i wyprostowała się w krześle. — Proszę mi wybaczyć. Kiedy pan wszedł i powiedział, że przychodzi specjalnie do mnie, sądziłam, że zamierza mnie pan zabrać do Jezusa.

- Myślała pani, że pan Monk to kostucha?

Cóż, reputacja Monka rzeczywiście musiała go wyprzedzać. Trupy zdawały się objawiać wszędzie, gdzie się pojawiał. To jeden z powodów, dla którego nikt nie zapraszał go na przyjęcia, wesela czy żadne inne imprezy. Właściwie potrafiłam zrozumieć, dlaczego ludzi w tak małym miasteczku ogarnia strach na widok wchodzącego do ich domu Monka. Prawdopodobieństwo, że padnie się ofiarą zabójstwa, jest w takiej dziurze o wiele większe niż w wielkiej aglomeracji.

- Myślałam, że jesteście duchami i wybiła moja ostatnia godzina - mówiła Doris.

- Pani myślała, że jestem duchem? - zapytałam.

- Cóż, nigdy nie widziałam zdjęcia Abigail - powiedziała. - Ale ten pan jest kubek w kubek podob-

ny do Artemisa. Wiem, co mówię. Nie jestem osobą, która gada, co ślina na język przyniesie.

- Tylko proszę nie pluć - zaniepokoił się Monk. - Nikt nie powinien pluć. Uważam, że to obrzydliwe i całkowicie bezzasadne.

- Artemis również tak uważał - powiedziała zdumiona Doris. - Zadręczał szeryfa i właścicieli saloonów, aby wprowadzili zakaz spluwania tytoniem. Artemis miał szczęście, że miasteczku potrzebny był uczciwy probierca złota, bo w przeciwnym razie osadnicy zaraz by go za coś takiego powiesili. Poszukiwacze złota nie mieli wiele rozrywki, jedną z nielicznych było żucie tytoniu. Ani w głowie im było pozwolić, aby Artemis pozbawił ich takiej frajdy. Niemniej jednak z konieczności, a także szacunku do niego, ulegali wielu innym jego absurdalnym pomysłom.

- Co to za Artemis, o którym tyle pani mówi? - zapytał Monk.

- Artemis Monk oczywiście - odpowiedziała Doris. - Mieszkał w tym domu i tu mieściło się jego biuro.

Raptem olśniło mnie i poczułam, jak po plecach przechodzą mi ciarki. Nic dziwnego, że dom był idealnie kwadratowy, zbudowany z parzystej liczby bali, że stanął dokładnie na samym środku działki i że ulice Opał krzyżowały się dokładnie pod kątem prostym.

To samo zrobiłby Adrian Monk, gdyby żył na Dzikim Zachodzie.

Doris wstała i podprowadziła nas do fotografii wiszącej na ścianie. Był to oprawiony w drewnianą ramkę dagerotyp, monochromatyczne zdjęcie wydrapane na posrebrzanej płytce miedzianej, przedstawiający portret wielkości pudełka do płyty kompaktowej.

- To Artemis około tysiąc osiemset pięćdziesiąt tego piątego roku - powiedziała Doris. - Był bardzo ważnym człowiekiem w miasteczku.

Przyjrzałam się uważnie portretowi.

Dawno temu, kiedy Julie była jeszcze w pieluchach, zanim jeszcze mój mąż zginął zestrzelony w misji lotniczej nad Kosowem, pojechaliśmy wszyscy troje na doroczny jarmark hrabstwa w Monterey i weszliśmy do jakiegoś atelier, gdzie przebraliśmy się w tradycyjne stroje z Dzikiego Zachodu, a fotograf zrobił nam taki „staroświecki”, sepiowy portret rodzinny. Jeszcze tego samego roku wykorzystaliśmy to zdjęcie na pocztówkach rozsyłanych na Boże Narodzenie. Wspomnienie to wywołał we mnie portret Artemisa Monka. Wyglądał na nim tak, jakby to Adrian Monk poszedł dzisiaj do takiego jarmarko-wego atelier i zrobił sobie takie „staromodne” zdjęcie. Albo jakby wsiadł do wehikułu czasu, odwiedził przeszłość i zabrał stamtąd swoje zdjęcie, o niczym mi nie mówiąc.

Monk i mężczyzna na dagerotypie mogliby być bliźniakami. Nawet ubrania mieli podobne, choć Artemis Monk miał na sobie rzeczy typowe dla mody dziewiętnastego stulecia. Ale również on zapinał koszulę pod samą szyję.

- Niesamowite - powiedziałam i odwróciłam się do Monka. - Wiedział pan, że miał pan przodka na Dzikim Zachodzie?

- Co cię skłania do myślenia, że jestem potomkiem tego człowieka?

Popatrzyłam na niego wymownie, w nadziei, że wyraz mojej twarzy będzie wystarczającą odpowiedzią. Ale nie był. Musiałam ją wyartykułować.

- Obaj oczekujecie, aby wszystko było równe, sy-

metryczne i parzyste. Tak samo się ubieracie. Artemis był probiercą, pan uwielbia polerować kamienie. „

- Innymi słowy - przerwał mi Monk - był normalną, dobrze przystosowaną do życia, racjonalną osobą, tak samo jak ja. Trudno upatrywać w tym szczególne podobieństwo.

- Nosicie to samo nazwisko.

- Jest mnóstwo ludzi o nazwisku Monk, z którymi nie łączą mnie żadne więzy pokrewieństwa. Choćby Thelonus Monk.

- Jesteście identyczni.

- Widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć - powiedziała Monk. - Gdyby Doris Thurlo nie powiedziała ci, że ten człowiek nazywał się Artemis Monk, nie dostrzegłabyś żadnego podobieństwa.

- Czy nie wspomniał pan, że jest pan detektywem? - zapytała Doris.

- Znany na całym świecie.

- Widać, że to przechodzi w rodzinie z pokolenia na pokolenie - stwierdziła. - Artemis miał niespotykaną smykałkę do prowadzenia śledztw i rozwiązywania zagadek kryminalnych. Szeryf, który był bardzo mężnym i oddanym stróżem prawa, ale na pewno nie geniuszem detektywistycznym, często prosił Artemisa i jego asystentkę, Abigail Guthrie, o pomoc w śledztwie.

- Artemis Monk miał asystentkę? - zapytałam.

- Bez niej by zginął. To był człowiek szczególnego pokroju, który, mimo rzadkiego geniuszu, nie potrafił dać sobie rady w codziennym życiu.

Podobieństwa między oboma Monkami przyprawiły mnie o dreszcze,

- Co pani wie o Abigail Guthrie?

- Niech sama pani o sobie opowie. - Doris poszła do gablotki pełnej starych, oprawionych w skórę książek, wyjęła jedną z nich i wręczyła mi ją. - Abigail opublikowała pamiętnik opowiadający o ich przygodach. Dzisiaj pozostało tylko kilka egzemplarzy. Może panią zainteresuje.

Pamiętnik zatytułowany był „Nadzwyczajny pan Monk”. Podniosłam książkę wyżej, by Monk mógł ją zobaczyć.

- Czy to nie zdumiewające?

Potrząsnął głową.

- Skąd. O wiele bardziej interesuje mnie napad na Złoty Ekspres i ludzie, którzy go dokonali.

- To interesuje większość przyjeżdżających do Opał - stwierdziła Doris. - Wszyscy chcą odnaleźć złoto.

- Pan Randisi powiedział nam, że jest pani historykiem i zna dzieje miasteczka - odezwał się Monk. - Co może nam pani powiedzieć o napadzie na ten pociąg?

Doris Thurlo opowiedziała nam mniej więcej tę samą historię, którą usłyszeliśmy od dyrektora muzeum, ale dodała parę szczegółów. Obaj schwytani rabusie, George Gilman i Jake Slocum, twierdzili, że do roboty najął ich konduktor, Ralph DeRosso, który kazał im dokonać napadu i dostarczyć mu konopne worki ze zrabowaną gotówką i złotymi monetami. Obaj twierdzili, że nie mają pojęcia, co się stało z łupem ani w jaki sposób DeRosso wypadł z jadącego pociągu. To właśnie odciski palców Gilmana znalezione na broni.

- Pan Randisi nic nie wspominał o tym, że konduktor mógł być zamieszany w napad - stwierdził Monk. - Mówił, że schwytani rabusie nigdy nie ujawnili współników.

- Ed zrobił tak przez szacunek dla rodziny De-Rosso, która jest bardzo szanowana w miasteczku - wyjaśniła Doris. - Według przeważającej opinii, Slocumowi i Gilmanowi łatwo było zrzucić winę na Ralphi DeRosso, ponieważ w trakcie napadu zginął, więc nie mógł bronić swojego dobrego imienia. Większość ludzi czuła, że Slocum i Gilman łgali, aby kryć kogoś innego.

Doris powiedziała też, że Leonard McElroy i Clifford Adams, palacz i maszynista pociągu tamtego wieczoru, jeździli Złotym Ekspresem jeszcze przez wiele lat po napadzie. McElroy zmarł na raka płuc sześć miesięcy przed złomowaniem pociągu w 1982 roku, ale Adams pracował tam do ostatniego dnia.

Usłyszałam zbyt wiele nazwisk w zbyt krótkim czasie, a nie robiłam notatek. Myliło mi się już, kto jest kim i co jest czym, ale wiedziałam, że Monkowi nic się nie pomyli, a to było najważniejsze.

Doris musiała zauważyć, że się pogubiłam, ponieważ wręczyła mi ciekawą broszurkę pod tytułem *Historia Złotego Ekspresu*.

- Większość rzeczy została tutaj spisana - wyjaśniła. - Proponujemy też turystom wycieczkę pieszą przez las do torów kolejowych. Nasz przewodnik przybliży hipotezy na temat tego, co mogło się stać z łupem, i opowiada o kilku daremnych próbach od szukania tego skarbu.

Po rozłożeniu broszury można było zobaczyć mapę linii kolejowej, na której zaznaczono fragment torów, gdzie, jak sądzono, doszło do napadu.

- Czy żyje jeszcze ktoś ze sprawców napadu, świadków lub pracowników kolei, którzy tamtego wieczoru znajdowali się w pociągu? - zapytał Monk.

Doris Thurlo zmrużyła oczy.

- Pana interesuje skarb, panie Monk?
- Interesuje mnie rozwiązanie zagadki. Pięćdziesiąt lat to dużo za dużo, aby taki napad uchodził płazem. Światu brakuje przez to równowagi, co ma swoje konsekwencje. Aby to zrozumieć, wystarczy spojrzeć za okno i zobaczyć, co się dzieje na ulicach tego miasteczka. Muszę przywrócić wszystko na swoje miejsce.

- Pan tu nie mieszka. Mógłby pan dać spokój.

- Chciałbym, ale niestety nie mogę. - Monk poruszył niezgrabnie ramionami. - To moje przekleństwo.

Doris Thurlo przytaknęła tylko, jakby Monk udzielił odpowiedzi, którą miała nadzieję usłyszeć.

- Nie wiem nic o pasażerach, uczestnikach gry w pokera czy strażnikach, którzy jechali pociągiem. George Gilman zmarł w więzieniu, ale Jake Slocum na początku lat dziewięćdziesiątych został ułaska wiony. Nie wiem, co się z nim potem stało. Clifford Adams mieszka przy starej kopalni McMurtry. Żona Ralphi DeRosso zmarła parę lat temu, ale jego córka, Crystal, wciąż mieszka w naszym miasteczku. Pracuje jako kelnerka w Chuckwagon.

Podziękowaliśmy Doris Thurlo za pomoc, a ja obiecałam, że będę dbała o książkę, którą pozwoliła mi na krótko wypożyczyć.

Kiedy wyszliśmy z „Pudełka” i ruszyliśmy w kierunku Main Street, było już ciemno i dość chłodno. O tej porze ulica była cicha i opustoszała, w San Francisco rzecz nie do pomyślenia. Nawet gwiazdy, nieprzymione blaskiem dziesiątek tysięcy wielkomiejskich świateł, świeciły tutaj jaśniej. Na ulicę padało tylko przyćmione światło kilku latarni i paru witryn sklepowych.

- Będę obserwował drogę przed nami. Ty ubezpieczaj tyły - powiedział Monk.

- Czego mam się spodziewać?

- Ośłów, kojotów, pum, kozłów, niedźwiedzi grizzly, grzechotników, dzików- wyliczał Monk. - Za nami może się skradać cała armia wściekłych stworzeń.

- Nie mówiąc już o puchu mlecza lub solankach kolczystych - dodałam.

Monk przyspieszył kroku.

- To cud, że Manny Feikema jest tu w ostatnim czasie jedynym zabitym człowiekiem.

- Jak przebiega śledztwo w tej sprawie? - zapytałam.

- Widziałas i słyszałas to samo co ja - odparł Monk. - Może ty mi powiesz?

- Wygląda na to, że nawet nie ma od czego zacząć - stwierdziłam. - Ale zawsze tak mi się wydaje. Znając życie, brakuje panu zapewne jednego drobnego elementu, aby rozgryźć tę zagadkę.

- Niestety mylisz się - powiedział smutnym głosem.

- Więc gdzie zaczynamy?

- Musimy poprosić kapitana Stottlemeyera, aby się dowiedział, gdzie dziś przebywa Jake Slocum, jedyny żyjący rabuś z pociągu.

- Co to ma wspólnego z morderstwem Manny'ego?

- Nic - odpowiedział Monk.

- Czy w takim razie w pierwszej kolejności nie powinien się pan skoncentrować na morderstwie popełnionym parę dni temu, a dopiero potem na przestępstwie z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku?

- Napad na Złoty Ekspres do dzisiaj pozostaje tajemnicą - powiedział Monk.

- Dwóch sprawców schwytano, postawiono przed sądem i skazano - stwierdziłam. - Sprawiedliwości stało się zadość. Sprawa jest zamknięta.

- Ale być może na wolności pozostają inni rabusie, którym udało się bezkarnie umknąć z gotówką i złotem.

- Jeśli ktoś jeszcze był zamieszany w napad, to z pewnością już nie żyje, a pieniądze dawno przepadły. Tymczasem zabójca Manny'ego Feikemy chodzi sobie po ulicach wolny i z całą pewnością żywy.

- Rozwikłaś obie zagadki - obiecał Monk.

- Dlaczego więc nie zacznie pan od zabójstwa Manny'ego Feikemy? Druga sprawa może poczekać. Wydarzyła się prawie pół wieku temu.

- Ponieważ na razie nie mam od czego zacząć, a ty nie pozwolił mi wyjechać z tej dzikiej i jałowej krainy, dopóki nie rozwikłamy morderstwa Manny'ego. Może więc w międzyczasie uda nam się coś innego.

- Ta dzika i jałowa kraina może być domem pana przodków.

- Bądź poważna - powiedział Monk. - Ulice niewyafaltowane. Chodniki sklejone z desek. Niewykluczone, że w domach brakuje elektryczności i bieżącej wody. Wyobrażasz sobie takiego człowieka jak ja, który żyje w takich warunkach?

- Nie muszę sobie wyobrażać - powiedziałam, wążąc w dłoni pamiętnik Abigail Guthrie. - Mam go tutaj.

- Artemis Monk nie ma ze mną nic wspólnego - zarzekł się Monk.

- Ile pan i Ambrose wiecie na temat historii swojej rodziny? - zapytałam.

-Nic.

- Ma więc pan podczas pobytu w Opalach kolejną zagadkę do rozwiązania.

Nie przerywając marszu, zadzwoniłam z telefonu komórkowego do kapitana Stottlemeyera. Ponieważ nie odbierał, nagrałam wiadomość z prośbą, aby sprawdził nam aktualne miejsce pobytu Jake'a Slocuma, żyjącego wciąż rabusia ze Złotego Ekspresu. Nie wspomniałam, że ma to związek z przestępstwem z 1962 roku. Doszłam do wniosku, że kapitan będzie działał szybciej, jeśli będzie przekonany, że chodzi o sprawę morderstwa Manny'ego Feikemy.

Doszliśmy do posterunku policji. Przed frontem, lśnią nieskazitelnie, stał mój samochód, czyściutki, jakby zjechał właśnie z taśmy montażowej.

- Mówiłem ci, że to przegrana sprawa - oznajmił Monk.

- Samochód aż błyszczy, panie Monk.

- To tylko powierzchowne przetarcie - stwierdził.

- Bo auto było tylko powierzchownie brudne - odparłam.

- Tort polukrowany trucizną nadal wygląda smakowicie - powiedział Monk. - Ale to nie znaczy, że cię nie zabije.

- To karoseria była brudna, nie wnętrze.

- Jestem pewien, że brud przesiąkł do wnętrza. Zawsze przesiąka. To bardzo przesiąkająca rzecz.

Nie chciało mi się dalej z nim spierać, więc weszłam na posterunek po kluczyki, a Monk zaczął na zewnątrz.

Nie było komendanta, ale kluczyki czekały na mnie u recepcjonistki. Kobieta powiadomiła mnie również, że w motelu na końcu ulicy zarezerwowano dla nas dwa pokoje, i wręczyła mi karty magnetyczne do otwierania drzwi.

Podziękowałam jej za uprzejmość i wyszłam z powrotem na ulicę. Monk kucnął przed maską mojego samochodu i oglądał kratę na chłodnicy.

- Widzę tu podejrzany pyłek - oznajmił, wskazując coś palcem. - Myślę, że to pozostałość po martwym motyłu.

- I cóż z tego?

- Może zostać wessany przez wentylator i przeniesiony przez nawiew powietrza do wnętrza samochodu, gdzie mogę wciągnąć go w płuca i w ułamku sekundy umrzeć - powiedział Monk. - Chcesz mnie mieć na sumieniu?

- Oczywiście, że nie — odpowiedziałam. — Ja jadę do motelu samochodem, a pan może przejść pieszo. To tylko jedna czy dwie przecznice.

Monk spojrzął z przestachem w głąb ciemnej, słabo oświetlonej ulicy.

- Po drodze może mnie poturbować jakiś osioł.

Otworzyłam drzwi od strony kierowcy.

- Jadę.

- Może mógłby mnie eskortować uzbrojony policjant? - zapytał Monk.

- Nie szkodzi zapytać - poradziłam i wsiadłam do samochodu.

Kiedy uruchomiłam silnik, Monk zastukał w moje okno. Spuściłam szybę.

- Słucham?

- Mogłabyś wejść na posterunek i zapytać o eskortę dla mnie?

-Nie.

- Chyba ci za to płacę.

- Być może, ale właśnie skończyłam dyżur. O tej godzinie mam wolne. Chyba że zapłaci mi pan za nadgodziny.

Monk skrzywił się boleśnie, obszedł samochód od przodu, wsiadł do środka, zapiął pasy i zakrył dłońmi nos i usta, a ja ruszyłam w stronę motelu,

Motel Motor Inn w Opałach zbudowany był na planie szerokiej podkowy z ostrymi narożnikami i małym basenem pośrodku. Był to niski parterowy budynek z płaskim dachem, wzniesiony z pustaków, który bardziej przypominał ciąg pomieszczeń magazynowych na wynajem niż prawdziwy motel. Zameldowano nas w pokojach numer dwa i cztery. Samochód zaparkowałam przed pokojem numer dwa.

Monk rzucił okiem na skromny pokój, w którym na podłodze leżał dywan wyglądający jak dykta, i zapytał, czy nie mogłabym ściągnąć od pokojówki wózka z akcesoriami do sprzątania. Porozmawiałam z menadżerem, nieogolonym mężczyzną o ziemistej cerze, który się upierał jednak, że pokój był dobrze wysprzątny. Wyjaśniłam więc, że pan Monk lubi spać w pokoju tak czystym jak sala operacyjna przygotowana do chirurgicznego zabiegu na otwartym sercu.

- Chyba nie planujecie odurzyć kogoś, usunąć mu nerkę i sprzedać ją na czarnym rynku? - zapytał podejrzliwie.

Patrząc na jego żółtawą cerę, zaczęłam się zastanawiać, czy coś takiego nie przytrafiło się właśnie jemu.

- Nie podczas tej podróży - odpowiedziałam. - Może przy następnej okazji.

Menadżer przyciągnął wózek pokojówki, przy którym wisiał worek na brudną pościel i plastikowa torbka na śmieci, po bokach zaczepione były szmatki, mop, miotła i odkurzacz, a na półeczkach ustawiono cały asortyment różnych środków czyszczących.

Zapchnęłam wózek do pokoju Monka, który w tym czasie zdjął z łóżka pościel i rzucił ją na podłogę.

- Wiedziałem, że powinienem był przywieźć własny materac - powiedział.

- Musiałabym go przywiązać do dachu samochodu - stwierdziłam. - Zanim byśmy tu dojechali, cały byłby pokryty brudem i robactwem.

- Nawet wtedy byłby czystszy niż ten - powiedział Monk, krzywiąc się na widok zaplamionego materaca. - Całe szczęście, że zabrałem plastikową podkładkę pod prześcieradło. Bez niej nie powinno się wychodzić z domu.

- Tak mówią zawodowi zabójcy i seryjni mordercy.

Mordercy rozpościerają czasem taką podkładkę przed dokonaniem zabójstwa, aby nie zostawiać krwi i innych śladów, mogących stanowić dowód rzeczowy. Monk natomiast lubił to robić, aby ochronić się przed zarazkami, które zewsząd czyhają na niego, gotowe uderzyć w każdej chwili.

Okryliśmy materac plastikową podkładką, założyliśmy narożniki pod spód i posłaliśmy łóżko, używając pościeli, którą Monk specjalnie zabrał w podróż. Potem usunęliśmy z pokoju wszystkie motelowe ręczniki, rolki papieru toaletowego i chusteczki, zastępując je zapasami przywiezionymi z domu.

Zdjętą z łóżka pościel włożyłam do worka na brudy i Monk zaczął wreszcie sprzątać pokój.

Nawet ekipy odkażania biologicznego i profesjonalne firmy zajmujące się sprzątaniem miejsc zbrodni nie potrafią wykonać tego zadania tak skrupulatnie, jak czyni to Monk. Byłby dokładniejszy tylko wówczas, gdyby rozebrał ściany i przemodelował wnętrze od podstaw, zresztą szczerze się obawiałam, że ma zamiar to zrobić.

W każdym razie wiedziałam, że porządki zajmą mu dobrych kilka godzin, a ja nie będę mu pomagać, ponieważ skończyłam już pracę i mogłam się zająć tym, co mi się podoba lub co pomoże mi jakoś to wszystko wytrzymać.

Przyznaję, że po długim dniu spędzonym z Monkiem robię się drażliwa i kłótniwa. Ale doszłam do wniosku, że po tylu latach wspólnej pracy powinien się do tego przyzwyczaić i wprowadzić niezbędne zmiany w swoim zachowaniu, aby zmniejszyć grożące mu ryzyko. Jednak nie robił tego, nie wiem, czy z powodu obojętności, uporu czy też czystej złośliwości.

Wzięłam więc pamiętnik Abigail Guthrie, usiadłam na jednym z krzeseł i zaczęłam czytać go na głos Monkowi, mojej zniewolonej publiczności. Przy najmniej mogłam być pewna, że w ten sposób zainteresuje się trochę historią Artemisa Monka.

Nadzwyczajny pan Monk

Sprawa bardzo złotego złota (Z
pamiętników Abigail Guthrie) Opały,
Kalifornia 1855

Handel w Opałach opierał się niemal wyłącznie na złotym pyle, który ludzie nosili w skórzanych mieszczkach przywiązanych do pasków. Szczypta warta była mniej więcej dolara i praktycznie każdy, od ekspedienta w sklepie wielobranżowym po panie leków obyczajów, wyposażony był w małą wagę.

Szczypty najczęściej odmierzał sprzedawca i powszechnym zwyczajem było uciekanie się do różnego rodzaju zmyślnych sztuczek, mających na celu wy-

zakończeniu, kiedy sproszkowane bryłki zostały stopione, przelane do kupeli, schłodzone, oczyszczone i uzupełnione chemikaliami, Monk mógł wreszcie oddzielić złoto od reszty i orzec, jak bogata czy też jak biedna jest jego działka.

Tamtego dnia Monk siedział w laboratorium, kiedy do frontowego biura wszedł młody poszukiwacz złota. Natychmiast zatrzymałam go w drzwiach i wyprowadziłam z powrotem na werandę.

- Muszę zobaczyć się z panem Monkiem - oświadczył mężczyzna.

- Nie może pan wchodzić w taki sposób - powiedziałam.

- To znaczy w jaki?

Od razu zobaczyłam, że mam do czynienia z nowicjuszem, który ledwie co zszedł z okrętu, pociągu lub powozu z niecierpliwym pragnieniem zdobycia fortuny w krainie złota. W oczach miał tę samą gorączkę, którą miał mój Hank i setki innych mężczyzn. Ale było w nim coś więcej.

Jego wełniana koszula nie straciła jeszcze czerwonego koloru, a spodnie nie były połatanne, choć jedno i drugie pokrywał kurz. Na dłoniach miał świeże pęcherze, a kroki stawiał chwiejnie, jak człowiek nienawykły do ciężkiej pracy łopata i oskardem ani do kucania przez długie godziny w zimnej rzece przy płukaniu piasku w misie. Był wychudzony z braku dobrego żywienia i być może męczyły go już pierwsze objawy szkorbutu. Bokobrody miał bujne, ale nie zakrywały jeszcze rysów młodej twarzy, a włosy długie, ale nie zmatowiały ani skołtunione.

- Jest pan zbyt brudny - powiedziałam. - Pan Monk wpuszcza osoby wyłącznie umyte i przebrane w czyste, najlepsze ubranie niedzielne.

- Przecież to nie kościół, nie mam też zamiaru żenić się z panem Monkiem. Chcę tylko, żeby zobaczył moje grudki.

- Jak się pan nazywa, proszę pana?

- Nate Klebbin.

- Panie Klebbin, może pan mi przekazać próbki, a ja zaniosę je panu Monkowi. Na razie proszę usiąść na werandzie i poczekać. - Wskazałam mu ławkę dla gości. - Albo poszukam pana w saloonie, kiedy pan Monk skończy pracę.

- Poczekał tutaj - zgodził się Klebbin. Podał mi woreczek z grudkami i usiadł na ławce.

Weszłam do domu, by zanieść woreczek panu Monkowi, ale ten czekał już na mnie w progu laboratorium.

- Ma pan nowego klien,ta - powiedziałam.

- Wiem. Czuć go na sto metrów.

- Mówi tak pan o każdym, z moim skromnym wyjątkiem.

- Ponieważ poza tobą w tym mieście nikt się codziennie nie kąpie i nikt nie nosi co dzień świeżego ubrania - westchnął Monk. - Co gorsza większość ludzi siada okrakiem na tych obrzydliwych bestiach.

- To są konie, panie Monk.

- Przecież mówię. - Wziął ode mnie woreczek i wróciwszy do laboratorium, zamknął za sobą drzwi.

- Też chętnie pojeździłabym na koniu, gdyby było mnie na niego stać - mruknęłam za nim.

Monk nigdy nie wsiadł na konia i uważał, że na ulicach powinno się zakazać konnej jazdy. Gdyby rzeczywiście chciano spełnić jego żądania, każdy musiałby zostawiać konia w specjalnej zagrodzie przed miasteczkiem i stale po nim sprzątać.

Po kilku godzinach pan Monk wyszedł z laboratorium z zadziwieniem w oczach.

- Czy na naszej werandzie ktoś szlachtuje zwierzę? - zapytał.

Miał na myśli Nate'a Klebbina, który, gdy tylko usiadł na ławce, zapadł w głęboki sen i potwornie głośno chrapał.

- To człowiek, który przyniósł panu grudki - wyjaśniłam. - Śpi na werandzie.

- Wydaje odgłosy, jakby go mordowano, ale cuchnie, jakby był nieżywy już od dwóch tygodni.

- Na pewno się ucieszy, kiedy to usłyszy.

Monk otworzył drzwi i wyszedł na werandę, gdzie Klebbin chrapał wciąż w najlepsze.

- Panie Klebbin?

Mężczyzna spał zbyt mocno, aby te ciche słowa mogły go obudzić. Monk wszedł więc na chwilę do domu, wrócił z miotłą i zaczął trącać Klebbina trzonkiem.

Mężczyzna poderwał się, wyrwany gwałtownie ze snu.

- Co mnie pan szturcha tą miotłą!?

- Jestem Artemis Monk, proberca. Skończyłem analizy pańskich grudek.

Klebbin wyprostował się w okamgnieniu, a w jego oczach zapalało podniecenie.

- Znalazł pan złoto?

- Owszem - odpowiedział Monk.

- Dużo?

- Wystarczająco dużo, aby mówić, że przy wyęźonej pracy może być wiele więcej.

- Ju-hu! - krzyknął Klebbin.

- Nie krzychałbym jeszcze ani ju, ani hu - powściągnął go Monk. - Co to za działka?

Klebbin sięgnął do kieszeni, wyciągnął zapaloną, złożoną kartkę papieru i podał ją Monkowi.

Monk cofnął się o krok ze wstrętem, jakby podawano mu ścierwo szczura.

- Pytam tylko, gdzie się znajduje pańska działka.

- W parowie na zachód od potoku Juniper Creek - wyjaśnił Klebbin. - Kupiłem ją od Clema Janklo-wa. Zna go pan?

Monk znał Clema jak każdy inny mieszkaniec miasteczka. Ciem był poszukiwaczem, który ledwie wiązał koniec z końcem, nigdy nie dorobił się fortuny, a każdą znaną złotą grudkę natychmiast trwoniał w saloonie. Był stale bez pieniędzy, za to nieustannie chodził pijany i niesiony wezwaniem potrzeby fizjologicznej opróżniał swój wiecznie pękaty pęcherz gdziekolwiek bądź i kiedykolwiek bądź.

To oczywiście brzydziło i doprowadzało do furii pana Monka, który domagał się, aby szeryf Wheeler zamknął Clema albo wypędził go z Opał. Jednak Wheeler niechętnie się odnosił do obu pomysłów.

- Jeśli go zamknę, obsika mi cały areszt - tłu maczył Wheeler. -A jeśli będę miał wyrzucać z miasta każdego, kto sika na ulicy, to miasteczko opu stoszeje. Zresztą Clem nic na to nie może poradzić. Dolegają mu nerki.

- Whiskey mu dolega, ot co - uważał Monk.

Ciem twierdził, że to nie sama whiskey, ale po prostu nie stać go na medykament, który osłabiłby w nim pragnienie trunku, a co za tym idzie, który rozwiązałby jego problem z nerkami. Monk rozmawiał z doktorem Sloanem, który istotnie potwierdził słowa Clema i zalecił miksturę znaną pod nazwą Syrop Greeleya. Leczone nią syfilis, alkoholizm, uzależnienie od opium i dolegliwości trawienne.

Monk zawarł więc z Clemem układ. Zaproponował, że osobiście będzie płacił za miksturę, jeśli Ciem

obietca, że z daleka będzie omijał saloon i nie będzie oddawał moczu na ulicach.

Od tamtego czasu Clem nie załatwia swoich potrzeb w miejscach publicznych i trzyma się z dala od saloonu. Butelki z Syropem Greeleya kosztowały Monka parę dolarów dziennie, ale doszedł do wniosku, że nie jest to wysoka cena za ratowanie człowiekowi życia i utrzymywanie miasteczka w czystości.

Teraz jednak Monk zrobił się czerwony ze złości jak burak.

- Dlaczego Ciem sprzedał panu swoją działkę, skoro wciąż było na niej złoto, panie Klebbin?

- Tłumaczył, że jest chory i zbyt słaby, aby pracować na działce, choć nie została jeszcze wyeksploatowana - powiedział Klebbin. - Ma jakieś problemy z nerkami po zbyt dużych ilościach podłej whiskey. Sprawy mają się tak źle, że dzień i noc sikał na swojej działce. Nie wyobraża pan sobie, jak tam cuchnie, ale skoro jest złoto, w ogóle mi to nie przeszkadza.

Monk się wzdrygnął.

- Został pan okpiony, panie Klebbin. Ja również - powiedział.

- Ale przecież znalazł pan złoto w tych grudkach, prawda? - powiedział Klebbin.

- Istotnie - odparł Monk. - Niech pan tu zaczeka, aż sprowadzę szeryfa.

Monk ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku Main Street, a ja pobiegłam za nim. Cały czas szedł z głową pochyloną, patrząc na deski, na których stawał stopy.

- Nie rozumiem, po co taki ambaras, panie Monk. Wszystko, co Clem powiedział Klebbinowi, jest prawdą.

- To właśnie mnie oburza - odparł Monk. - Zuchwalstwo przestępstwa.

Monk zatrzymał się i wskazał palcem wykrzywioną deskę w chodniku. Pochyliłam się narysowałam na niej kredą znak „X”, aby deskę jak najszybciej wymieniono. Kredę miałam zawsze przy sobie właśnie w tym celu.

Monk zrobił kolejny krok i wskazał następną deskę. Ta była pęknięta.

- Myślałam, że się pan śpieszy.

- Spieszę się - odpowiedział. - Ale nie mam zamiaru się zabić w drodze do szeryfa.

- Nie może się pan zabić, stąpając na lekko wykrzywioną deskę - stwierdziłam.

- Możesz się potknąć i skrócić kark. Może ci wejść drzazga w palec i spowodować zakażenie. Doktor Sloan będzie mógł najwyżej odrąbać nogę, aby powstrzymać gangrenę, ale będzie za późno. Już będziesz trupem.

Zaznaczyłam deskę krzyżykiem i ruszyliśmy spiesznie dalej, gdy nagle na ulicy zjawił się jakiś jeździec. Mężczyzna zatrzymał się, zsiadł z konia i uwiązał go do słupka kilka metrów przed nami.

Był poganiaczem bydła, nie poszukiwaczem złota. Miał na sobie perkalową koszulę, znoszoną marynarkę meksykańską, ozdobioną brokatem przetykanym srebrną nicią, kapelusz z szerokim rondem i obcisłe skórzane spodnie. Buty miał zabłocone, a ubranie zakurzone i pokryte jakimiś smolistymi plamami.

Kowboj wypluł przeżuty tytoń na ulicę i wskoczył na drewniany chodnik przed saloonem, otrzepując się kapeluszem z kurzu.

- Może pan zmiąć kapeluszem ten brud z chodnika - odezwał się Monk. - W naszym miasteczku utrzymujemy czystość.

Kowboj odwrócił się i spojrzał na Mońka.

- Pan coś do mnie mówił?

- A kiedy skończy pan zamiatać, pan będzie łaskaw zebrać tę wstrętną bułę tytoniu, który zostawił pan za sobą na ulicy.

Kowboj uśmiechnął się szeroko, obnażając żółte zęby, i podrapał się ręką po bliznach na klatce piersiowej. W jego oczach pojawiły się mordercze iskierki. Jednak on miał na biodrach pas z bronią, a Monk nie i zapewne tylko to uratowało probiercę Opał przed niechybnym strzałem.

- Panie szanowny, właśnie wchodzę do saloonu i mam zamiar wypić drinka - powiedział kowboj. - Może pan i pańska piękna towarzyszka zechcą do mnie dołączyć?

- W takich zabłoconych butach nie może pan wejść do środka - stwierdził Monk. - Ludzie tam jedzą i piją. Może zdejmie pan buty i zostawi je przed wejściem?

- Nie wiem, czego się pan napił, ale muszę sobie zamówić to samo — zaśmiał się mężczyzna i wszedł do saloonu.

Monk chciał już podążyć za nim, gdy raptem koń puścił spod ogona gazy, a na ulicę spadło ciężko kilka brązowych pacyn. Monk wrzasnął i zaczął uciekać w kierunku przeciwnym, do którego szliśmy, bacząc uważnie, aby stawiać nogi na tych samych deskach.

Dogoniłam go dopiero za narożnikiem Drugiej Ulicy, z dala od widoku konia i jego odchodów. Monk oddychał ciężko, przytykając do nosa i ust chusteczkę.

- Jak się teraz dostaniemy do szeryfa? - zapytał.

- Bardzo łatwo - odpowiedziałam. - Przejdziemy chodnikiem do jego biura.

- Nie możemy tam iść, gdy to leży na ulicy.
- Jeśli nie będzie pan szedł za zadem konia, nie ma niebezpieczeństwa, aby wdepnął pan w odchody.
- Ale t o tam leży. To widać i czuć.
- Niech więc zamknie pan oczy i zatka nos.
- Umrę w wyniku uduszenia - biadolił Monk. - Jeżeli wcześniej moja skóra nie zgnije i nie odpadnie.
- Dlaczego pańska skóra miałaby zgnić i odpaść?
- Nie widziałś, co leży na ulicy? - zapytał Monk. - Muszę mieć w moim biurze telegraf łączący mnie bezpośrednio z szeryfem.
- Jestem pewna, że taki pomysł bardzo mu się spodoba - powiedziałam. - Ponieważ jednak przeciągnięcie linii telegraficznej może zająć trochę czasu, to lepiej pójdę i ściągnę tu szeryfa Wheelera.

Ruszyłam z powrotem w kierunku Main Street, ale, jak się okazało, nie musiałam iść daleko. Szeryf jechał właśnie konno ze swoim zastępcą, Par-leyem Weaverem. Wybiegłam na ulicę i pomachałam do niego.

Szeryf zaraz do mnie podjechał. Miał ogromne, sumiaste wąsiska, które wyglądały tak, jakby odarł szopa pracza ze skóry i zawiesił ją sobie pod nosem. Słyszałam, że zanim w poszukiwaniu spokojnego życia osiadł w Opałach, był rewolwerowcem. Większość szeryfów łączy ta sama przeszłość.

Jego zastępca Parley Weaver był chudy jak szczapa i potwornie gnuśny, ale jeśli w grę wchodziły jedzenie, picie i zainteresowanie ze strony pań lekkich obyczajów, potrafił być rączy jak koń.

- Ma pani jakieś problemy, pani Guthrie? - zapytał szeryf.

- Nie ja. Pan Monk.

- Musi pan aresztować Clema Janklowa! - krzyk-

nał Monk z miejsca, gdzie stał, czyli w bezpiecznej odległości od szeryfa, jego zastępcy i ich koni.

Wheeler warknął cicho.

- Mam ważniejsze sprawy, Monk, niż sikanie Clema - odkrzyknął. - Popelniono morderstwo. Ktoś zabił Barta Spicera i ukradł mu mieszek ze złotem.

- Czy to się stało na terenie jego kopalni? - zapytał Monk.

- Owszem. Właśnie tam jadę.

- Po co jedzie pan do kopalni, skoro morderca jest w naszym miasteczku?

Szeryf podniósł brwi.

- Jest tutaj?

- Właśnie pije drinka w saloonie Bogga - powiedział Monk. - Czy w takim razie możemy już jechać aresztować Clema Jankłowa?

Szeryf i jego zastępca wyglądali na kompletnie osłupiałych, a ja, jak przypuszczam, prawdopodobnie również. Wheeler zadał pytanie, które każde z nas trojga miało na końcu języka.

- Monk, skąd możesz być pewny, że zabójca Spicera siedzi teraz w saloonie, skoro dopiero się dowiedziałeś, że Spicer nie żyje?

- Spicer został uderzony kawałkiem drewnianego stempla z kopalnianego korytarza? - zapytał Monk niecierpliwie.

- Owszem, ktoś zwalił mu stempel na głowę, kiedy spał - przyznał Wheeler. - Skąd o tym wiesz? Ktoś ci powiedział?

- Wiem od mordercy.

- Przechwalał się tym, co zrobił?

- Nie powiedział na ten temat ani słowa. Nie musiał. Jego ubranie było wyznaniem winy.

- Jak się ten facet nazywa? - dopytywał Wheeler.

- Nie wiem - odpowiedział Monk. - Wjechał nie dawno do miasteczka i od razu urządził potworną jatkę.

Wheeler jęknął ciężko.

- Co takiego zrobił?

- Wypluł na ulicę przeżuty tytoń, strzepnął kurz na chodnik i wszedł w zabłoconych butach do saloonu. Reszty dokonał jego koń.

- Z tego powodu uważasz, że ten człowiek jest mordercą? - zapytał Wheeler.

- Mogę to udowodnić - zapewnił Monk.

Gdyby nie powiedział tego Artemis Monk, lecz ktokolwiek inny, szeryf nie zwróciłby na te słowa uwagi i pojechałby do kopalni Spicera. Jednak Monk nie był kimkolwiek innym.

Szeryf odwrócił się w stronę zastępcy.

- Podjedź do Bogga i zaproś do nas tego kowboja.

Weaver odjechał, a Wheeler zeskoczył z konia i uwiązał go do pobliskiego słupka.

- Tracimy czas, szeryfie - ponaglał Monk. - *Ciem* może już uciekać.

- *Ciem* nie ucieknie, Monk, a nawet jeśli, to bez trudu go wytropimy - odparł Wheeler i odwrócił się do mnie. - Co u pani słyhać, pani Guthrie?

- Jakoś sobie radzę.

- Monk nie doprowadził pani jeszcze do szaleństwa?

- Nie, proszę pana - odpowiedziałam, pamiętając, kto mi wypłaca pensję, zapewnia dach nad głową i wyżywienie.

- Jeszcze za wcześnie - powiedział Wheeler w chwili, kiedy zjawił się Weaver z kowbojem u boku.

- To Bud Lolly - zastępca szeryfa przedstawił przybysza.

Lolly uśmiechnął się, widząc Mońka i mnie.

- Znowu wy? Czy w tym miasteczku obowiązuje prawo zakazujące spluwania?

- Jeszcze nie. Ale pracuję nad tym - powiedział Monk.

- Proszę wierzyć, że bardzo usilnie nad tym pracuje - potwierdził Wheeler. - Mamy natomiast w miasteczku prawo zakazujące morderstwa.

- Nikogo nie zabiłem - stwierdził Lolly.

Monk wyjął z kieszeni chusteczkę, przykucnął i nabrał na nią trochę błota z buta Lolly'ego. Wszyscy patrzyliśmy na niego w najwyższym zdumieniu.

- Chce mi pan wypolerować butki, panie szanowny? Chętnie je zdejmę - powiedział Lolly.

- Ta ziemia pochodzi z działki Barta Spicera - oznajmił Monk. — Poznają odcień, wyróżnia go nadzwyczajnie wysoka zawartość krzemionki.

- W życiu nie słyszałem o żadnym Barcie Spicrze - powiedział Lolly. - Zresztą nawet gdybym słyszał, nie może pan stwierdzić, gdzie przebywałem, po grudce błota zdjętej z buta.

- Może - powiedziałam. - Pan Monk jest w naszym miasteczku probiercą. Doskonale zna okoliczne ziemie.

- Geologiczny i metalurgiczny skład każdego kawałka gruntu jest niepowtarzalny, podobnie jak pochodzące z niego złoto - tłumaczył Monk. - To błoto definitywnie pochodzi z działki Barta. Mogę dokonać analizy porównawczej z zachowanymi przeze mnie próbkami grudek Barta Spicera. Jestem przekonany, że jeśli spojrzę na złoty pył w pańskim mieszk, to rozpoznam w nim ten sam odcień.

- To niczego nie dowodzi - powiedział Lolly. - Mogłem przejść przez jego działkę, nawet o tym nie

wiedząc, a w okolicy jest sporo miejsc, gdzie można znaleźć złoty pył. Nie mam pojęcia, gdzie się znajdowało złoto, które mam w mieszk.

- Ma rację - stwierdził Wheeler. - Nie mogę po wiesić człowieka tylko dlatego, że na buciskach ma błoto, a w mieszk. trochę złota.

Monk spojrzał Lolly'emu prosto w oczy.

- Przysięga pan, że nigdy pan nie był w kopalni Barta Spicera?

- Nigdy nie byłem w żadnej kopalni - odparł Lolly.
- Jestem poganiaczem bydła, a nie poszukiwaczem złota. Zarabiam uczciwy grosz.

- Pańskie ubranie zdaje się świadczyć o czym innym.

- O czym pan znowu mówi? - zdziwił się Lolly.

- Wykopy w kopalniach zabezpieczane są drewnianymi stemplami pokrytymi korą i zadziorami. Są kłujące jak kaktusy, więc górnicy smarują je smołą węglową- mówił Monk. - Jeśli nigdy nie był pan w kopalni i nie dźwignął pan stempla, przyciskając go do siebie, to jak pan wytłumaczy te drzazgi w klatce piersiowej i ślady smoły na koszuli?

Nie wytłumaczył. Lolly wahał się przez moment, a potem sięgnął po broń. Jednak nie był tak szybki jak szeryf Wheeler, który trzymał w dłoni wycelowany rewolwer, zanim palce Lolly'ego dotknęły kabury.

- No, dalej, Lolly. Oszczędzisz miasteczku wydatku na stryczek - powiedział Wheeler.

Lolly podniósł ręce i spojrzał na Mońka nienawistnie.

- Powinienem być posłuchać instynktu i zabić cię przy pierwszym spotkaniu. Ale nie strzelam do nieuzbrojonych ludzi.

- Po prostu rozwała im pan czaszkę podczas snu i kradnie złoto — powiedziałam. - To o wiele bardziej szlachetne.

- Parley, zabierz Lolly'ego do biura i zamknij go w celi - polecił szeryf.

Zastępca szeryfa wyjął kowbojowi rewolwer z kabury i wymierzył w niego.

- Jazda. Pójdziesz przede mną. Żadnych numerów, bo podziurawię cię jak rzeszoto.

- Co z bałaganem, którego narobił jego koń przed saloonem? - zaniepokoił się Monk.

- Parley - szeryf przywołał jeszcze zastępcę. - Niech Lolly po drodze pozbiera to łajno.

- Tak jest. - Weaver kiwnął głową. - Gdzie pana znajde, szeryfie?

Wheeler zerknął na Mona.

- Będziemy na tropie tego szelmy Jankłowa.

Clema Jankłowa zobaczyliśmy kilka minut później. Siedział na ławce przed sklepem wielobranżowym otoczony masą toreb z zakupami. Łypał zaczerwienionymi oczami spod zmierzwionych włosów. Śmierdział niemiłosiernie od ciągłego pocenia się na słońcu i chodzenia w rzeczach, których nie prał od tygodni, a może miesięcy. Jego wełniana koszula, niegdyś czerwona, teraz całkiem wypłowiała i przybrała upiornie fioletowy kolor, w dodatku cała była upačkana ziemią. Podarte spodnie wisały na szelkach, a nogawki wsunięte były byle jak w wysokie, zabłocone buty.

Mlaskając głośno, Jankłow jadł sardynki w oleju. Wybierał je palcami prosto z puszki. Jego broda lepila się od tłuszczu. Kiedy górnicy trochę się bogacili, najczęściej trwonili złoto na ostrygi, oliwki, zupę z żółwia i inne delicje, po czym, wzmocnieni

w ten sposób, przechodzili do szampana, whiskey i pań lekkich obyczajów.

- Jesteś aresztowany, Ciem - oznajmił Monk.

- Nie wolno ci nikogo aresztować, Monk - powiedział szeryf. - To moja robota.

- Nic nie zrobiłem - stwierdził Ciem. - Jestem przyzwoitym obywatelem, który przestrzega prawa.

- Oszukałeś mnie na sto dolarów, a nie wiem, ile wyciągnąłeś od Nate'a Klebbina.

- Panie Monk, nigdy nie wzięłem od pana złamanego pensa, a Klebbinowi sprzedałem działkę uczciwie.

- Byłeś dzisiaj u doktora Sloana po kolejną dawkę syropu Greeleya? - zapytał Monk.

- Już nie jest mi potrzebny - stwierdził Ciem. - Czuję się lepiej, a zawdzięczam to panu, panie Monk.

- Ponieważ beze mnie nie mógłbyś dokonać swego oszustwa. Wszędzie załatwiałeś swoje potrzeby, bo wiedziałeś, że tego nie wytrzymam i że doktor Sloan przepisze ci syrop Greeleya.

- Mikstura leczy człowieka z nadmiernego apetytu na whiskey i uspokaja działanie nerek, więc doktor stwierdził, że powinienem ją zażywać - mówił Ciem. - Ale nie stać mnie było na ratowanie własnego zdrowia, więc pozostaję pana wdzięcznym dłużnikiem.

Szeryf westchnął ciężko.

- Jeśli popełniono tu jakieś przestępstwo, Monk, to nie wiem gdzie.

- Czy wie pan, co wchodzi w skład syropu Greeleya, szeryfie? - zapytał Monk.

-Nie.

Ja również nie miałam pojęcia.

- To mieszanina sporządzona między innymi

z chlorku sodu, wyciągu drzewa chinowego, gliceryny, strychniny i chlorku złota — wyjaśniał Monk. - Syrop ten, w parze z serią zastrzyków, jest powszechnie stosowany w leczeniu różnego rodzaju nałogów. Powinno się zażywać jedną szesnastą uncji tego specyfiku przez miesiąc, co dwie godziny.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz — powiedział Wheeler.

Ja też nie rozumiałam.

- Zawarte w toniku i zastrzykach złoto przenika przez ciało - mówił dalej Monk. - Ciem od tygodni siedział na działce i załatwiał się gdzie popadnie, dokonując w gruncie infuzji domieszek złota. W ten sposób mógł sprzedać działkę pierwszemu lepszemu żółtodziobowi. Mnie natomiast zmusił do finansowania tego szachrajstwa.

- W jaki sposób cię zmusił?

- Gdybym nie płacił za lekarstwo, Ciem w dalszym ciągu piłby na umór i zozydzał nam moczem otoczenie - wyjaśnił Monk. - Dobrze wiedział, że tego nie zniosę. Ale plan sprzedaży działki był bardzo sprytnie obmyślony.

Teraz, kiedy usłyszałam wszystkie wyjaśnienia, zobaczyłam dawniejsze zdarzenia w zupełnie innym świetle i wiedziałam, że Monk się nie myli.

Ciem oblizał ociekające oliwą palce.

- Nie miałem zielonego pojęcia, że moje siki złocą mi działkę. Nie udowodni pan, że miałem złe zamiary.

- Mnie przekonał - odezwał się Wheeler. - Oddasz niezbyte zapasy lekarstwa doktorowi Sloanowi, zwrócisz panu Klebbinowi otrzymane od niego pieniądze i pozwolisz mu zatrzymać działkę, jeśli tylko będzie chciał. Potem spłacisz dług Monkowi,

zabierzesz się z tego miasta i nigdy tu nie wrócisz. Bo jeśli zobaczę jeszcze kiedyś w Opalach twoją buźkę, to wpakuję w nią kilka gramów ołowiu.

- Nie może pan tego zrobić - powiedział wystraszony Ciem.

- Ja tutaj stanowią prawo - oświadczył szeryf. - Może chodzisz zbyt pijany, aby zauważyć, że nie ma w naszym miasteczku sądu ani sędziów, więc na twoim miejscu, Ciem zwiewałbym stąd gdzie pieprz rośnie, zanim zmienię zdanie i położę cię trupem.

Ciem Janklow pozbierał torby i poczłapał z powrotem do sklepu, nie mówiąc więcej ani słowa. Wheeler odwrócił się do Monka.

- Zadowolony?

- Wszystkiego tego można było uniknąć, gdybyśmy mieli zakaz załatwiania potrzeb fizjologicznych w miejscu publicznym - oświadczył Monk. -I lucia.

- Co plucie ma z tym wspólnego?

- Od tego się zaczyna. Najpierw uchodzi na sucho plucie, ale ani człowiek się spostrzeże, a szasta zwieraczem na prawo i lewo, sika, napada na pociągi i morduje starsze damy.

- Rozumiem - stwierdził Wheeler. - Jeśli więc zakażemy plucia, to w konsekwencji położymy kres nieprzyzwoitościom i przestępczości na Dzikim Zachodzie, tak?

- W każdym razie warto by wprowadzić taki zakaz - stwierdził Monk. - Co szkodzi spróbować? Nie mamy nic do stracenia.

- Ja mam - powiedział szeryf. - Straciłbym posadę.

- Twierdzisz, że mamy pozwolić panoszyć się wszystkim potwornym zbrodniom, żebyś ty mógł zarobić na chleb?

- Nie wszystkim. Jedynie zbrodni plucia.
Wheeler mrugnął do mnie znacząco i odszedł.
Monk westchnął z ciężkim sercem.
- Przez resztę dnia będę mył ręce - oznajmił. -Ty tymczasem możesz wynająć dla nas dwa pokoje w hotelu.
- Po co?
- Kiedy spalę dom, będziemy musieli gdzieś zamieszkać na czas budowy nowego.
- Panie Monk, niechże pan będzie rozsądny. Nie może pan puścić domu z dymem tylko dlatego, że wniósł pan do środka parę obsiusianych grudek.
Monk wytrzeszczył na mnie oczy.
- Przychodzi ci do głowy lepszy powód?

Detektyw Monk i wieczór w Opalach

Zamknęłam książkę, zdumiona tym, co przeczytałam w pierwszych rozdziałach. Podniosłam wzrok na Monka, który zajmował się skrobaniem listew przypodłogowych.

- Czy to nie zdumiewające? - zapytałam.

- Sądzę, że to jedno wielkie oszustwo.

- O czym pan mówi?

- Być może czytelnik z połowy dziewiętnastego stulecia miał szansę rozwiązania tajemnicy szachrajstwa ze złotem, jeżeli znany był mu skład Syropu Greeleya, ale dzisiaj nikt by na to nie wpadł. Natomiast w wypadku morderstwa autor nie podał minimum informacji niezbędnych do jego rozwikłania, bez względu na to, w którym stuleciu żyłby czytelnik kryminału.

- Nie mam na myśli walorów literackich, panie Monk. Mówiłam o tym człowieku. Jako detektyw Artemis Monk wyprzedzał swoją epokę - powiedziałam. - Aby znaleźć dowody w obu sprawach, skorzystał z analizy naukowej i starej jak świat metody dedukcji. Był pionierem nowoczesnych technik policyjnych.

- Jakoś nie robi to na mnie wrażenia - oświadczył Monk.

- Nie jest pan choć trochę zaintrygowany?

- Czym?
- Podobieństwem, które was łączy. To niebываłe. Monk wstał i potrząsnął głową.
- Nie widzę między nami żadnego podobieństwa. Miałam ochotę zdzielić go książką po głowie. Jak można być świadomie upartym do tego stopnia?
- Artemis przyskrzypił kowboja w podobny sposób jak pan Clarence'a Lenihana w Halloween. Obserwując ślady na ubraniu.
- Jeśli do twoich drzwi puka człowiek pochlapany krwią, to żadna sztuka się domyślić, że kogoś niedawno zabił - stwierdził Monk, spryskując środkiem dezynfekującym zawiasy drzwi łazienkowych.
- Powiedział pan, że Lenihan ubrany jest w wyznaczenie winy. Artemis Monk użył takich samych słów w sprawie kowboja. - Mówiłam coraz bardziej podniesionym głosem i czułam, jak twarz pała mi ze złości.
- Przesadzasz - rzucił Monk, przecierając zawiasy szmatką.
- Obaj boicie się nastąpić na wykrzywioną deskę.
- Kto by się tego nie bał?
- Obaj boicie się zarazków.
- Każdy normalny człowiek boi się zarazków.
- Obaj jesteście detektywami, wasze imiona zaczynają się na literę „A” i nosicie to samo nazwisko „Monk”.
- Czysty przypadek.
- Rzuciłabym w niego książką, gdyby nie był to cenny eksponat historyczny. Wzięłam głęboki oddech, wypuściłam wolno powietrze z płuc i z wielkim wysiłkiem stonowałam głos.
- Pan nie wierzy w przypadki.
- W takim razie może ciebie łączy jakieś pokrewieństwo z Abigail Guthrie? - powiedział Monk.

To przyprawiało mnie o tak lodowate dreszcze, że nawet nie chciałam się nad tym zastanawiać. Zimniejsze niż podczas oglądania serialu *Strefa mroku*.

- Ona nie ma na imię Natalie i nie nazywa się Teeger.

- Ale jest wdową i asystentką detektywa o nazwisku Monk. Czyż to automatycznie nie czyni jej twoją przodkinią?

-Nie.

- Zatem dlaczego zakładasz, że Artemis Monk jest moim przodkiem?

- Ponieważ macie to samo nazwisko, te same rysy twarzy, te same zdolności detektywistyczne i taki sam despotyczny charakter.

- Ale poza tym nic nas nie łączy.

Myślę, że gdybym go w tej chwili zamordowała, zrozumiałaby mnie i uniewinniła każda ława przysięgłych w Ameryce. Jednak zdołałam się opanować. Krzyknęłam tylko coś obraźliwego i wybiegłam z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

Przeszłam przez parking i wyszłam na ulicę bez określonego celu. Jedyнным moim pragnieniem było teraz trzymać się jak najdalej od Monka.

Kilka chwil później spostrzegłam, że stoję przed restauracją Dorothy's Chuckwagon, i uświadomiłam sobie, że pora obiadu dawno minęła, a kiszki grają mi marsza, co przynajmniej do pewnego stopnia tłumaczyło, dlaczego straciłam nerwy.

Włożyłam do torebki książkę Abigail Guthrie i wszłam do środka. Nie obchodziło mnie, co Monk zrobi z obiadem. Przywiózł ze sobą tyle kartonów płatków Wheat Thins i butelek wody Summit Creek, że mógłby przetrwać zimę nuklearną.

Pokryte boazerią ściany restauracji zdobione były kiczowatymi, seryjnie drukowanymi pejzażami Dziekiego Zachodu i pożółkłymi plakatami ze scenkami dawnego rodeo czy lokalnych jarmarków. Przy barze biegł niski kontuar w kształcie litery „U” o wydłużonych bokach, a na sali zaledwie cztery boksy ze stolikami; po dwa przy każdej ze ścian. W środku siedziało trzech gości i tylko jeden z nich nie miał jeszcze sześćdziesięciu lat - był to komendant Kelton, który ledwie mieścił kolana pod barowym kontuarem. Widząc go w takim miejscu, w niezdarnej, niewygodnej pozycji, przypomniałam sobie zebrania w przedszkolu mojej córki, podczas których rodzice musieli wciskać się w krzeselka dla starsza-ków. Usiadłam obok komendanta, nie czekając na zaproszenie.

- Witam, panie komendancie.

- Pani Teeger- powitał mnie Kelton. - Czy Monk rozwikłał już zagadkę morderstwa i znalazł złoto sprzed pół wieku?

- Niestety, obawiam się, że nie. Zostaje trochę z tyłu.

- Nie dołączy do nas przy obiedzie?

- Będziemy jeść obiad? - zapytałam, próbując trącić zalotną nutką, która zdała mi się równie cikliwa jak zatrzepotanie rzęsami lub zdmuchnięcie z dłoni całusa.

Moje umiejętności flirtowania nieco zardzewiały.

- Mam taką nadzieję - odrzekł z uśmiechem. - Na to czekałem.

W jego umiejętnościach flirtowania nie było natomiast cienia rdzy, co powinno było mnie wyhamować, ale tak się nie stało.

- Czekał pan?

- Tak, proszę pani.

- W takim razie proszę do mnie mówić Natalie.

Kelton przywołał kelnerkę. Kobieta zbliżała się do pięćdziesiątki, miała na sobie biały uniform z krótkimi rękawkami, zapinany z przodu na zamek błyskawiczny i czarny fartuch na rozszerzającej się ku dołowi spódnicy.

- Moglibyśmy prosić o menu dla naszej damy, Crystal? - poprosił Kelton.

- Czy pani jest córką Ralpha DeRosso? - zapytałam.

- Tak - odpowiedziała, kładąc przede mną menu.

- Mój szef, Adrian Monk, interesuje się sprawą napadu na Złoty Ekspres i jestem pewna, że chętnie porozmawiałby na temat pani ojca.

- Sądzi pani, że jeszcze bym tu pracowała, gdybym wiedziała, gdzie się znajduje złoto?

- Spokojnie, Crystal - włączył się Kelton. - Adrian Monk to słynny detektyw z San Francisco, który pomaga nam w śledztwie w sprawie morderstwa Manny'ego.

- Co to ma wspólnego ze Złotym Ekspresem i moim ojcem?

Kelton spojrział na mnie. To było dobre pytanie i odpowiedź ciekawiła go nie mniej niż kelnerkę.

- Nic - odpowiedziałam. - Ale pan Adrian Monk nie potrafi przejść obojętnie obok nierozwikłanej zagadki. Dopóki ta sprawa zajmuje jego myśli, nie będzie w stanie skoncentrować się na zabójstwie Manny'ego Feikemy.

- Do napadu doszło czterdzieści siedem lat temu. Nie miałam nawet dwóch lat. Cóż interesującego mogłabym powiedzieć?

- Nie wiem - odparłam.

- Pan Monk i tak nigdy się nie dowie, co się naprawdę wydarzyło.

- Ależ na pewno się dowie - zapewniłam.

- Skąd ta pewność, że uda mu się coś, co nie udało się dziesiątkom innych? - zapytała Crystal.

- Bo jest najlepszy - stwierdziłam. - Jeszcze nigdy nie trafił na zagadkę kryminalną, której nie umiałby rozwiązać.

- Crystal, zrobiłabyś mi uprzejmość, gdybyś zaspokoiła ciekawość pana Monka i odpowiedziała na parę jego pytań - poprosił Kelton.

- Zawsze lubiłam Manny'ego - westchnęła Crystal. - Co dla pana, komendancie?

- To co zawsze.

Spojrzała na mnie.

- Dla pani?

- Cheeseburger z frytkami - powiedziałam. - I czekoladowy milkshake.

- Więc dwa razy „to co zawsze”. Już podaję - powiedziała i odeszła.

Ja i Kelton uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Jesz taki zestaw codziennie wieczorem? - zapytałam.

- Pewnie powinienem czasem zrezygnować z napoju - odpowiedział. - Ale doszedłem do wniosku, że chyba lepszy milkshake niż to, co zwykle popijałem do obiadu. Jesteś pewna, że Monk nie wpadnie dziś wieczorem, żeby porozmawiać z Crystal?

- Wątpię - powiedziałam. - Jest zajęty czyszczeniem pokoju.

- Pokoje w motelu nie były posprzątane? - zdziwił się komendant.

- Och, oczywiście tak, tyle że nie wedle standardów Adriana Monka - odparłam.

- Jak czysty musi być pokój wedle standardów Monka?

- Sterylnie - odpowiedziałam. - Tak czysty, że mógłbyś polizać podłogę, choć może nie jest to odpowiednia metafora, bo gdybyś polizał podłogę, Monk zacząłby ją od nowa czyścić.

- Skąd się to u niego wzięło?

- Dotychczas sądziłam, że to wina jego matki - odpowiedziałam.

- Ponieważ sama jesteś matką, Natalie.

- Skąd wiesz?

- To wynika z twojego ciepła i anielskiej cierpliwości do Monka - odpowiedział Kelton.

- I stąd, że mnie sprawdziłeś?

- Owszem, to też...

- Zatem wiesz, że jestem singielką.

- Dlaczego uważasz, że cię sprawdzałem?

- Zboczyliśmy z tematu.

- Ale podoba mi się ten nowy temat.

- Uważałam więc, że to mama Monka jest odpowiedzialna za jego ekscentryczne zachowania, ponieważ była nieprawdopodobnie surowa i nadopiekuńcza. Jednak po tym, czego się dzisiaj dowiedziałam, zaczynam sądzić, że jego problemy mają podłoże genetycznych predyspozycji, które sięgają kilka pokoleń wstecz.

- Czego się dzisiaj dowiedziałas, że musiałaś zmienić zdanie? - zapytał Kelton.

Wyjęłam z torebki książkę, którą dostałam od Doris, i położyłam ją na stole.

- Przeczytałam, że pan Monk miał równie inteligentnego i niezwykłego przodka, który, *co* więcej, był również genialnym detektywem. Nazywał się Artemis Monk i mieszkał właśnie tu, w Opalach, w ty sięć osiemset pięćdziesiątym piątym roku.

- Monk nic o nim wcześniej nie wiedział?
- Nawet teraz nie chce nic o nim wiedzieć. Nie chce przyjąć do wiadomości, że łączy ich pokrewieństwo.

- Co za różnica, czy przyjmie to do wiadomości czy nie. - Kelton wziął do ręki książkę i przejrzał ją pobieżnie. - Jest to, co jest, i już.

- Taka, że jeśli przyjmie to do wiadomości, będzie musiał również inaczej spojrzeć na swoje życie i lepiej zrozumie samego siebie - wyjaśniłam. - Być może pomogłoby mu to pokonać wiele jego problemów.

- Albo i nie.

- Od własnej przeszłości nie można uciec.

- Mnie nie trzeba tego mówić - westchnął Kelton.

- Dlatego przyjechałeś do Opał?

- Powiedzmy tylko, że musiałem nabrać dystansu do wszystkiego, co narobiłem.

- To były aż takie złe rzeczy?

- Nie ma się czym chwalić. Tu w każdym razie miałem szansę na nowy start.

-Miałem?

Pytanie zawisło w powietrzu, bo do stolika podeszła Crystal i podała nam cheeseburgery. Nie odzywaliśmy się słowem, dopóki nie postawiła przed nami milkshake'ów i nie odeszła. Potem Kelton łyknął swojego napoju, a ja, idąc w jego ślady, spróbowałam swojego. Był to absolutnie najlepszy milkshake, jaki w życiu piłam. Nic dziwnego, że komendant pił go w każdy wieczór. Jednak gdybym robiła to samo, musiałabym niebawem siadać na dwóch krzesłach.

- Morderstwo Manny'ego to pierwsza poważna sprawa w Opałach od czasu mojego przybycia i, jak się zdaje, nie robię w śledztwie postępu, który wywarłby wrażenie na ojcach naszego miasta.

- To dopiero parę dni - pocieszyłam go.

Musiałam użyć całej swojej silnej woli, by nie wypić duszkiem sycącego milkshake'a, choć cheeseburgera nie ugryzłam jeszcze ani kęsa.

- Wiedzą, że nie mam żadnego tropu i że siedzę tylko i czekam na jakiś przełom.

- Po co im o tym mówiłeś?

- Nie mówiłem. Mają oczy i uszy w osobach moich policjantów.

Wgryzłam się w cheeseburgera i wierzyć mi się nie chciało, jak bajecznie smakuje. Naraz zdałam sobie sprawę, że musiały minąć lata, może i dziesięciolecia od czasu, gdy po raz ostatni jadłam prawdziwego hamburgera, przyrządzonego, jak Bóg przykazał; był soczysty, nie za tłusty, odpowiednio słony, ze smakiem autentycznego, smażonego na żywym ogniu, zdjętego prosto z rusztu mięsa, a do tego ser cheddar, gruby i mocno podwędzany, gorący i przyjemnie lepki. Ugryzłam następny kęs, zanim jeszcze zdążyłam przelknąć pierwszy.

Znalazłam się w hamburgerowym raju.

Kelton jeszcze nie tknął swojego posiłku. Zdawało się, że nagle stracił apetyt. Kusiło mnie, aby zapytać go, czy nie mogłabym zjeść również jego hamburgera. Ale zamiast tego odgryzłam kolejny wielki kęs własnego i splukałam go potężnym łykiem czekoladowego shake'a.

- Hm, na pewno nie wygląda to tak, jak sobie planowałam - stwierdził Kelton.

- Śledztwo?

- Nasz obiad.

Jeśli o mnie chodziło, obiad był boski.

- Coś sobie planowałeś?

- Planowałam, że będę dowcipny, czarujący, try-

skający humorem - wyjaśnił Kelton. - Tymczasem zarzucam cię swoimi problemami.

- **Bardzo** mi to schlebia - powiedziałam, wycierając serwetką sok i ser z warg. - O wiele bardziej wolę szczerą rozmowę niż głupie przedstawienie. Po jednym dniu mam poczucie, że znam cię lepiej, niż znałam innych mężczyzn po wielu dniach spotkań.

- Mimo wszystko mogłem więcej słuchać, a mniej mówić.

- Mamy jeszcze czas - powiedziałam, choć w głębi duszy miałam nadzieję, że to on wciąż będzie mówił na jakikolwiek temat, a ja będę mogła dalej jeść.

Zastanawiałam się również, czy będzie o mnie gorzej myślał, jeśli zamówię jeszcze jednego cheeseburgera - choć nie powiem, by mogło mnie to powstrzymać.

Kelton mówił tak wiele na swój temat, że musiałam mu opowiedzieć historię życia, aby wyrównać szalę, choć sądzę, że większość wiedział o mnie z kwerendy, którą wcześniej przeprowadził. Słuchał jednak z zajęciem, prawdopodobnie próbując wyłapać niezgodności między tym, czego sam się dowiedział, a tym, co opowiadam. Nie, żebym miała mu to za złe. Zapewne nie mógł się powstrzymać, bo był detektywem. Potem rozmawialiśmy o tym i owym, czyli o niczym szczególnym.

Podobał mi się. Był szczery, ciepły, z dystansem do siebie. I grała w nim jakaś ukryta tragiczna nuta, która dziwnie czyniła go jeszcze bardziej pociągającym. Nigdy nie wyjaśnił, w jaki sposób i dlaczego popadł w pijaństwo, nie wchodził też w szczegóły kompromitujących czynów, których miał się dopuś-

cić w Bostonie, a przez które stracił pracę, ale to czyniło go w moich oczach jeszcze bardziej interesującym.

Nie mam pojęcia, jak to świadczy o mojej osobowości czy guście, ale podobało mi się, że nie był doskonały, że uświadamiał to sobie i nie miał problemu, aby się do tego przyznać. Zdażyłam poznać wielu mężczyzn, którzy za wszelką cenę starali się mnie przekonywać, jacy są cudowni. Harley Kelton do nich nie należał.

W bardzo znamieny sposób skomentował niechęć Monka do przyznania, że miał w Opałach przodka - „Jest to, co jest, i już”. Jak sądzę, słowa te w dużej mierze były podsumowaniem stosunku Keltona do życia. Brał rzeczy takimi, jakie są, i nie szukał usprawiedliwienia dla swoich decyzji, dobrych czy złych.

Skoro o decyzjach mowa, to muszę powiedzieć, że wykazałam nadludzką siłę woli i nie zamówiłam drugiego cheeseburgera. Zamiast tego postanowiłam delektować się porcją wybornego jabłecznika „a la mode”.

Kiedy kelnerka przyniosła rachunek, sięgnęłam do torebki, ale Kelton stanowczo stwierdził, że on zaprasza, co uznałam za nader miłe, a potem odprowadził mnie do motelu. Szliśmy powoli i byłam pewna, że korci go, by wziąć mnie za rękę lub objąć; ale może były to tylko moje pragnienia. Zderzyliśmy się raz czy dwa w czasie drogi, niby przez przypadek, niby z rozmysłem, ale na tym skończył się między nami kontakt fizyczny.

Dochodziło wpół do dziesiątej wieczorem. W pokoju Monka wciąż paliły się światła i oboje słyszeliśmy dobiegający ze środka szum odkurzacza.

Kelton nie czynił wobec mnie żadnych awansów, chyba że uznawać za coś takiego zwykły pocałunek w policzek na pożegnanie, czego ja jednak nie uznaję. Oddałam mu zaraz całusa w policzek, pożegnałam się i weszłam do swojego pokoju w motelu.

Przyznaję, że zerkałam przez szparę w zasłonach, jak Kelton oddala się w kierunku centrum miasteczka. Zapewne wiedział, że go obserwuję. Złapałam się na tym, że zastanawiam się, gdzie Kelton mieszka i jak wygląda jego dom.

Nazbyt byłam przejęta nieoczekiwaną miłą randką i jej przyjemną słodyczą, aby od razu iść spać. Położyłam się więc do łóżka i poczytałam jeszcze co nieco o Artemisie Monku, aż w końcu podekscytowanie zaczęło ustępować, słodycz rozpuściła się w końcu gdzieś w moim organizmie, a długi, stresujący dzień, który niemal cały upłynął w podróży i asystowaniu Monkowi, zmorzył mnie wreszcie i zamknęłam oczy.

Nadzwyczajny pan Monk Sprawa
węża w trawie (Z *pamiętników Abigail*
Guthrie) Opały, Kalifornia 1855

Nie tylko zajęcie probiercy złota i szczególna dbałość o czystość były tym, czym Artemis Monk przyciągał uwagę. Monk miał wyrobione opinie na temat tego, jak powinno się robić wiele rzeczy, i przy każdej sposobności wypowiadał je z pełnym przekonaniem.

Na przykład uważał, że dla poszukiwaczy złota powinno się wprowadzić zakaz jedzenia z misy, której używali do wyłukiwania kruszcu.

Uważał też, że konie powinny mieć zakaz przebywania na ulicach miasta i powinny być uwiązane do słupków na placu przed granicami miasteczka, by w ten sposób nie zanieczyszczały publicznych traktów.

Uważał też, że wszystkie deski w chodnikach powinny być idealnie równo oddalone jedna od drugiej i utrzymywane w nienagannej czystości.

Uważał, że ludziom powinno się nakazać codzienną kąpiel i codzienne wkładanie świeżej odzieży.

Uważał, że kategorycznie powinny być zabronione spluwaczki, a także samo spluwanie.

Uważał również, że wszystkie budynki powinny mieć tę samą wysokość i powinny być idealnie symetryczne, w przeciwnym razie należałoby je natychmiast zburzyć.

Niestety, na nieszczęście dla pana Monka, nikt nie podzielał jego zapatrywań. Ale ponieważ był w mieście człowiekiem poważanym, z biegiem czasu, z pewną niechęcią, zawierane jednak były kompromisy między nim a społecznością obywateli.

Szeryf Wheeler nakazał wszystkim sprzątać po koniach: zbierać łopatą odchody do kubeków i opróżniać je później w specjalnie do tego wyznaczonych miejscach za miastem. Sprawiało to potworne niedogodności, ale prawda była taka, że o ile ogół mieszkańców na to utyskiwał, o tyle w głębi duszy ludzie byli wdzięczni za czyste ulice, a zwłaszcza kobiety, które chodziły przecież po ulicach w długich sukniach.

Handlarzy poproszono, aby chodniki przed swoimi sklepami utrzymywali w czystości i idealnym stanie technicznym. Poinformowano ich, że jeśli sami nie będą tego robić, to prędzej czy później zajmie się tym Monk, a nie będzie to dobre dla biznesu, po-

nieważ Monk miał w zwyczaju przepędzać klientów, którzy nie spełniali jego wymogów w kwestii czystości.

Plucie tytoniem zostało ograniczone do spluwaczek umiejscowionych w saloonach i salach hazardu, gdzie Monk tak czy siak nie był mile widzianym gościem, ponieważ sam odczuwał organiczny wstręt do pijaństwa, a poza tym w lot potrafił poznać kostkę ze spiłowanymi narożnikami, wykrzywione koło ruletki lub znaczone karty. Ani szefostwu, ani klienteli obecność Monka nie była w smak, gdyż psuł całą zabawę.

Nawet tych drobnych zasad nikt nie lubił przestrzegać, ale ludzie bali się, że Artemis Monk, najrzetelniejszy, najuczciwszy i najbardziej nieprzekupny probierca, jakiego w życiu znali, w gniewie może wyjechać z miasteczka, a z tym byłoby znacznie trudniej żyć.

Zatem mieszkańcom Opał nie były obce irytujące dziwactwa Monka i jakoś się do nich przystosowali. Jednak niektórzy usiłowali je wykorzystać w swoim interesie, co dobrze może ilustrować następująca historia.

Roger Ewing, właściciel świetnie prosperującego hotelu w San Francisco, powziął zamiar zainwestowania swoich dochodów w wydobywanie złota i zwrócił uwagę właśnie na Opały.

Najprostszym sposobem znalezienia złota jest kopalnictwo złóż płytkich, które polega na przesiewaniu żwiru, piasku czy gliny w starym lub czynnym korycie strumienia czy rzeki, w poszukiwaniu drobin kruszcu. Wystarczy do tego misa do płukania złotonośnego piasku, mocne plecy i mnóstwo szczęścia. Metoda płukaczy to metoda dla biedaków.

Kiedy jednak z tych prostych żniw uzbiera się grosik do grosika, to można dotrzeć przez warstwę osadową do skalnego podłoża, w którym gromadzi się złoto, tworząc coś, co poszukiwacze nazywają „bogatą żyłą”. Aby jednak dostać się do takiej żyły, jeżeli oczywiście w ogóle jest, trzeba się ciężko naharować, a jeśli człowiek chce postawić tamę lub zmienić nurt strumienia, potrzebne są również niemałe środki finansowe i właśnie tu do gry wchodzi osoby tak dobrze sytuowane jak Roger Ewing.

Lute Asper od dobrych kilku miesięcy przeszukiwał płytkie złoża w pobliżu Opal. Płatki złota znajdował regularnie, ale nie były to spektakularne sukcesy. Zaczęto mówić, że Asper osiągnął punkt, w którym, jeśli rzeczywiście chce wyzyskać potencjał swojej działki, to powinien włożyć w to o wiele więcej wysiłku niż do tej pory. Sęk w tym, że Aspera opuściła już gorączka złota i zaczął tęsknić do swojej praktyki adwokackiej i żony, która została w Filadelfii.

Ogłosił więc, że sprzedaje wszystko, co posiada, i niebawem w Opalach pojawił się Roger Ewing, który osobiście chciał się przekonać o wartości działki.

Ewing nie był głupi, o czym nie omieszkał wspomnieć każdemu, kogo spotkał, więc doszłam do wniosku, że najbardziej obawiał się tego, że ktoś go może wziąć za głupca.

Nie wierzył zatem ani jednemu słowu Aspera. Postanowił przyjechać bez zapowiedzi, aby obejrzeć działkę. Zabrał ze sobą własnych poszukiwaczy, którzy mieli obejrzeć złoża w paru losowo wybranych miejscach, aby nie dać Asperowi żadnej możliwości matactwa i podłożenia więcej złota do uzyskanego urobku.

Poza tym zatrudnił Monka, aby na miejscu zbadał teren.

Ewing, tęgi jegomość z zakręconymi wąsami i cylindrem na głowie, zaproponował nam przejazd na działkę Aspera wynajętą przez siebie jednokonną bryczką, ale Monk uparł się, by iść pieszo, co, jak widziałam, zdumiało, a nawet uraziło naszego klienta.

Może Ewing się przechwalał, że jest nie w ciemie bity, ale, jak się zdaje, o Monku potrafił się dowiedzieć tylko tyle, że ma opinię człowieka uczciwego, rzetelnego i obiektywnego, w przeciwnym razie odmowa Monka by go nie zaskoczyła. Było powszechnie wiadomo, że Monk nie jeździ na koniu - a tym bardziej za nim, że unika wszelkiego kontaktu ze zwierzętami. Jako środek lokomocji preferował własne dwie nogi lub ewentualnie pociąg, jeśli jechał raz ustalonym, w miarę poziomym kursem. Lubił też rowery, zachwycał się idealną równowagą, którą trzeba było osiągnąć w czasie jazdy, jednak w większości wypadków rower okazywał się niepraktyczny w Opalach.

W drodze na działkę Aspera staraliśmy się trzymać dobrze wydeptanych szlaków, więc nie był to trudny marsz, tyle że dłużył się potwornie, zwłaszcza w upale. Jednak mimo niewygód bardzo się cieszyłam, że wreszcie wyszłam na jakąś wycieczkę i dla odmiany raz przebywam poza miastem.

Monk przeżywał katusze. Każdy krok stawiał z wielką ostrożnością, a ręce trzymał cały czas przy ciele, w strachu, że o coś się otrze.

- Nienawidzę przyrody - stękał.
- Jak można nienawidzić przyrody? - zapytałam.
- Ponieważ w przyrodzie jest za dużo przyrody -

odparł Monk. - Jest wszędzie. Nikt nad nią nie panuje.

- Bóg ma na nią oko.

- W takim razie musi się łatwo dekoncentrować - stwierdził Monk, wskazując jakieś krzaki i drzewa. - Spójrz tam. Ziemia jest zasłana warstwami listowia. To nie do zaakceptowania. Ktoś powinien to posprzątać.

- Bóg sprząta na własny sposób - odparłam. - Prędzej czy później liście butwieją i stają się częścią gleby.

- Raczej później niż prędzej - sarknął Monk. - Butwienie trwa bardzo długo i wiąże się z gniciem. Gnicie to paskudna sprawa.

- Co jest złego w gniciu?

- Gnicie gnije. Zjadłabyś coś, co zgniło?

- Nie - przyznałam.

- Sama widzisz. Przyroda to jedno wielkie gnicie. Ale to dopiero początek. Wystarczy, że na sekundę spuścisz ją z oczu, a cię zabije. Ciernie, insekty, grzyby, robactwo, ptaki, gady, dzikie zwierzęta, rwące rzeki, bezdenne szczeliny, suche pustynie, śnieg, ruchome piaski, solanki kolczyste, soki roślinne i błoto. Zgnilizna, trucizna i śmierć. Oto przyroda.

- Dziw bierze, że w ogóle wychodzi pan z domu - stwierdziłam.

- Moja odwaga przewyższa mój zdrowy rozsądek - wyznał Monk.

- Tak, pewnie w tym cała rzecz.

Parcela Lute'a Aspera leżała w szerokim aluwium, które niegdyś było łożyskiem rwącej rzeczki z wysokimi brzegami. Tam, gdzie ziemia jeszcze nie była przekopana albo przeczesana w poszukiwaniu złota, widać było wiele kamieni i gęstych zarośli. W stru-

myku, który wił się meandrami przez działkę, kucalo sześcioro poszukiwaczy. Mozolnie przepłukiwali piasek, nabierany w miski w różnych miejscach.

Obok stał Roger Ewing. Przypatrywał się robotnikom, przeżuwając między zębami cygaro. Twarz miał spaloną od słońca. Było jasne, że człowiek ten nie był przyzwyczajony do przebywania przez dłuższy czas poza domem. Był typem urzędnika.

Czego nie można było powiedzieć o Asperze, który, tuląc do siebie strzelbę w obu rękach, czekał na nas przy szlaku, gdy podchodziliśmy do jego parceli. Miał surową, ogorzałą, kanciastą twarz, nieruchome oczy i ciemną, opaloną skórę człowieka, który więcej czasu spędza na słońcu niż w cieniu. Włosy i brodę miał starannie przystrzyżone, zapewne po to, by zrobić lepsze wrażenie na Ewingu.

Kiedy podeszliśmy, Asper musnął palcami rondo kapelusza i uśmiechnął się do mnie.

- Dobry, pani Guthrie. Uważajcie na każdy krok. Mnóstwo tu grzechotników.

Monk spojrział na mnie. W jednej chwili spopielał na twarzy.

- Nic nie mówiłaś o grzechotnikach.

- Jak pan myśli, dlaczego nazywają to miejsce Wąwozem Węża? - zapytał Asper.

- Tak je nazywają? - zdumiał się Monk.

Oczywiście wiedziałam o tym, ale doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli przed wyruszeniem w drogę nie podzielę się z Monkiem tym drobnym szczegółem.

- Te barwne nazwy z reguły nic nie znaczą - powiedziałam szybko. - Sądziłam, że nazwa odnosi się do meandrów rzeki, która wije się tędy jak wąż.

- Umrzemy - jęknął Monk.

- Nie, kiedy ja mam was na oku - powiedział Asper. - Wiem przecież, że boi się pan węży. Dlatego wziąłem strzelbę. Będziecie bezpieczni.

W tej chwili podszedł do nas Ewing.

- Cieszę się, że wreszcie państwo dotarliście.

- Chcę już wracać do domu - powiedział Monk.

Ewing wyciągnął w naszą stronę dłoń, aby pokazać fiolkę, w której, według mojego szacunku, znajdowało się jakieś pięć szczypt złotego pyłu.

- To na razie wszystko, co znaleźli moi ludzie z tych wszystkich misek.

Monk przyjrzał się badawczo zawartości fiolki.

- To złoto. I nie ma go wiele. Miło mi, że mogłem w czymś pomóc.

Odwrócił się i zaczął odchodzić, ale go zatrzymałam.

- Pan Ewing na pewno chciałby, żebyśmy poczekali i zobaczyli może coś więcej - powiedziałam.

- Właściwie pan Monk może wracać - westchnął Ewing. - To niezbyt obiecujący kawałek ziemi.

- Bo szukacie w złym miejscu - wyjaśnił Asper.

- To zawodowi poszukiwacze złota - zapewnił Ewing.

- To powsinogi i próźniacy, którzy nie potrafiliby znaleźć wody, gdyby stali po pas w rzece, bo pracowaliby teraz na własnych złotodajnych działkach, a nie dla pana, panie Ewing - powiedział Asper. - Najlepszy urobek znajdzie się tam.

Wskazał na kamienie i zarośla po lewej stronie.

- To zapewne fragment, który specjalnie na moją wizytę posypał pan złotem - wyraził powątpiewanie Ewing i odwrócił się do Monka. - Pan jest ekspertem. Która część parceli wygląda pana zdaniem najbardziej obiecująco?

Monk postąpił parę kroków naprzód, przechylił głowę na bok, wyciągnął przed siebie ręce i zarobił parę większych kółek, zatrzymując się czasem, by poruszyć dziwnie ramionami, przykucnąc, wstać i pochwiać się przez chwilę z boku na bok.

- Co on robi? - zapytał mnie Ewing.

- Analizuje grunt, aby podać jego cechy geologiczne i metalurgiczne - wyjaśniłam.

- Tego się domyślam. Ale po co wykonuje w tym celu jakiś indiański taniec?

- Gimnastykuje się - odparłam. Było to wierutne kłamstwo. Nie miałam pojęcia, co Monk robił. - Od przesiadywania przez tyle godzin w laboratorium dokuczają mu skurcze mięśni pleców.

- Czy dlatego wszędzie chodzi pieszo?

Przytaknęłam.

- Właśnie. To go rozluźnia.

Monk obrócił się na pięcie, przykucnął i zajrzał z bliska w suche zarośla i kamienie nad brzegiem urwiska.

- Myślę, że to będzie dobre miejsce. - Monk wstał i ruszył w stronę zarośli. - W tym miejscu może pan...

Nagle Asper poderwał się, gwałtownie odepchnął Monka i strzelił w krzaki. Odgłos wystrzału poniósł się echem nad urwiskiem.

- Co pan robi, do diabła? - zapytał Ewing.

Asper wsunął strzelbę między krzaki, poszperał nią trochę, a kiedy wyciągnął ją z powrotem, na lufie wisiał martwy grzechotnik. Największy, jakiego widziałam w życiu.

- Ratuje pana Monka przed niespodzianką. Jeśli było tu więcej grzechotników, to na pewno czmychnęły.

Ewing przywołał swoich ludzi, którzy w miejscu wskazanym przez Monka zaczęli sypać ziemię na miski i wracać z nimi do rzeki, aby je wypłukać.

Monk był wstrząśnięty. Potykając się, podszedł do bryczki Ewinga, wdrapał się na tylne siedzisko i wcisnął się w oparcie, chcąc być jak najdalej od koni.

- Dobrze się pan czuje, panie Monk? - zapytałam.

- Posiedzę tu trochę - odparł. - Daleko od przyrody.

Asper tymczasem podziwiał martwego węża.

- Ale sztuka, będzie niezły pas do spodni.

Po jakimś czasie Ewing wrócił do nas z uśmiechem na twarzy, trzymając w dłoniach mokrą misę.

- Patrzcie tylko - powiedział cichym głosem, aby Asper, opierający się o drzewo dziesięć metrów dalej, nie mógł nas słyszeć.

Monk zajrzał do miski, ja również. Mój Hank zawsze marzył, by pewnego dnia wrócić do mnie z miską tak pełną złota jak ta. Na jej dnie leżał złoty pył, który musiał być wart co najmniej pięćdziesiąt dolarów.

- Jak pan sądzi, jest tam tego więcej? - pytał Ewing.

Monk zsunął się ostrożnie z bryczki, zerknął za siebie na urwisko, patrzył na nie przez dłuższą chwilę, a potem przechylił głowę i poruszył niezgrabnie ramionami.

- Na pewno.

Ewing przytaknął z zadowoleniem, ale połknął uśmiech i podszedł z niewinną miną do Aspera. Monk i ja dołączyliśmy do nich.

- Radziłem się właśnie pana Monka. Niestety ta parcela ma się nijak do pańskich zachwał - za-

czął Ewing. - Miemniej jednak być może podjąłbym to ryzyko i kupił ją, gdyby cena nie była tak strasznie wygórowana.

Asper uśmiechnął się i oparł strzelbę o pień drzewa.

- Pan gra w pokera, panie Ewing? - zapytał.

- Stronię od alkoholu i gier hazardowych - odpowiedział Ewing.

- I dobrze pan robi, bo zgrałby się pan do gatek. Pańskie karty widzę w pańskich oczach. Miska, którą zaniósł pan do Monka, musiała być niczego sobie, co?

- Była może bardziej obiecująca niż pozostałe.

- Ta działka to nic innego jak obietnica czekająca spełnienia. Gdybym miał pańskie pieniądze, panie Ewing, i nie śnił o Filadelfii za każdym razem, gdy zamykam oczy, to nie wypuszczałbym jej z rąk, dopóki nie wyłuskałbym z tej ziemi ostatniego złotego płatka. Oferuję ją panu za cenę o wiele mniejszą od tego, co zdąży pan wyciągnąć z ziemi, gdy ja będę jeszcze w drodze do domu. Niech pan się lepiej zgodzi na taką cenę, jaka jest, bo znajdę kogoś, kto uczyni to bez wahania.

Nagle Monk krzyknął, odepchnął Aspera, chwycił jego strzelbę i wypalił w pień drzewa, a cała nasza trójka odskoczyła raptownie, zanim zdołała nas osiągnąć chmura śrutu.

Asper, potwornie wściekły, wyrwał Monkowi broń z ręki.

- Oszalał pan?! Mogliśmy zginąć!

- Właśnie dlatego to zrobiłem - powiedział Monk. - Uratowałem pana.

- Przed czym?!

- Przed mrówką - odpowiedział Monk.

- Pan strzelał do mrówki?

- Już wchodziła panu na głowę - wyjaśnił Monk.
- Nie mógł pan po prostu powiedzieć, żebym się odsunął?

- Mogłaby skoczyć na kogoś innego.
- Mrówki nie skaczą,
- To tak, jak powiedzieć, że złoto nie porasta drzew.
- Bo nie porasta - stwierdził Asper.

Monk cofnął się o krok i spojrzał na drzewo, mrużąc oczy.

- W takim razie dlaczego ta kora lśni złotem?

Podeszliśmy z Ewingiem do drzewa i przyjrzelśmy się uważnie. Drzewo bez wątplenia mieniło się złocistymi drobinami.

Lute Asper odwrócił się i ruszył pędem w kierunku konia. Zanim jednak dopadł siodła, jeden z ludzi Ewinga natarł na niego ciałem i zwałił na ziemię. Wszyscy, poza Asperem, który leżał przyduszony twarzą do ziemi, zwrócili głowy w kierunku Monka, czekając na wyjaśnienia.

- Co tu się, do licha ciężkiego, dzieje? - zapytał Ewing.

- Jeśli wyśle pan paru ludzi nad urwisko - mówił Monk - znajdą tam worek pełen martwych grzechotników i zobaczą, jak jeden z ludzi Aspera, bierze nogi za pas.

- Wiele mi pan nie wytłumaczył.

- Oto, co się stało. Lute Asper nie zabrał ze sobą strzelby po to, aby chronić nas przed grzechotnikami. Nabój wypełniony był złotym pyłem. Asper czekał na moment, aż ktoś podejdzie blisko urwiska i zarośli, aby udawać, że dostrzegł grzechotnika. Gdy oddał strzał, jeden z jego ludzi rzucił z dołu martwego węża, aby Asper mógł go triumfalnie pokazać - wyjaśnił Monk.

Ewing pokiwał głową, gniewnie marszcząc brwi.

- To miał być krętacki sposób na podsypywanie działki złotem, żeby wyglądała na bogatszą w kruszec, niż w rzeczywistości jest, i żeby wytargować wyższą cenę.

- Obawiam się, że tak właśnie było - powiedział Monk. - Ponadto węże miały wytrącić mnie z równowagi, żebym nie mógł się skoncentrować.

Ewing zmarszczył groźnie brwi i spojrzał na swoich ludzi.

- Zwiążcie Aspera i wrzućcie do bryczki. Zabieramy go do szeryfa. Widać, że cała moja wyprawa była nadaremna.

- Nie powiedziałbym tego - stwierdził Monk i odciągnął Ewinga na stronę, aby zamienić z nim parę słów na osobności.

Nie słyszałam, o czym mówili, ale widziałam, jak Ewing kiwa potakująco głową.

Po chwili Roger Ewing wrócił do Aspera, pętanego właśnie od stóp do głów przez dwóch mężczyzn.

- Dam ci prosty wybór i trzydzieści sekund do namysłu, Asper - rzucił Ewing. - Albo sprzedasz mi działkę za cenę powrotu do Filadelfii i obietnicy, że twoja noga więcej nie postanie w Kalifornii, albo idziesz do więzienia, gdzie zapewne zawieszysz na stryczku.

- Biorę bilet do Filadelfii - odpowiedział bez namysłu Asper.

- Tak też myślałem - stwierdził Ewing. - Podpisz przygotowaną umowę i będzie po wszystkim.

Monk ruszył w drogę powrotną, a ja pośpieszyłam za nim, nieco zdezorientowana.

- Co pan powiedział Ewingowi, panie Monk?

- Że Asper wcale nie musiał posypywać dział-

ki złotem. Patrząc na ściemniałe brzegi urwiska, mogę bez większego ryzyka stwierdzić, że są bogate w tlenek żelaza i mangan, które zwykle oznaczają obecność złotonośnego kwarcu. Jestem pewien, że parcela istotnie ma wartość, o jakiej mówił Asper, a prawdopodobnie nawet większą.

- Sądzi pan, że Asper jest tego świadom?

Monk potrząsnął głową.

- Gdyby wiedział, nie marnowałby czasu na takie intrygi.

- Cóż, sprawiedliwości stało się zadość - stwierdziłam. - Jeśli jednak działka Aspera rzeczywiście jest taka zasobna w złoto, jak się przechwalał, to jak się pan domyślił intrygi?

- Ponieważ Asper strzelił do grzechotnika, zanim skończyłem wypowiadać swoje zdanie.

- A co pan chciał powiedzieć?

- Chciałem tylko powiedzieć, że będzie to najlepsze miejsce na budowę szopy, bo prawdopodobnie jedyne na całej parceli, gdzie nie znajdzie się ani uncji złota.

Detektyw Monk i śniadanie

Do drzwi Monka zapukałam dokładnie o dziewiątej rano. Jak się spodziewałam, był już ubrany i gotowy do wyjścia.

- Dzień dobry - przywitał mnie.

Spojrzałam nad jego ramieniem. Łóżko było idealnie posłane, a w pokoju wyglądało tak, jakby nikt tu niczego nie dotknął.

- Spał pan w nocy? - zapytałam.

- Tak - odparł. - Dziękuję.

- W łóżku?

- A gdzież indziej miałbym spać?

- Nie wiem, ale pokój wygląda tak, jakby nikt tutaj nie nocował.

- Właśnie tak każdy gość powinien zostawiać po sobie pokój w hotelu - stwierdził Monk, wychodząc przed próg i zamykając za sobą drzwi. - Ach, właśnie, musimy powiedzieć menadżerowi, żeby nie wpuszczał do mojego pokoju pokojówki.

- Bo nie ma tu nic do sprzątnia - powiedziałam.

Monk przytaknął.

- I nie będę musiał po niej sprzątać.

- Uważa pan, że pokojówka zrobiłaby bałagan?

- Każdy robi bałagan.

- Poza panem - zauważyłam.

- Nierobienie bałaganu wymaga nadzwyczajnej

koncentracji i wysiłku. Wydaje mi się, że jestem jedynym człowiekiem gotowym dokonać takiej inwestycji.

- Znam co najmniej jeszcze jedną osobę - powiedziałam, gdy szliśmy w kierunku biura menadżera.

- Mojego brata?

- No dobrze, niech będzie, że znam dwie.

- Chyba nie masz na myśli siebie?

- Nie, nie chodzi o mnie.

- Bo ty jesteś prawdziwym tornadem brudu.

- Dziękuję. Mam na myśli Artemisa Monka.

- To postać fikcyjna - stwierdził Monk.

- Jak najbardziej prawdziwa - zaprzeczyłam. - To pański przodek.

- Proszę, nie zaczynaj znowu tych bredni.

- Wczoraj wieczorem przeczytałam kolejne fragmenty pamiętnika Abigail Guthrie. Z całą pewnością jest pan potomkiem Artemisa. On również nie nawidził przyrody i bał się solanek kolczystych.

- To tak samo, jakbyś powiedziała, że jestem jego krewnym, bo zjadam posiłki, piję wodę i oddycham powietrzem.

- On robił tak... - Zaczęłam naśladować Monkowy taniec zen.

Poruszyłam niezgrabnie ramionami, przechyliłam na bok głowę, zakręciłam parę piruetów i wyciągnęłam przed siebie dłonie, składając palce w prostokąt, jakbym szukała filmowego ujęcia.

Monk patrzył na mnie zdumionym wzrokiem.

- Co ty robisz, kobieto?

- Naśladuję pana.

- Ja tak nie robię.

- Robi pan - zapewniłam. - Artemis Monk robił tak samo.

Weszłam do biura menadżera i poprosiłam go, żeby pokojówka pominęła pokój Monka i poświęciła ten czas na dokładne wysprzątanie mojego pokoju, skoro jestem takim tornadem brudu. Menadżer zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem.

- Proszę się nie martwić - powiedziałam. - Nie ukrywamy śladów krwi na ścianach ani ludzkich narzędzi obłożonych w wannie lodem.

- Nic takiego nie powiedziałem.

- Ale pan pomyślał.

- Myśleć mogę o wielu rzeczach - stwierdził menadżer. - W tym zawodzie człowiek widzi niejedno.

- Nawet nie chcę wiedzieć - powiedziałam.

- Nie, na pewno pani nie chce - zgodził się.

Po tej ujmującej konwersacji z menadżerem przeszliśmy z Monkiem na śniadanie do Dorothy's Chuckwagon. Dwa z czterech boksów były zajęte, ale przy barze nie było nikogo, choć na kontuarze stał czyjś talerz z resztkami dwóch sadzonych jaj i kilku małych, smażonych placków.

Zajęłam miejsce przy barze, kilka stołków dalej od brudnego talerza, bo wiedziałam, że jego bliskość wytrąci Monka z równowagi. Mimo to Monk nie usiadł, tylko stanął za moimi plecami.

- Wolałbym usiąść w boksie - oświadczył.

- Kelnerce łatwiej będzie porozmawiać, jeśli usiądziemy tutaj - powiedziałam.

- Dlaczego miałbym rozmawiać z kelnerką?

- To Crystal DeRosso, córka konduktora ze Złotego Ekspresu.

- Przecież może z nami porozmawiać przy stoliku w boksie.

- Ale wtedy zajęte będą trzy boksy z czterech -

stwierdziłam. - Zakłócona zostanie równowaga wszechświata.

- Masz słuszość - powiedział Monk i błyskawicznie usiadł obok mnie. - Co też mi przyszło do głowy.

- Jest pan głodny.

- Zapewne w tym problem - przyznał. - Dziękuję. Byliśmy o włos od katastrofy.

- Chyba teraz pan przeprosi za nazwanie mnie tornadem brudu?

- Nie - odpowiedział. - Dlaczego miałbym to zrobić?

W tym momencie usłyszeliśmy stłumiony odgłos splukiwanej wody w toalecie i po chwili z bocznych drzwi wyszedł Bob Gorman, nowy strażnik Muzeum Gorączki Żłota, który zasiadł przed swoim talerzem z niedokończonym śniadaniem.

- Siemanko, witam detektywów - powiedział. - Jak leci?

- Co leci? - Monk zerwał się ze stołka i zaczął gorączkowo otrzepywać ubranie. - Gdzie? Czy wciąż leci?

- Spoko - odpowiedział zdziwiony Gorman. - Nic nie leci. Tak się tylko mówi zamiast „cześć”.

Monk usiadł z powrotem i poruszył niezgrabnie ramionami.

- Wiadomo. Wiem. Pasi mi taka gadka. Ale jeśli chodzi o coś, co leci, to ostrożność nigdy nie zawodzi. Kumasza pan?

- Jasne - powiedział ostrożnie Gorman i sięgnął po widelec.

- Nie! - krzyknął Monk.

- Co nie? - zapytał Gorman, wystraszony wybuchem Monka.

- Niech pan nie bierze widelca do ręki.

- Coś z nim nie w porządku? - Gorman zwrócił się do mnie.

- Nie w porządku jest z pańskimi rękami - odpowiedział Monk. - Są odrażające. W ogóle ich pan nie umył.

Była to prawda. Pod paznokciami Gormanowi zalegał czarny brud. Również grzbiety obu dłoni urnazane były na czarno.

Gorman przyjrzał się rękom.

- To? To nic takiego. Taka robota, mechanik samochodowy, tylko smary i brud, człowiek małpę z siebie robi.

- Zajmuje się pan małpami? - zapytał Monk. - Usmarowanymi brudem?

- To problem każdego mechanika. Smary, oleje i brud nie schodzą, choćbym nie wiem jak szorował łapska. To jeden z powodów, dla których tak się cieszę z nowej posady. Któregoś dnia znowu będę miał czyste ręce.

- Niech dzień ten nastanie dzisiaj - oznajmił Monk i dał mi znak, żebym podała chusteczki. - Niech pan spróbuje szorować wodą z mydłem i użyje jeszcze tego.

Podalam Gormanowi chusteczki dezynfekujące.

- Jeśli to nie pomoże, niech pan spróbuje trzeć czyścikiem ze stalowej wełny.

- Nie zedrę tym sobie skóry?

- Przynajmniej będzie pan czysty - ponaglał Monk. - Niechże pan idzie, zanim zaczną się rozprzestrzeniać małpie zarazki. Małpy roznoszą wirusa Ebola.

Gorman popatrzył na mnie.

- Nie da panu spokoju, jeśli pan nie pójdzie - powiedziała przekonującym głosem.

Mężczyzna westchnął ciężko, zgarnął chusteczki i wrócił do toalety.

Monk potrząsnął głową z niesmakiem.

- Małpy usmarowane brudem, dzikie osły... To miasteczko to piekło.

Za barem pojawiła się Crystal z jakimiś talerzami. Odnotowała naszą obecność krótkim spojrzeniem i podeszła do jednego z boksów i rozstawiła przed dwiema parami sadzone jajka, bekon, ciasteczka, sos i naleśniki. Potem wróciła za kontuar.

- Co podać? — zapytała.

Miałam wielką ochotę jeszcze raz zamówić cheeseburgera i milkshake'a, jednak się powstrzymałam. Nie było to łatwe,

- Poproszę dwa naleśniki, cztery paski bekonu i kawę. Czy naleśniki i bekon mogłabym otrzymać na osobnych talerzach?

Tę ostatnią prośbę wyraziłam, aby zyskać parę plusów u swojego szefa.

- Jasne, przecież to niepotrzebnie tylko jeden talerz więcej do zmywania - rzuciła i odwróciła się do Monka. - Dla pana?

- Macie płatki Chex? -

Nie.

- To może płatki Cap'n Crunch? -

Nie.

- W takim razie poproszę tosta z odkrojonymi brzegami.

- To wszystko?

- Ten pan będzie miał jeszcze parę pytań - uprzedziłam ją. - To Adrian Monk, detektyw, o którym wczoraj pani wspominałam.

- Jak leci? - zapytał Monk. - W znaczeniu „wi-

tam", nie w znaczeniu, jak się mają spływające z pani płyny.

Crystal rzuciła mu ciężkie spojrzenie.

- Złożę zamówienie i zaraz wracam - powiedziała i wróciła do kuchni.

Tymczasem Gorman wyszedł z łazienki. Jego ręce były czystsze, ale wciąż daleko im było do doskonałości. Monk skrzywił się niechętnie i zwrócił się do mnie:

- Masz czyścik ze stalowej wełny?

- Niestety, nie mam.

- Może papier ścierny?

- Przykro mi, ale już się skończył.

- Co się z tobą dzieje? Nie powinnaś się wyprawić w świat bez podstawowego zaopatrzenia. Musisz być lepiej przygotowana. Kiedyś może od tego zależeć nasze przetrwanie.

- Stalowa wełna i papier ścierny - powiedziałam.

- Wpiszę je na listę.

- Chciałbym zobaczyć tę twoją listę.

- Nie mam żadnej listy. Ją również będę musiała wpisać na listę.

- Chcesz wpisać listę na listę?

- Będzie na pierwszym miejscu listy - zapewniłam. - Obiecuję.

Gorman wziął do ręki widelec, odkroił kawałek naleśnika i umoczył go w żółtku. Już miał włożyć do ust, gdy Monk wykrzyknął nagle:

-Nie!

Gorman zastygł.

- Co tym razem?

- Ma pan żółtko na naleśniku.

- Tak właśnie lubię.

- Nie może pan tego lubić.

- Dlaczego?
- Ponieważ przystawek nie wolno mieszać - oświadczył Monk. - To odrębne jednostki żywieniowe. Niech pan pomyśli o nich jak o kontynentach. Co by się stało, gdyby Ameryka Północna zderzyła się z Europą? Ziemia rozerwałaby się na kawałki. To samo stanie się z pańskim talerzem.
- Panie Monk, niech mu pan pozwoli zjeść posiłek - poprosiłam.
- Nie mogę stać obojętnie z boku i patrzeć, jak człowiek popełnia samobójstwo - stwierdził Monk.
- Panie, w żołądku tak czy siak wszystko się miesza. - Gorman zjadł wreszcie nabity na widelec kawałek naleśnika. - To jak sypać węgiel do kotła lokomotywy. Nie ma tam żadnych podziałów.
- Żołądek sam wie, jak wszystko odróżnić. Mogliby się dalej spierać na ten temat, ale z kuchni wyszła właśnie Crystal i stanęła przed nami.
- Co chce pan wiedzieć? - zapytała Mońka.
- Jak możecie podawać jedzenie komuś, kto macza naleśnik w żółtku? - zapytał Monk, kiwając głową w kierunku strażnika z muzeum.
- Crystal zerknęła na Gormana, który demonstracyjnie obtoczył w żółtku, maśle i słodkim syropie klonowym kolejny kawałek naleśnika i zjadł go ze smakiem. Monk wzdrygnął się ze wstrętem, na co Gorman uśmiechnął się tylko wesoło, zachęcony do dalszej zabawy.
- Prawo nie zabrania - stwierdziła Crystal.
- Pozwoliłaby mu pani wypić alkohol i usiąść za kierownicą? - zapytał Monk.
- Nie sprzedajemy alkoholu. Czy o tym chciał pan ze mną porozmawiać?

- Pana Monka interesuje osoba pani ojca - wtrąciłam się do rozmowy.

- W ogóle ojca nie pamiętam. Znam go tylko ze zdjęć w rodzinnym albumie oraz opowiadań mamy i znajomych. Każdego dnia przed pracą przychodził tu na śniadanie.

Monk rzucił spojrzenie w stronę Gormana.

- Założę się, że bierze pan narkotyki.

- Nigdy tego nie tknąłem - odparł Gorman. - Nie palę i nie piję.

- Ale od tego się zaczyna - powiedział Monk. - Dzisiaj żółtko i naleśniki, jutro pół litra i trawka. Nic dziwnego, że w baraszkowaniu z usmarowaną małą nie widzi pan nic zdroźnego.

- Panie Monk - odezwałam się. - Nie chce pan postawić Crystal paru pytań na temat jej ojca?

Monk spojrział na kelnerkę.

- Czy pani matka opowiadała pani o tamtym napadzie rabunkowym?

- Oczywiście. Co to za głupie pytanie?

- Bardzo proste, aby mogła się pani skoncentrować na pewnym, szczególnie mnie interesującym, aspekcie sprawy - wyjaśnił Monk. - Może jednak powinienem wyrażać się jaśniej. Czy pani ojciec był jednym z rabusiów w Żółtym Ekspresie?

Crystal patrzyła na niego gniewnym wzrokiem.

- Ten pociąg był jego życiem. Ojciec kochał koleje. Od małego dziecka marzył, aby pracować właśnie w Żółtym Ekspresie. Zaczynał od najniższego stano wiska i powoli piął się w górę, aż do posady konduktora. Mundur kolejarski nosił z dumą czterogwiazdkowego generała. Praca na tej trasie była jedyną, jaką chciał mieć, ijedyną, jaką w życiu miał. Zatem nie, panie Monk, ojciec nie mógłby obrabować tego

pociągu. Był mu oddany całą duszą, prawdopodobnie bardziej niż mamie i mnie.

- Jeśli tak znakomicie znał pociąg, to jakim cudem z niego wypadł? - zapytał Monk.

- Wcale nie wypadł - odpowiedziała Crystal. - Został wypchnięty. Zginął podobnie jak ten biedny strażnik, bo stawiał opór bandytom.

- Czy ktoś widział, jak wypychają go z pociągu?

- Nikt nie widział, jak to się stało. Kiedy pociąg przyjechał do Opał, ojca w nim nie było, więc rozpoczęto jego poszukiwania. Ciało znaleziono przy torach.

- Może zabił się, skacząc z lupem, a kompani, którym nic się przy skoku nie stało, uciekli, nie oglądając się na niego - zasugerował Monk.

- Nie znaleziono przy ciele żadnych monet ani pieniędzy — oznajmiła Crystal. — Jeśli uderzenie o ziemię było tak silne, że ojciec zginął, to nie sądzi pan, że worki z pieniędzmi i złotem również by się rozrwały? A przynajmniej wysypałoby się z nich co nieco, kiedy wypuścił worek z ręki, prawda?

Monk wzruszył ramionami.

- Pewnie ma pani rację. Ale rozumiem ludzi, którzy podejrzewali, że brał udział w napadzie.

- W miasteczku nikt go nie podejrzewał. Tak myśleli ci, którzy go nie znali - odparła Crystal. - Leonard McElroy i Clifford Adams nadal jeździli Żółtym Ekspresem i przez dwadzieścia lat oddawali mamie część swojej tygodniówki. Chybaby tego nie robili, gdyby podejrzewali, że ojciec należał do szajki rabusiów, prawda?

W tym momencie odezwał się Gorman, który właśnie wyczyścił kawałkiem tosta talerz z resztek żółtka i syropu klonowego.

- Co to ma dzisiaj za znaczenie?

- To nierozwiązana sprawa. Nieskończona. Niekompletna - tłumaczył Monk. - Zagubiony fragment historii.

- To nic więcej niż historia - stwierdziła Crystal. - Co z tu i teraz? Co z biednym Mannym?

- Nad tym również pracuję - powiedział Monk.

Z kuchni rozległ się dźwięk dzwonka i Crystal odeszła, aby odebrać jedzenie.

- W takim razie dlaczego nie pyta nas pan o Manny'ego? - zapytał Gorman.

- Wie pan coś na temat tego morderstwa?

- Nie, ale kilka dni wcześniej zjawił się w naszym warsztacie jakiś facet i wypytywał o Manny'ego.

- Mówił pan o tym komendantowi? - zapytałam.

- Komendant nigdy mnie o to nie pytał - odpowiedział Gorman. - Ten facet twierdził, że jest starym kumplem Manny'ego, przejeżdżał przez miasteczko i przypomniał sobie, że Manny tu mieszka. Zapytał, czy go znam i czy mógłbym mu wskazać jego dom.

- Dlaczego zjawił się właśnie u pana? - chciał wiedzieć Monk.

- Pracowałem w jedynym warsztacie samochodowym w Opałach - tłumaczył Gorman. - Jeśli padnie ci auto, tylko tam mogą ci je naprawić. Znam więc niemal wszystkich w miasteczku i wszyscy znają mnie.

- Powiedział pan temu człowiekowi, gdzie mieszka Manny?

- Nie widziałem w tym nic złego. Zaproponowałem, że zadzwonię do Manny'ego z warsztatu, ale on chciał mu zrobić niespodziankę.

- Nie wątpię - powiedziałam. - Przedstawił się panu?

- Nie, ale przyjechał czerwonym fordem thunder-

birdem z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku - mówił Gorman. - Dobrze pamiętam, bo autko było w idealnym stanie. Takie cacka rzadko się dziś widuje w tej okolicy. Wie pan, że model z sześćdziesiątego czwartego roku ma przesuwaną na bok kolumnę kierownicy? Można ją odsunąć w kierunku środka wozu, aby łatwiej wsiąść. To rozwiązanie jednak nigdy się nie przyjęło. Można podnosić i opuszczać kierownicę, ale nie można jej przesuwać z boku na bok.

- Nadzwyczaj interesujące - rzuciłam. - Przez całą noc mogłabym rozprawiać o kolumnie kierownicy. Jednak musi pan natychmiast udać się do komendanta Keltona i przekazać mu rysopis mężczyzny z thunderbirda oraz opis jego wozu.

- Może wpadnę do niego w drodze do pracy. - Gorman wziął talerz w ręce, podniósł go, spojrzął na Monka i wylizał talerz do czysta. - Teraz muszę się wyspać. Całą noc byłem na nogach.

- Zamordowany został człowiek - przypomniałam mu.

Gorman odstawił talerz, otarł usta w nagie przedramię, rzucił na kontuar kilka dolarów i wstał ze stołka.

- Manny nie stanie się bardziej martwy, jeśli utnę sobie małą drzemkę - stwierdził.

Wyszedł w momencie, gdy pojawiła się Crystal z naszymi posiłkami. Postawiła przed nami talerze. Tost Monka przycięty był w idealny kwadrat i z obu stron był symetrycznie opieczony, ale on tego nie zauważył. Tępo wpatrywał się w talerz po Gormanie.

- Coś jeszcze? - zapytała Crystal.

- Proszę zabrać ten talerz - odezwał się w końcu Monk, wskazując talerz Gormana. -I zniszczyć.

Detektyw Monk w kopalni złota

Po śniadaniu poszliśmy prosto na posterunek, by powiedzieć komendantowi o tajemniczym mężczyźnie, który rozpytywał Gormana o Manny'ego. Potrzebne nam też były wskazówki, jak dotrzeć do domu Cliforda Adamsa.

Kiedy weszliśmy na posterunek, Kelton stał przy biurku i przeglądał stos jakichś akt. Uśmiechnął się na nasz widok, choć wolałam myśleć, że uśmiechnął się do mnie.

- W samą porę - stwierdził. - Właśnie nadeszły akta od kapitana Stottlemeyera. Mam listę zwolnionych w ostatnim czasie skazanych, których Manny wsadził za kratki, a którzy mieliby ochotę odplacić mu pięknym za nadobne.

- Może uda nam się zawęzić panu tę listę - oznajmił Monk. - Kilka dni przed morderstwem po mieście kręcił się jakiś mężczyzna i wypytywał o Manny'ego.

Twarz Keltona stężała.

- Nikt mi o tym nie powiedział. Jak się o tym dowiedzieliście?

- Trochę przez przypadek - wyjaśniłam. - Od Gormana. Mężczyzna przyjechał do jego warsztatu samochodowego. Nie rozumiem, dlaczego nigdy o tym panu nie wspomniał.

Kelton zmarszczył brwi.

- Bo tylko my uważamy, że Manny został zamordowany z powodów osobistych, a nie podczas próby włamania do muzeum. Mimo wszystko Bob powinien był mi coś powiedzieć. To miły chłopak, ale niezbyt rozgarnięty.

- To mało powiedziane - stwierdził Monk. - Czy wie pan, że on obtacza na talerzu naleśniki w żółtku, a ręce ma czarne jak węgiel?

- Wstyd - stwierdził krótko Kelton. - Powiedział, jak się nazywał ten mężczyzna?

- Nie. Ale obiecał, że wpadnie na posterunek w drodze do pracy i poda jego rysopis. Gorman potrafił nam powiedzieć tylko tyle, że facet przyjechał thunderbirdem z sześćdziesiątego czwartego roku.

- To już coś, jak sądzę - powiedział Kelton. - Sprawdźmy, czy jest coś na ten temat w nadesłanych aktach. Jaki macie plan gry na dzisiaj?

- Chcemy porozmawiać z Cliffordem Adamsem, maszynistą Złotego Ekspresu - wyjaśniłam. - Możesz nam powiedzieć, jak dojechać do miejsca, gdzie mieszka?

Kelton naszkicował na kartce jakąś mapkę.

- Adams mieszka jakieś osiem kilometrów za miastem, na samym końcu żwirowej drogi - powiedział Kelton.

- Dlaczego droga nie jest wyasfaltowana? - zapytał Monk.

- Ponieważ nikt jej nie wyasfaltował.

- Drogi powinny być wyasfaltowane. Wszystko powinno być płaskie, gładkie i równe.

- Czy nasze życie nie byłoby wówczas zbyt nijakie? - zapytał Kelton.

- Oczywiście - odparł Monk. - Właśnie o to chodzi.

- Asfaltowanie ulic nie leży w moich kompetencjach.

- Przecież pan odpowiada tutaj za przestrzeganie prawa, czyż nie?

- Prawo nic nie mówi o asfaltowaniu dróg.

- To przecież kwestia zwykłej ludzkiej przyzwyczajoności - przekonywał Monk.

- To również nie moja jurysdykcja, panie Monk. Jeśli zepsuje się wam samochód, nie schodźcie z drogi. W okolicy roi się od nieczynnych kopalnianych szybów i niepewnych tuneli podtrzymywanych przez próchniejące stemple.

- Nigdy nie zeszlibyśmy z drogi, nawet wyasfaltowanej — zapewnił Monk. — W przeciwnym razie narazilibyśmy się na niebezpieczne spotkanie z przyrodą.

- Jak można mieć problemy z przyrodą? - zdziwił się Kelton. - Jest przecież wszędzie.

- Właśnie. Nikt jej nie kontroluje.

- Chodzi chyba o to, że to pan jej nie kontroluje - stwierdził Kelton. - Cóż, samo życie, bardzo sympatyczne.

- Nie widzę w życiu nic sympatycznego.

- Co też pan powie - powiedział Kelton.

Przejazd do miejsca, w którym mieszkał Clifford Adams, trwał dość długo. Droga była wyboista, porzyta koleinami, wzbijały się na niej tumany kurzu, a co więcej, znowu musieliśmy przeciąć morze motyli, które zapryślały szybę owadzią packą.

Przez całą drogę Monk kwilił z przerażenia.

Włączyłam radio, żeby go zagłuszyć, ale jedyną stacją, jaką udało mi się złapać, była amatorska rozgłośnia piracka, prowadzona przez wyjątkowego

dziwaka, który przekonywał słuchaczy, że migracja motyli to zły omen zwiastujący inwazję kosmitów.

Może miał rację. Właściwie wydawało się, że inwazja kosmitów już nastąpiła i dawno przeminęła. Przemierzając tę rozległą, bezludną krainę, nie dostrzegałam żadnego znaku życia, a jedynie jakieś jego stare pozostałości. Kilka wałących się ruder, rdzewiejące wraki porzuconych samochodów i zduszone chwastami wejścia do paru kopalń, wykopane w kamienistych zboczach. Było to ponure, spopieliałe od słońca, skaliste, bardzo niegościnne miejsce.

Droga kończyła się przy zniszczonym przez słońce i deszcz baraku typu Quonset -jednej z tych prefabrykowanych półkolistych konstrukcji z blachy falistej, które w czasie drugiej wojny światowej produkowano masowo dla wojska, a później sprzedawano nadwyżkę wszystkim chętnym. Całe mnóstwo takich baraków było w okolicy Monterey i Salinas, gdzie się wychowywałam. Były tanie, wytrzymałe i sprawdzały się w każdej funkcji, od magazynu, przez dom, po restaurację.

Ten konkretny barak miał jakieś siedem metrów szerokości i ponad piętnaście długości i wyglądał jak gigantyczna rura wkopana do połowy w ziemię. Otaczały go stare, porzucone samochody osobowe i ciężarówki, metalowe beczki po paliwie, jakieś maszyny, kawałki blachy falistej, pryzmy zużytych podkładów kolejowych i rozmaite odpady.

Na linie do suszenia bielizny, rozciągniętej między barakiem a drewnianą, niewysoką wieżą ciśnień, prawdopodobnie liczącą tyle samo lat co Opały, wisiały majtki, skarpetki i jednoczęściowy drelichowy kombinezon roboczy w prążki.

Za wieżą ciśnień zobaczyłam jakąś gmatwaninę rur, części silnika, pasm mocnej taśmy klejącej, kół pasowych i taśmociągów, kończących się nad lejkowatym otworem, pod którym wznosiło się kilka hałd żwiru. Cała ta maszyna ustawiona została na końcu wąskich torów, których początek nił dziesięć metrów dalej w wejściu do kopalni, przy którym stał na torach wózek wyładowany po brzegi odłamkami skalnymi.

Sądziłam, że gdy tylko się zatrzymamy, Monk wyskoczy z samochodu jak oparzony, ale nawet się nie poruszył.

- Coś nie w porządku? - zapytałam.

Spojrzał na mnie smutnymi oczami.

- Wszystko - odpowiedział.

- Mógłby się pan ściślej wyrażać?

- Jeśli Opały to piekło, to tu jest piekło piekła - stwierdził. — Człowiek, który tu mieszka, musi być neandertalczykiem. Nie wiem, co mnie bardziej zabije, pozostanie w tym toczącym się wiadrze zarazków czy wyjście na zewnątrz.

- Czy dobrze rozumiem? Ja jestem tornadem brudu, a mój samochód to toczące się wiadro zarazków?

- Zwykle jedno idzie z drugim w parze.

- Nie zarabia pan dzisiaj u mnie punktów, panie Monk - stwierdziłam cierpko.

- Jestem pracodawcą, a ty pracownikiem. To ja jestem osobą, która rozdaje punkty, a ty osobą, która powinna je zarabiać.

- Jestem osobą, która powinna zarabiać pieniądze, panie Monk - odparłam. -Pracodawcy wypłacają swoim pracownikom pensje, a pan wciąż jest mi winien wynagrodzenie za ubiegły tydzień.

To zamknęłoby mu usta, gdybyśmy oboje raptem nie zamilkli, słysząc trzaśnięcie drzwiami.

Odgłos dobiegł od strony drewnianej budki, stojącej dobre dwadzieścia pięć metrów od blaszanego baraku.

Przed budką stał Clifford Adams, który poprawiał szelki wypłowiałego kombinezonu z kieszenią na piersi. Po chwili wyjął z niej prążkowaną inżynierską czapkę z daszkiem, wcisnął ją sobie na głowę i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku baraku.

Adams był szczupłym, dobrze trzymającym się mężczyzną po siedemdziesiątce. Spojrzenie miał chłodne, a rysy jego twarzy były surowe niczym kraina, w której zamieszkał. Jego odzież i mocno ogorzałą skórę pokrywała warstwa kurzu.

- Jak myślisz, do czego może mu służyć ta budka? - zapytał Monk.

Dla mnie, a zapewne również dla każdego innego poza Monkiem było oczywiste, do czego może służyć taka budka. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak człowiekowi, który ma tak rozległy zasób wiadomości na tyle tematów, może brakować tak powszechnej wiedzy.

Mimo to potrafił dostrzegać rzeczy, których nie dostrzegał nikt inny, drobne, niejasne detale, które wielokrotnie okazywały się kluczem do rozwiązania zagadki.

Jak sądzę więc, w kosmicznym porządku świata wszystko się równoważy, a tylko to, jak powiedziałby Monk, ma znaczenie. Dla niego życie jest nieustanną walką i dbałością o zachowanie równowagi, symetrii i ładu.

- To latryna - odpowiedziałam.

- Co takiego?

- Toaleta.

- Tam ustawił toaletę? Tak daleko od miejsca, w którym mieszka? - Monk pokiwał głową z aprobatą. - To pokazuje jego prawdziwe poświęcenie dla idei, by osiągnąć jak najlepsze warunki sanitarne. Źle go oceniałem. Wyprowadzenie wodociągu tak daleko na takiej jałowiźnie musiało kosztować wiele wysiłku.

Monk zaczął otwierać drzwi.

- Adams nie poprowadził tam wodociągu, panie Monk.

Monk zastygł, drzwi uchyliły się tylko ze skrzypnięciem.

- Absurdalne. Jeśli tego nie zrobił, to jak mógł zbudować w tej budce toaletę?

- To zapewne zwykła dziura w desce nad otwartym dołem.

Monk wydał z siebie pełen przerażenia zduszony pisk, a potem zatrzasnął drzwi i zamknął zamek.

- Zostaję w samochodzie - oświadczył.

- Jak zamierza pan z nim rozmawiać z wiadra pełnego zarasków?

- Możesz go przywołać do okna - stwierdził. - Byle nie za blisko.

Wysiadłam z samochodu, a Monk błyskawicznie zamknął od środka moje drzwi. Spotkałam się z Adamsem w połowie drogi między latryną a barakiem.

- Pan Adams?

- Inkasentka? Bo jeśli tak, to będzie pani musiała tu poczekać, aż wrócę ze strzelbą.

- Nie jestem inkasentka. A jeśli bym nią była, to strzeliłby pan do mnie?

- To zależałoby od tego, czy byłaby tu pani jeszcze, kiedy wróciłbym ze strzelbą, i od tego, jak szybko potrafiłaby pani odjechać swoim samochodem. Jest pani gońcem sądowym?

- Do nich też pan strzela?

- Staram się.

- Strzela pan również do policji?

- A co, jest pani glina?

- Ja nie, ale w pewnym sensie mój szef jest policjantem. — Kiwnęłam ręką w stronę samochodu, a Monk skurczył się gwałtownie na siedzeniu. - To Adrian Monk, konsultant wydziału zabójstw Departamentu Policji San Francisco.

- Od dziesięciu lat nie byłem w San Francisco - stwierdził Adams.

- Pomagamy policji w Opalach w śledztwie w sprawie morderstwa strażnika z Muzeum Gorączki Żłota.

Adams spojrział na mnie spod przymrużonych powiek.

- Co się stało?

- Po zamknięciu muzeum strażnik robił obchód sal, kiedy nagle ktoś wyskoczył zza Żłotego Ekspresu i uderzył go w głowę oskardem - wyjaśniłam.

- Co skradziono?

-Nic.

Adams potrząsnął głową.

- Bez sensu.

- Dlatego właśnie przyjechał tu pan Monk. On się specjalizuje w przywracaniu sensu rzeczom bez sensu. Przypadkowo w trakcie śledztwa pan Monk dowiedział się o napadzie na Żłoty Ekspres i uważa, że uda mu się rozwikłać również tę zagadkę.

Adams spojrział z daleka na Mońka.

- Po co do tego wracać po tylu latach?

- On już taki jest - powiedziałam. - Nic nie może na to poradzić.

Adams pokiwał głową ze zrozumieniem. Wyjaśnienie zdawało się trafić w jakiś jego czuły punkt.

- Znam to - stwierdził. - Od pięćdziesięciu lat próbuję wydobyć z tej starej kopalni trochę złota, choć to zupełnie bezcelowe.

- Musiał pan znaleźć trochę złota, w przeciwnym razie nic by tu pana nie trzymało.

- Tyle tylko, aby przeżyć i wciąż ludzię się nadzieją, że jestem blisko grubej żyły. - Adams patrzył melancholijnym wzrokiem na kopalnię. — Drażni się ze mną, drażniła się ze wszystkimi od czasów Gorączki Złota, ale do niej wracam. Nie potrafię się powstrzymać, jak moi poprzednicy, do których wcześniej należała ta zapadła dziura w ziemi.

Wskazałam ręką maszynię za wieżą ciśnień.

- Czy to ma coś wspólnego z kopalnią? - zapytałam.

- Ta maszyna kruszy wydobytą skałę, abym mógł oddzielić od niej złoto - odparł. - W każdym razie takie jest jej przeznaczenie. Połowę czasu spędzam na złomowiskach, szukając części, żeby jakoś działała. Jeśli dobrze się pani przyjrzy, zauważy w niej pani sprężyny od materacy, zaburtowy silnik z łódki, ostrza kombajnu i luźne części ekspresu Mr. Coffee.

- Do czego służy panu ekspres do kawy?

- Do niczego. Dlatego wrzuciłem to cholerstwo tam.

Adams podszedł ciężkim krokiem do samochodu, stanął przy drzwiach od strony pasażera i zapukał w okno.

- Co chce pan wiedzieć?

Monk przywołał mnie ręką i dał znak, abym wy-

ciągnęła chusteczkę, po czym zaczął wykonywać pantomimiczne ruchy, naśladujące wycieranie okna w miejscu, którego Adams dotknął palcem. Wzruszyła ramionami, wskazując torebkę, która została na siedzeniu, i dając mu do zrozumienia, że nic nie może zrobić. Monk skrzywił się boleśnie i odsunął od okna, jakby zarazki z rąk Adamsa mogły się przesączyć przez szybę.

- Wyjdzie z tego samochodu czy jak? - zapytał mnie Adams.

- Nie sądzę. Pan Monk jest bardzo uczulony na brud, a tego tu nie brakuje.

Adams wzruszył ramionami i odwrócił się z powrotem do Monka.

- Jeśli chce pan pytać, to pytaj pan, robota mnie goni - rzekł.

- Proszę powiedzieć, co się zdarzyło w wieczór, gdy doszło do napadu - rzekł Monk zza szyby, mocno przytłumionym głosem.

- Sam chciałbym wiedzieć.

- Przecież pan tam był, prawda? - zapytałam,

- Pociąg nie zatrzymywał się od Sacramento do Opał. Dopóki nie dojechaliśmy do stacji końcowej, nie wiedziałem nawet, że był napad. Siedzieliśmy z przodu z palaczem Lennym McElroyem i o niczym nie mieliśmy bladego pojęcia, zajmując się tylko dosypywaniem węgla do kotła. Zamaskowani bandyci, grożąc pasażerom śmiercią, zakazali im robić czy mówić cokolwiek, co spowodowałoby zatrzymanie pociągu.

Monk naciągnął rękaw na dłoń i stuknął ramieniem w szybę.

- Niczego nie słyszałem. Może pan powtórzyć?

- Nie. - Adams spojrzał na mnie. - To wszystko?

- Czy sądzi pan, że Ralph DeRosso mógł być w zмовie z bandytami? - zapytałam na tyle głośno, aby Monk mógł mnie słyszeć.

Adams zaprzeczył ruchem głowy.

- Ale nie jestem też przekonany, czy zginął z rąk dwójki rabusiów.

- W takim razie jak wyjaśnić fakt, że wypadł z pociągu?

- Czasem się zastanawiam, czy nie wyskoczył, zanim doszło do napadu.

- Po co miałby to robić?

- To był ostatni kurs Złotego Ekspresu. Wraz z nim kończyła się era, która dawno już przebrzmiała. Ralph zawsze chciał być konduktorem, nie potrafił nic innego, mógł mieć poczucie, że jego życie również dobiegło kresu - tłumaczył Adams. - To oczywiście gorzka ironia losu, bo napad przysporzył pociągowi takiej sławy, że ten woził jeszcze turystów przez następnych dwadzieścia lat. Gdyby nie to, być może Lenny pożyłby dłużej.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Lenny spędził w lokomotywie pół życia, dorzucając do kotła węgiel i wdychając sadzę - mówił Adams. - Słyszałem, że kiedy umarł, jego płuca były czarne jak smoła. Gdyby rzucił robotę w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, płuca mogłyby się trochę przeczyszczyć i może żyłby dłużej. Ale Lenny uważał ten koniec za własny i chciał trwać przy nim do ostatniego dnia Złotego Ekspresu. Uparty osioł zmarł parę lat przed tym dniem.

- Dlaczego pan został w pociągu?

- Byłem ostatnim egzemplarzem wymierającego gatunku. Stwierdziłem, że uda mi się wytrzymać do końca. Zresztą w tamtym czasie mogłem liczyć tyl-

ko na tę dziurę w ziemi, no i tę, która gdzieś tam na mnie czeka. Zresztą może to jedna i ta sama. To byłby dzień, w którym trafiłbym wreszcie na żyłę złota. Monk zastukał w szybę, aby zwrócić na siebie uwagę Adamsa, i zapytał głośno:

- Jak pan sądzi, w jaki sposób bandyci uciekli z pociągu ze złotem i pieniędzmi?

- Ludzie mają różne dziwne teorie na ten temat. Ale dla mnie najbardziej logiczne wydaje się najprostsze wyjaśnienie. Po prostu zrzucili worki komus przy torach.

- I worki się nie rozerwały? - zapytał Monk.

- Dlaczego pan sądzi, że się nie rozerwały i nie wyleciało z nich trochę łupu?

- Bo nic nie znaleziono.

Adams machnął lekceważąco ręką.

- Ludzie tak gadają. Niech pan posłucha. W sześćdziesiątym drugim roku to miasto wymierało. Tego łupu szukały rzesze ludzi, przede wszystkim nędzarzy. Jeśli ktoś znalazł gotówkę, to gwarantuję panu, że wypchał nią kieszenie, szybko wydał i nikt się o tym nie dowiedział. Jeśli ktoś znalazł złote monety, to schował i nikomu nie pisał słowem.

- Ale nie zaprzeczy pan, że któraś z tych monet wypłynęłaby już na powierzchnię?

- Na pewno wypłynęła.

- I nikt jej nie rozpoznał?

- Ponieważ nie były to już monety. Były to złote pierścionki, naszyjniki lub bryłki - mówił Adams. - Złoto jest praktycznie niezniszczalne, można je łatwo przetopić, nie tracąc jego unikatowości, mocy wabienia i faktycznej wartości. Jak pani myśli, dlaczego ludzie tak bardzo go pragną?

- Bo są stuknięci - powiedział Monk.

- Stukniętych różnego rodzaju nigdy nie brakuje, szanowny panie - krzyknął Adams w szybę, tak nisko pochylając głowę, że niemal dotykał jej nosem. -Pan ma swoje dziwactwa, ja swoje.

Po tych słowach Clifford Adams wyjął z kieszeni parę gumowych rękawic i wolnym krokiem ruszył na wzniesienie, w kierunku kopalni.

Detektyw Monk i teczka personalna

W chwili, gdy wyjechaliśmy na szosę, zadzwonił mój telefon komórkowy. Widząc, że na ekraniku wyświetla się nazwisko „Stottlemeyer”, natychmiast zjechałam na pobocze.

- Witam, kapitanie.
- Jak idzie śledztwo? - zapytał.
- Naprzód.
- To znaczy?

Spojrzałam na Monka, który cały czas patrzył na mnie. Wiedziałam, że głośność w telefonie mam tak ustawioną, by słyszał, co mówi Stottlemeyer.

- To znaczy, że pan Monk jeszcze nie schwytał mordercy - odpowiedziałam. - Ale go schwyta.

Monk z aprobatą pokiwał głową.

- Kiedy? Zanim rozwiąże zagadkę napadu na pociąg sprzed czterdziestu siedmiu lat czy dopiero potem? - rzucił kąśliwie kapitan.

- Rozmawiał pan z komendantem Keltonem - powiedziałam.

- Nie musiałem. Sprawdziłem dla was Jake'a Slocuma, odkryłem, że przesiedział trzydzieści lat w San Quentin, i dowiedziałem się za co - powiedział Stottlemeyer. - I znam Monka.

- Więc wie pan, że na to nie ma rady.

- Mogłabyś go zachęcić do odpowiedniego ustalenia priorytetów w pracy.

- Nie mam nad nim takiej władzy - odpowiedziałam. - Jestem tornadem brudu.

- Znowu zaczynasz? - odezwał się Monk. - To powszechnie przyjęte określenie. Bez powodu wpadasz w obsesję.

O mały włos telefon nie wypadł mi z ręki. Nie wierzyłam własnym uszom.

- Pan mi mówi, żebym nie wpadała bez powodu w obsesję?

- Człowiek ma lepsze samopoczucie, jeśli nie popada w obłąd z byle przyczyny.

- Przecież to pan popada w obłąd,

- Wyłącznie z istotnych powodów - odparł Monk. - Nad drobiazgami nie wylewam łez ani potu.

- Pan w ogóle się nie poci - zauważyłam.

- Właśnie - przyznał z zadowoleniem. - Jeśli nauczysz się nie wpadać w obsesję bez powodu, może również nie będziesz się pocić, co, muszę dodać, doceniłoby wielu z nas.

-Wielu z nas? - zdziwiłam się. - Czyli pan, tak?

- Niejeden raz.

- Czy w ten sposób daje mi pan delikatnie do zrozumienia, że śmierdę?

Monk poruszył niezgrabnie ramionami.

- Jestem przekonany, że w tym momencie nie ty, lecz samochód.

- W tym momencie?!

- Wspólne przesiadywanie w samochodzie przez dłuższy okres oznacza, że musimy przebywać nadzwyczaj blisko siebie, a ty rzeczywiście wilgotniejesz.

- Wilgotnieję?!

- Czy ty ogłuchłaś? - zapytał Monk. - Powtażasz wszystko, co mówię.

Z daleka usłyszałam stłumiony śmiech kapitana Stottlemeyera. Przyłożyłam telefon z powrotem do ucha.

- Z czego pan się śmieje?

- Ja? Z niczego. Chrząknąłem tylko - odpowiedział Stottlemeyer. - Słocum mieszka w Cyprysowym Domu Aktywnego Seniora w Angel's Camp, to jedna ze starych osad z czasów Gorączki Żłota na północ od Opał. Jak będziecie tam jechać, może jednak powinnaś opuścić szybę albo...

Bez słowa rozłączyłam rozmowę.

- To było niegrzeczne - stwierdził Monk.

- Mówi to człowiek, który nazwał mnie śmierdzącym tornadem brudu.

- Z szacunkiem i wielką sympatią.

- Zajęło mi to parę lat, ale wreszcie zaczynam rozumieć, dlaczego Sharona była taka obcesowa - powiedziała, mając na myśli poprzednią pielęgniarkę i asystentkę Monka.

- Sharona również wpadała w obsesję z byle powodu.

Obejrzałam się przez lewe ramię, sprawdzając, czy nie nadjeżdża jakiś samochód, i wściekle wcisnęłam pedał gazu, wjeżdżając z piskiem opon na szosę.

Wiedziałałam, że pozostawiony na asfalcie ślad po oponie będzie dręczył Monka do jego ostatnich dni.

Obejrzał się za siebie.

- Czekaaj, zostawiliśmy ślad po oponie - powiedział.

-I co?

- Musimy zawrócić i go wyczyścić.

- Niech pan nie wylewa łez i potu nad drobiazgami - odpowiedziałam, uśmiechając się do siebie.

Było to pyrrusowe zwycięstwo.

Monk żalił się na pozostawiony na szosie ślad przez następne trzydzieści minut, czyli do chwili, kiedy zajechaliśmy pod Cyprysowy Dom Aktywnego Seniora, przypominający zwykły, tani hotel dla gości w podróży służbowej.

Monk wyjął notes i długopis, spojrział na deskę rozdzielczą i coś zanotował.

- Co pan robi? — zapytałam.

- Zapisuję stan licznika, żebyśmy mogli trafić dokładnie w to samo miejsce, w którym zostawiłaś na pejżażu bliznę.

- Nie zostawiłam żadnej blizny.

- Na szosie zostawiłaś ślad, który może już nigdy nie zejdzie z nawierzchni - powiedział Monk. - Jeżeli nie uda się go nam usunąć, być może będziemy musieli wezwać ekipę czyszczącą metodą piaskowania, a jeśli nawet to nie pomoże, trzeba będzie, jak sądzę, rozebrać tę część drogi i położyć nowy asfalt.

- Po szosie jeżdżą tysiące samochodów. Wpada pan w obłęd z powodu smugi startej gumy, która widnieje wśród niezliczonej liczby podobnych smug, tłustych plam, pęknięć i różnych niedoskonałości na drodze.

- Próbuję posprzątać po tobie i uratować cię przed popełnieniem błędu, który będzie cię męczył do końca życia. Zniszczyłaś żywotny fragment infrastruktury naszego narodowego transportu publicznego. Tego rodzaju występkę na trwałe pozostają w teczkach personalnych.

- Ja nie mam żadnej teczki.

- Owszem masz - upierał się Monk.

- Kto ją prowadzi? - Spojrzałam na Mońka i po jego pełnej samozadowolenia minie od razu domyśliłam się odpowiedzi. - Cofam pytanie. Niech się pan skontaktuje z moją przedszkolanką, która zapewne dokonała pierwszych wpisów, będzie pan miał pełną dokumentację.

- Już się skontaktowałem.

- Skontaktował się pan!?

- TAK, SKONTAKTOWAŁEM SIĘ! - krzyknął mi Monk w prawe ucho. - Wierzyć mi się nie chce, że zjadłaś plastelinę i wyskubałaś dziury w gąbkowej piłce koleżanki. Czy ciebie wychowywali jaskiniowcy?

- A mi wierzyć się nie chce, że napastował pan moją biedną przedszkolankę, że miała jakąś teczkę i ją panu udostępniła. To pogwałcenie prywatności. Co pan sobie w ogóle myślał?

- Myślałem o tym, że swoje bezpieczeństwo i dobytek zawierzam barmance, która niedawno zamordowała w swoim domu człowieka - mówił Monk. - Musisz mi wybaczyć, że najpierw chciałem się o tobie czegoś dowiedzieć.

- To był włamywacz, który mnie zaatakował. Wcale nie chciałam go zabić. Musiałam się bronić. Dobrze pan to wie. Sam pan tego dowiódł przed sądem.

- Mimo wszystko uważałem, że muszę dobrze sprawdzić twoją przeszłość.

- Zaczynając od przedszkola?

- Chciałem wcześniej, ale twoja niania wyemigrowała do Ameryki Południowej, a lekarz, który przyjmował poród, zszedł już z tego świata.

Wyszłam z samochodu, trzaskając drzwiami, i odeszłam kilka kroków. Tylko tyle znieść mogła normalna, racjonalnie myśląca osoba, nawet tak zahartowana w boju jak ja.

Stojąc plecami do samochodu, wzięłam głęboki oddech, wolno wypuściłam z płuc powietrze i postanowiłam udawać, że rozmowy, które odbyły się między nami w ciągu ostatniej godziny, w ogóle nie miały miejsca.

Było bez znaczenia, czy miałam słuszość czy nie - czasem po prostu musiałam się poddać dla dobra własnego zdrowia, psychicznego i fizycznego. I to zanim powiem lub zrobię coś, co może spowodować wyrzucenie mnie z pracy.

Teraz właśnie zdarzyła się taka chwila.

Wzięłam jeszcze jeden oddech, odwróciłam się i zobaczyłam, że Monk stoi przed wejściem do budynku i ogląda się na mnie.

Wróciłam i stanęłam przy Monku. Nie mówiąc ani słowa, otworzyłam drzwi i weszliśmy do środka.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, był długi rząd identycznych balkoników dla starszych osób, z których dla odróżnienia każdy miał przyczepioną jakąś wstążeczkę, małą flagę, wypchane zwierzątko lub jakieś inne oznaczenie.

Balkoniki stały zaparkowane, niczym samochody, przed jadalnią z lewej strony. Jadalnia przywodziła na myśl zwykłą restaurację w centrum handlowym, ozdobioną fasadą w wiejskim stylu, gontowym dachem z imitacjami okien mansardowych i wychodzącą na hol witryną z zasłonami, lambrekinem i wełnianymi frędzlami. W środku, przy dużych, okrągłych stołach siedziało ze dwadzieścia pięć starszych osób i jadło smażone kurczaki lub kwadratowe galaretki zwieńczone spiralkami bitej śmietany.

Po naszej prawej stronie znajdowała się recepcja. Siedziała w niej tryskająca energią młoda recep-

cjonistka, która z uśmiechem godnym stewardesy w trakcie pierwszego szkolenia zapytała nas, z kim chcemy się spotkać. Kiedy to wyjaśniłam, powiedziała, że Jake Slocum mieszka w pokoju numer dwieście dziesięć, ale teraz znajdziemy go w ogrodzie, do którego idzie się prosto korytarzem, a potem przez dużą salę, skąd prowadzą do ogrodu podwójne rozsowane drzwi.

Podziękowałam i po chwili szliśmy już przez dużą salę, gdzie znajdował się fortepian, barek z kawą i potężny kominek wykończony okładziną imitującą kamienne łupki. Między kawałkami sztucznego drewna w palenisku furkotały i syczały płomyki gazowego ognia.

Podwójne drzwi otwierały się na zamknięte betonowe patio z leżakami, ustawionymi równo wokół wyłożonego otoczkami oczka wodnego, na którego środku stał gliniany łabędź - cały upstrzony ptasimi odchodami.

Nietrudno było dostrzec Jake'a Slocuma, gdyż był jedyną przebywającą tu osobą. Siedział na wózku inwalidzkim i palił papierosa. Odprasowana koszula i sztruksowe spodnie, które miał na sobie, były ewidentnie za duże i wisały na jego wątłej sylwetce jak wory, w stylu może popularnym wśród młodych hiphopowców, ale u takich starszków robiącym śmieszne wrażenie. Pod niemal przezroczystą, starczą skórą z brązowymi plamkami wyraźnie widziałam kości jego rąk i nabrzmiąte żyły. Miał mocno zapadnięte policzki i niespokojne, głęboko osadzone oczy, które przypominały jakieś zaczajone stworzonka, wyzierające z ciemnych nor.

- Jake Slocum? - zapytał Monk.

- Nie wiem, co pan sprzedaje, ale niczego nie chcę -

powiedział Slocum ochryplym głosem. - Zresztą nawet gdybym chciał, nie byłoby mnie stać.

- Nie przyszedł panu nic sprzedawać - zapewnił go Monk.

- Niepotrzebny mi Jezus, Mahomet ani Budda - powiedział Slocum. - Ani L. Ron Hubbard, ani Joel Osteen.

- Nazywam się Adrian Monk. Jestem detektywem. To jest moja asystentka, Natalie Teeger. Prowadzimy śledztwo w sprawie napadu na Złoty Ekspres i morderstwa, do którego doszło kilka dni temu w muzeum, gdzie pociąg stoi jako eksponat.

Slocum zaciągnął się powoli papierosem i dmuchnął dymem Monkowi prosto w twarz. Monk zakrył usta ręką i uciekł z powrotem do budynku.

- To tylko dym z papierosa - zdziwił się Slocum. - Przecież go nie zabije.

- Może zabić - powiedziałam.

- Ale nie od razu.

- Pan Monk jest uczulony na dym - wyjaśniłam. - Właściwie jest uczulony na wszystko.

Monk stał przy rozsuwanych drzwiach i patrzył na nas zza szyby.

- Pani nie? - zapytał Slocum.

- Pan Monk mi płaci, żebym nie była uczulona - stwierdziłam. - Czy wie pan może, co się stało ze złotem z napadu?

- Szukacie złota?

Pokręciłam głową.

- Pana Monka nie interesuje złoto. Chce tylko odgadnąć, w jaki sposób popełniono przestępstwo. Pan może mu w tym pomóc.

- Dlaczego miałbym mu pomagać?

- Spędził pan trzydzieści lat w więzieniu za udział

w napadzie. W ciągu długich, bolesnych lat tysiące razy musiał się pan zastanawiać, gdzie jest złoto i czy ktoś nie pławi się teraz w bogactwie gdzieś na wolności, podczas gdy pan gnije w celi. Na pewno wciąż się pan nad tym zastanawia. Nie chciałby pan w końcu poznać prawdy? - Skinęłam w kierunku Monka. - On ją znajdzie.

- Inni już próbowali - powątpiewał Slocum.

- Ale nie Adrian Monk. To najlepszy detektyw na świecie - zapewniłam. - Panie Slocum, przepraszam, jeśli będę nazbyt szczerą, ale ma pan już swoje lata i nie wygląda pan najlepiej. Adrian Monk może być pana ostatnią szansą na poznanie prawdy i sprawdzenie, co się tam naprawdę stało.

Slocum zastanawiał się przez długą chwilę, a potem wygaszył papierosa na oponie wózka.

- Niech pani idzie zapytać szefa, czy chce posłuchać niezłej opowieści - powiedział w końcu.

Detektyw Monk wysłuchuje opowieści

Według opowieści Jake'a Slocuma, razem z George'em Gilmanem byli wędrownymi robotnikami, którzy imali się różnych zajęć na farmach, a legalne, niezbyt wielkie sezonowe dochody uzupełniali drobnymi kradzieżami, włamaniami i rozbojami.

Pewnego wieczoru obaj mężczyźni siedzieli bez grosza przy duszy w jednym z barów w Placerville, obmyślając następny skok, kiedy do środka wszedł Ralph DeRosso, wypił parę drinków i zagrał w bilard. Slocum wypatrzył w portfelu DeRosso sporo gotówki i dostrzegł zbawienie dla siebie i kompana. Kiedy parę godzin później mężczyzna wychodził pijany z baru, Slocum i Gilman wyszli za nim.

Chwiejąc się mocno na nogach, DeRosso skręcił w ciemny zaułek, aby się załatwić. Slocum i Gilman zakradli się za nim i kiedy mieli się na niego rzucić, DeRosso obrócił się błyskawicznie na pięcie, trzeźwy jak mało kto, trzymając w ręku wycelowany w nich pistolet. Gdy już myśleli, że ich pozabija, on zrobił coś jeszcze bardziej zdumiewającego. Wyjął z kieszeni portfel i rzucił go Slocumowi.

- Po to za mną leżliście, prawda? - powiedział DeRosso. - Proszę, możecie go zabrać. Weźcie gotówkę i dobrze zapamiętajcie nazwisko i adres na prawie jazdy. Chcę, żebyście wiedzieli, kim jestem

i gdzie mieszkam. W portfelu znajdziecie też legitymację kolejarską i zobaczycie, że jestem konduktorem Żółtego Ekspresu.

Kazał im dobrze się przyjrzeć fotografiom jego żony i córki i powiedział im, jak obie mają na imię.

Slocum był przekonany, że ma do czynienia z niebezpiecznym szaleńcem, a zabawa z portfelem miała stanowić tylko preludium do egzekucji.

Ale DeRosso po raz kolejny wprowadził ich w zdumienie.

- Od dawna szukam dwóch takich przedsiębiorczych młodych łowców przygód jak wy. Możecie pomóc mi w skoku, który stanie się legendą. - DeRosso schował pistolet do kieszeni. - Jeśli jesteście zainteresowani, postawcie mi filiżankę kawy i ciastko, a wszystko wam opowiem.

Byli zainteresowani.

Ralph DeRosso opowiedział im o ostatnim kursie Żółtego Ekspresu i partii pokera na wysokie stawki w złotych i banknotach, która miała uświetnić historyczny przejazd pociągu.

Chciał, aby podczas tego ostatniego kursu mężczyźni pomogli mu obrabować salonkę, w której miała się toczyć gra. Ich zadanie było w miarę nieskomplikowane, wymagało jedynie tych umiejętności, które świetnie opanowali dzięki dotychczasowym przestępczym doświadczeniom.

Był jednak pewien kruczek. Obaj mogli poznać jedynie swoją część planu. Poza tym nie mieli prawa nic wiedzieć i nie wolno im było opuścić pociągu z łupem, choćby nawet z jedną złotą monetą.

Slocumowi i Gilmanowi taki scenariusz wydawał się bez sensu. W jaki sposób mieli więc otrzymać zapłatę?

DeRosso wyjaśnił, że po sześciu miesiącach, kiedy sprawa przycichnie, spotka się z nimi i wręczy im ich dolę.

Slocum i Gilman myśleli, że to żarty.

Co miałoby powstrzymać DeRossa i jego nieznanych kumpli przed czmychnięciem z całą zdobyczą i pozostawieniem ich dwóch na lodzie?

- Gwarancją jestem ja i moja rodzina - odpowiedział DeRosso. Właśnie dlatego pokazał im prawo jazdy, legitymacje konduktora pociągu oraz fotografie żony i córki. Chciał, aby Slocum i Gilman dobrze wiedzieli, kim jest i gdzie mieszka.

Złożył w ich ręce bezpieczeństwo własne i rodziny. Slocum i Gilman mogli ich śledzić, oddać w ręce policji lub nawet zabić w każdej chwili. Po co DeRosso brałby na siebie takie ryzyko, gdyby chciał ich obu zdradzić?

Był to przekonujący argument i do pewnego stopnia rozwiął ich wątpliwości co do dziwnej propozycji. Poza tym nie mogli powiedzieć, aby oferty łatwego zarobku sypały im się jak z rękawa, więc szybko doszli do wniosku, że lepsze to niż okradanie pijaków w ciemnych zaułkach. Slocum i Gilman weszli do gry.

DeRosso naszkicował na serwetce pociąg. Lokomotywa z przodu, za nią zasobnik z węglem, potem wagon towarowy, za nim salonka, gdzie miała być rozegrana partia pokera, a następnie wagon restauracyjny, dwa pasażerskie i brek z hamulcowym. W wagonach pasażerskich i restauracyjnym miało trwać przyjęcie dla podróżnych, ale salonka była zarezerwowana wyłącznie dla zaproszonych graczy oraz bardzo ważnych gości.

Istotne było to, że pasażerowie trzech wagonów, w których zorganizowano przyjęcie, nie zajmowali

określonych miejsc i mogli się swobodnie przemieszczać między wagonami. Nikt nie zauważył, jeśli Slocum i Gilman na trzy minuty znikną.

Od początku podróży, aż do końcowej stacji, światła w pociągu będą od czasu do czasu wygasać na sekundę lub dwie. Będzie to następować na tyle często i na tak krótkie chwile, aby pasażerowie nie zwrócili szczególnej uwagi na taką niedogodność.

Napad rozplanowano bardzo dokładnie, co do sekundy. W oznaczonym czasie, tuż przed kolejnym krótkim zaciemnieniem, Slocum i Gilman mieli się znaleźć przy przejściu z wagonu restauracyjnego do salonki, tak aby nikt nie zauważył ich wyjścia.

Mieli się spotkać na zewnątrz wagonu pasażerskiego, na małej platformie dzielącej wagon od tylnego wejścia do salonki. Po naciągnięciu na twarze kominiarek mieli wyciągnąć pistolety, wtargnąć do salonki i obezwładnić zaskoczonego strażnika; w tym samym momencie inny z napastników miał wkroczyć do salonki od frontu z konopnymi workami.

W ciągu dwóch minut gotówka i złote monety miały zappełnić przygotowane worki. Slocum i Gilman mieli ubezpieczać trzeciego z napastników, który miał wymknąć się z łupem z salonki tą samą drogą, którą przyszedł.

Uczestnicy gry w pokera mieli być ostrzeżeni, że napastnicy stoją za drzwiami z obu stron salonki i zabiją każdego, kto przed stacją końcową w Opałach spróbuje zatrzymać pociąg lub zaalarmować konduktora pociągu.

Slocum i Gilman mieli wtedy wyjść z salonki, wyrzucić z pociągu maski i broń, i podczas następnego krótkiego zaciemnienia wymknąć się z powrotem do wagonu restauracyjnego i dołączyć do zabawy.

Proste.

Ale wypadki nie potoczyły się zgodnie z planem, zamiast obezwładnić strażnika Gilman strzelił mu w pierś. Uznał po prostu, że tak będzie łatwiej i wykluczy to ewentualność jakiegoś heroicznego czynu, na który mógłby się zdobyć strażnik.

Co więcej, zginął Ralph DeRosso, który wypadł czy też wyskoczył z pociągu.

- Ale nikt by nas nigdy nie złapał, gdyby na moment nie oślepił nas ten blask - stwierdził Slocum, kończąc swoją opowieść.

- Jaki blask? - zainteresował się Monk.

Oboje z Monkiem siedzieliśmy już na krzesłach przodem do staruszka, a plecami do oczka wodnego.

- Blask tego cholernego złota - odparł Slocum. - Nie mogliśmy się oprzeć, aby nie wziąć paru tych przeklętych monet, choć DeRosso nas ostrzegał. Byliśmy chciwi i głupi.

- Jak większość rabusiów - skonstatował Monk. - Czy policji powiedział pan to samo co nam?

- Ja nic nie mówiłem. To Gilman sypał. Nie jestem kapusiem. Do dzisiaj z nikim nie zamieniłem słowa o tamtym napadzie.

- Dlaczego George Gilman mówił?

Slocum wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie trzymałby głowę na kłódkę, gdyby nie zginął DeRosso. Jednak po jego śmierci George uznał, że nigdy nie dostaniemy swojej doli. Nie wiedzieliśmy, kim byli pozostali uczestnicy napadu, więc nie mieli powodu, aby dzielić się z nami łupem.

- Chyba że kierowałiby się złodziejskim honorem - powiedziałam.

- Honor nie obowiązuje nawet uczciwych ludzi, więc co każe pani sądzić, że kierują się nim złodzie-

je - odparł Slocum. - Choć, przyznaję, przez krótki czas po wyjściu z więzienia łudziłem się nadzieją, że pewnego dnia znajdę pod drzwiami pudło z pieniędzmi, podstawione przez jakiegoś anonimowego wdzięcznego człowieka.

- Z czego pan żył po zwolnieniu z więzienia? - Moje pytanie nie miało wiele wspólnego z dochodzeniem, ale po prostu mnie to ciekawiło.

- Byłem dozorcą w hali sportowej Arco w Sacramento - odpowiedział. - Potem przeszedłem na emeryturę i znowu stałem się więźniem.

- To mi nie wygląda na więzienie - powiedział Monk.

- Pan tu nie mieszka - sarknął starzec.

Spojrzałam na Monka, który zdawał się nic nie rozumieć.

- Coś nie w porządku? - zapytałam.

- Cała opowieść. Intryga kryminalna jest pozbawiona logiki.

- To szczerą prawdą. Dzisiaj nie miałbym powodu kłamać - powiedział Slocum. - Ale nie dziwi mnie pańska reakcja. Policja zareagowała podobnie. Nie uwierzyli ani jednemu słowu George'a.

Mogłam zrozumieć dlaczego. Opowiadka była dziwna, a Slocum wówczas jej nie potwierdzał. Ponadto Ralph DeRosso był poważanym człowiekiem z lubianej rodziny, który w oczach opinii publicznej oddał Złotemu Ekspresowi życie. Tymczasem George Gilman pozostawał jedynie zdesperowanym opryszkiem i mordercą, który plótł banialuki, by uratować się przed krzesłem elektrycznym.

- Jeśli jest prawdą, co pan mówi, to w pańskiej opowieści brakuje istotnego fragmentu - stwierdził Monk.

- Co się stało z łupem? - zapytał Slocum.

Monk pokręcił głową.

- Zniknięcie złota to dalsza kwestia. Wciąż nie rozumiem przebiegu samego napadu.

- Wszystko opowiedziałem - zapewnił Slocum.

- Sprawił pan tylko tyle, że teraz świetnie wiemy, ile nie wiemy. Dlaczego DeRosso chciał obrabować pociąg? Dlaczego potrzebował właśnie was dwóch? Dlaczego skłonny był narazić życie własne i rodziny, ujawniając wam tyle osobistych szczegółów? Dlaczego chciał czekać tak długo z wypłatą waszej doli? Kim był trzeci zamaskowany napastnik?

- To był sam DeRosso - powiedziała, odwracając się do Slocuma. - Prawda?

- Zawsze myślałem, że to on, ale ten człowiek miał na twarzy maskę i w ogóle się nie odzywał - powiedział Slocum. — Całą gadaninę zostawił nam. Równie dobrze mógł to być ktoś inny, a może DeRosso nie chciał, aby grube ryby rozpoznały jego głos.

- DeRosso czy nie, trzeci napastnik wszedł do salonki od przodu - stwierdził Monk. - Czy to oznacza, że do czasu napadu ukrywał się w wagonie towarowym? Jeśli był to DeRosso, jak się tam dostał? Dlaczego złoto i gotówkę zapakowano w konopne worki, a nie w coś mocniejszego? Dokąd uciekł rabuś z workami? DeRosso wyskoczył z pociągu czy został wypchnięty? Jeśli znajdziemy odpowiedzi na te pytania, będzie już jasne, co się stało ze złotem.

Kiedy rozmyślaliśmy w milczeniu nad tymi pytaniami, za naszymi plecami ktoś wyszedł na patio.

- Znaleźliście złoto? - usłyszeliśmy głos przybysza.

Odwróciliśmy głowy i zobaczyliśmy nadchodzącego kapitana Keltona. Do paska miał przypiętą kaburę z pistoletem. Obok niej przypięta była też odznaka policyjna.

- Jest w glinianym łabędziu. - Wskazałam oczko wodne. - Właśnie zamierzamy rozbić łabędzia i zamknąć śledztwo.

- Cieszę się, że będę tego świadkiem.

- Co pan tu robi? - zdziwił się Monk.

- Mamy przełom w sprawie Manny'ego i pomyślałem, że będzie pan chciał w tym uczestniczyć - wyjaśnił komendant, a potem pochylił się i wyciągnął rękę do Slocuma. - Harley Kelton, komendant policji w Opałach.

Uścisnęli sobie dłonie, choć Slocum nie wyglądał na zbyt uszczęśliwionego.

- Jak nas znalazłeś? - zapytałam, wstając z krzesła.

- Jestem przecież komendantem policji.

Monk wstał.

- Dziękuję za pomoc, panie Slocum. Jestem panu wdzięczny.

- Naprawdę sądzi pan, że uda się rozwikłać tę zagadkę?

- Zawsze mi się udaje - odparł nieskromnie Monk.

- Powie mi pan, co się wtedy stało?

Monk przytaknął.

- Gdybym nie powiedział, sprawa nie byłaby do pięta, a ja wszystko dopinam na ostatni guzik.

Weszliśmy z Keltonem z powrotem do budynku, a w drodze przez dużą salę i główny hol komendant wszystko nam relacjonował.

- W Tenderloin w San Francisco działał kiedyś osiłek, który wymuszał dla mafii haracze od lokalnych biznesmenów. Jeśli ludzie nie chcieli płacić, ła mał im kości, a biznesy puszczał z dymem. Manny przyłapał go, jak bił po głowie stalową rurką starzego właściciela jednej z księgarni. Gość powędro-

wał za kratki, ale wcześniej zdążył zadekować pewną swoją bezcenną własność.

- Thunderbirda z sześćdziesiątego czwartego roku? - zapytałam.

- Powinnaś zostać komendantem policji - powiedział Kelton. - Nazywa się Gator Dunsen. Został zwolniony przed ośmioma miesiącami w ramach ogólnokrajowego programu likwidowania przepełnienia cel więziennych.

Więzienia w Kalifornii były tak przepełnione, że sąd federalny wydał niedawno werdykt uznający, iż kalifornijskie zakłady penitencjarne wymierzają osadzonym bezduszną i niekonstytucyjną karę. Sąd nakazał władzom stanu niezwłocznie poprawić warunki odbywania kary, gdyż w przeciwnym razie stan czeka nałożenie srogich grzywien oraz procesy sądowe wytoczone przez administratorów więzień. Ponieważ w budżecie stanowym nie było środków na budowę nowych więzień, a administratorzy nie mieli zamiaru zostawać pensjonariuszami własnych zakładów, władze nie miały wyboru i musiały zacząć zwalniać przestępców przedterminowo.

- Może lepiej przestać aresztować? - zapytałam Keltona.

- Co prawda odkąd przybyłem do Opał, dokonałem paru aresztowań, ale nie miałem jeszcze okazji, aby zwiększyć zaludnienie więzień stanowych. - Kelton spojrzał na Monka. - Pan zapewne sam jeden zapełnił niejedno takie więzienie. Może powinien pan wziąć chorobowe?

- Nie dzisiaj.

- W takim razie proszę za mną - stwierdził komendant. - Gator Dunsen mieszka w starym domu swojej mamy w Jackson. Jesteśmy już w połowie drogi.

Detektyw Monk wysłuchuje hipotezy

Kelton jechał z nieprzepisową szybkością, ale trzymałam się twardo jego ogona, pewna, że nikt mnie nie zatrzyma i nie wlepi mandatu, skoro stanowią oficjalny orszak komendanta policji.

Myślałam o opowieści Jake'a Slocuma i pytaniach, które się pojawiły przy tej okazji. Po jakimś czasie odwróciłam się do Monka.

- Mam hipotezę.

- Na jaki temat?

- Jak dokonano napadu rabunkowego na pociąg. Załóżmy, że Slocum mówił prawdę. Sądzę, że DeRos-so był szefem szajki, ale nie brał udziału w napadzie.

- Jak to rozumieć?

- Znał się na pociągach, ale nie miał doświadczenia w świecie przestępczym. Najął więc ludzi z doświadczeniem i zlecił im zadanie, które sam tylko nadzorował.

- Był mózgiem, ale nie mięśniami.

- Właśnie.

- Podobnie jak w naszej sytuacji.

Nie bardzo wiedziałam, jak to rozumieć. Czyżby Monk sugerował, że jestem mało rozzgarnięta? Byłam przekonana, że nie to miał na myśli, ale po tym, jak nazwał mnie śmierdzącym tornadem brudu, stałam się drażliwa.

- Skoro nie mógł im zapłacić za robotę, co także przypomina naszą sytuację, wpadł na pomysł, jak w inny sposób przekonać ich do przyjęcia zlecenia. Na szalę rzucił więc bezpieczeństwo własne i rodziny. Ale nie sądzę, aby było to wielkie ryzyko, ponieważ uczciwie zamierzał spłacić dług.

- Jak na razie wszystko wydaje się logiczne.

- Nie musi pan udawać zdziwionego - powiedziałam. - Potrafię się posługiwać i mózgiem, i mięśniami. Wiemy, że salonka, w której grano w pokera, znajdowała się między wagonem restauracyjnym i towarowym. Wiemy także, że Slocum i Gilman znajdowali się w restauracyjnym, a trzeci z rabusiów był w towarowym.

- Ale uważasz, że nie był to DeRosso - wtrącił Monk.

Przytaknęłam.

- DeRosso przebywał gdzie indziej. Nie wiem gdzie. Może w jednym z wagonów pasażerskich. Trzeci napastnik miał wrócić do wagonu towarowego i ukryć łup w przygotowanej wcześniej skrytce. Jestem pewna, że DeRosso miał gotowy sprytny plan, jak wydstać stamtąd złoto pod nosem policji na stacji końcowej. Jednak, jak wiadomo, nigdy do tego nie doszło. Mam dwie hipotezy na temat tego, co się stało później.

- Zatem w sumie masz trzy hipotezy.

- Mam jedną hipotezę z dwoma hipotetycznymi zakończeniami.

- Hipotezę z dwiema podhipotezami - stwierdził Monk.

- Zabraniają tego zasady sztuki detektywistycznej?

- Niektórzy na coś takiego się marszczą.

- Właśnie dlatego pan się marszczy?
- Nie marszczę się. To moje naturalne, niezmiennie oblicze.

- Co za różnica, ile mam hipotez? - zapytałam. - Przecież tak tylko rzucamy sobie luźne myśli.

- Absolutnie nie wolno nam rzucać luźnych myśli - oświadczył Monk. - Ani wspólnie, ani osobno, ani teraz, ani nigdy, to grozi totalnym chaosem.

- Oto pierwsza hipoteza - zaczęłam, ignorując protest. - Plan spalił na panewce, ponieważ trzeci napastnik postanowił wystrychnąć kompanów na dudka i zgarnąć złoto dla siebie. Gdy w wagonie towarowym pojawił się DeRosso...

- Jak DeRosso mógł się znaleźć w wagonie towarowym, nie przechodząc przez salonkę? - przerwał mi znowu.

- Górą - odpowiedziałam. - Wspiął się na dach i przeszedł górą.

- W czasie jazdy? - zapytał Monk z niedowierzaniem.

- Dobrze znał pociągi. Kolejarze często tak robią.

- Naprawdę?

- Nie oglądał pan żadnego westernu ani thrillera o napadzie na pociąg?

- To tylko filmy.

- Pisarze czerpią pomysły z prawdziwego życia i na nim się wzorują.

- W takim razie wyjaśnij mi kwestię *Czarnoksiężnika z krainy Oz* - powiedział Monk. - Czy w prawdziwym życiu istnieją latające małpy, śpiewające strachy na wróble i Manczkinowie?

Ciągnęłam dalej, nie zwracając uwagi na pytanie Monka.

- DeRosso zjawia się w wagonie towarowym, szyb-

ko się orientuje, co zamierza trzeci rabuś, i dochodzi do walki. Kończy się tak, że ten trzeci wypycha DeRossa z pociągu.

- Co się stało ze złotem?

- Trzeci rabuś wyskoczył z łupem z wagonu.

- Z dwoma konopnymi workami?

- Może przełożył zdobycz do czegoś i dopiero wtedy skoczył. Może wszystko dokładnie zaplanował, wcześniej zostawił w lesie samochód i zanim ludzie zaczęli się rozglądać za złotem, jego już nie było.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem - powiedział Monk. - DeRosso zostaje wypchnięty z jadącego pociągu i ginie. Trzeci rabuś skacze objuczony workami ze złotem i nic mu się nie dzieje.

- Być może trzeci rabuś zaplanował skok na zakręcie albo w innym miejscu, gdzie pociąg musiał zwolnić - myślałam głośno. - Nie wiem, nie jestem ekspertem od pociągów.

- Nie jesteś, ale nie masz wątpliwości, że ludzie mogą się przechadzać po dachu wagonu restauracyjnego, kiedy pociąg mknie po torach jak szalony.

- Widziałam, jak na dachu pędzącego pociągu ludzie toczą walki kung-fu - powiedziałam. - To był chyba Steven Segal.

- Och, w takim razie to musi być prawda - zre-flektował się Monk. - Kto to jest Steven Segal?

- Nieważne.

- Jaka jest twoja druga hipoteza dotycząca tego, co się działo, gdy plan spalił na panewce?

- Właściwie mam na ten temat trzy hipotezy.

- Mówiłaś, że dwie.

- Właśnie przyszła mi do głowy jeszcze jedna. Zatem według mojej drugiej hipotezy DeRosso spadł z dachu, przechodząc po wagonie restauracyjnym,

i nigdy nie dotarł do towarowego - mówiłam. - Trzeci z napastników nie znał całego planu operacji ani nie wiedział, kim są dwaj pozostali napastnicy, więc zrobił to, co mógł zrobić najlepszego w tej sytuacji, czyli wyskoczył ze złotem z pociągu.

- I przeżył - stwierdził Monk.

- Najwyraźniej. Gdyby się zabił, a wokół niego leżałyby rozsypane złote monety, nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy.

- Jaka jest trzecia hipoteza?

- Taka jak druga, ale z innym zakończeniem - powiedziałam. - Trzeci rabuś zgodnie z planem ukrył łup w tajemnym schowku w wagonie towarowym i zanim policja się zorientowała, co się stało, zniknął z pociągu.

- Policja skrupulatnie przeszukała pociąg, szukając takiego schowka, i nic nie znalazła - przypomniał Monk.

- Może trzeci rabuś zabrał złoto i zlikwidował tajemny schowek?

- I zrobił to przez nikogo niezauważony?

- Zapewne - stwierdziłam. - Ponieważ udało mu się uciec.

- Marna hipoteza.

- Pan ma lepszą?

- Nie - odpowiedział Monk. - Ponieważ ja nie stawiam hipotez. Ja mówię, jak było naprawdę.

- Chętnie wysłucham prawdy.

- Jeszcze jej nie znam.

- W takim razie moja hipoteza może być prawdziwa.

- Która? - zapytał Monk. - Postawiłaś cztery.

- Postawiłam jedną hipotezę z trzema możliwymi zakończeniami - powiedziałam. - Prawdziwe

może być jedno z zakończeń lub połączenie wszystkich trzech, lub też czwarte, które jeszcze nie przyszło mi do głowy.

- Inaczej mówiąc, prawda może być zupełnie inna.
- Oczywiście.
- Sądzę, że twoja hipoteza jest słuszna - oświadczył Monk.

- Która?

- Ta, że prawda jest zupełnie inna.

Zajechaliśmy za komendantem Keltonem na jakieś osiedle mieszkaniowe z lat pięćdziesiątych, z domami, które wyglądały jak restauracje typu drive-in z czasów pierwszego podboju kosmosu. Domy miały ostre narożniki, płaskie dachy, fasady z cegły wulkanicznej, duże okna, a na samochody wiaty zamiast garaży. Dom Gatora Dunsena nietrudno było zauważyć, bo pod jego wiatą stał thunderbird z sześćdziesiątego czwartego roku.

Z daleka wydawało się, że dom Dunsena i całą posiadłość pokrył śnieg. Kiedy jednak podjechaliśmy bliżej, zobaczyłam, że to wystające z ziemi fragmenty skalne, łupki białego dolomitu połyskujące w słońcu, rozsiane wszędzie po ziemi, nawet w alejce dojazdowej i na dachu. Tu i ówdzie spomiędzy skał wyrastały suche, cierniste krzaczki, ale poza tym można było odnieść wrażenie, że dom został zbudowany w środku kamieniołomu.

Kelton zaparkował radiowóz na alejce przed domem, tuż za thunderbirdem, zapewne po to, aby uniemożliwić właścicielowi ewentualną ucieczkę.

Ja zatrzymałam się przy krawężniku na ulicy. Pod drzwi wejściowe prowadził stamtąd wąski betonowy chodnik, szczęśliwie dla mnie, gdyż w przeciwnym razie Monk mógłby mnie prosić, żebym zanio-

sła go na barana pod drzwi, omijając białe kamienie. Nie cierpiał nierównych i niepewnych nawierzchni.

- Uwaga, przejmuję dowództwo - powiedział Kelton. - Gator Dunsen ma na swoim koncie wiele groźnych przestępstw.

- Pewnie kumple mówią na niego Aligator, a nie na przykład Pimpus - rzuciłam.

Chciałam być dowcipna i zalotna, ale żart wypadł beznadziejnie. Kelton nawet się nie uśmiechnął, pochłonięty wyłącznie swoim służbowym zadaniem.

- Musimy założyć, że jest niebezpieczny i uzbrojony, więc będę postępował zgodnie z procedurami. Jasne? Dopóki nie uznam, że jest bezpiecznie, oboje macie się trzymać z dala od ewentualnej linii ognia.

Kelton wszedł na schody i ustawił się z prawej strony drzwi wejściowych.

Poszłam za jego poleceniem i zesłam z chodnika między białe kamienie, z dala od linii strażaków mogących paść od strony drzwi. Monk pozostał na betonowym chodniku, ale przechylił się w moją stronę, na ile tylko mógł to zrobić bez utraty równowagi.

Kelton wyciągnął lewą rękę i zapukał w drzwi. Prawą dłoń trzymał na kolbie pistoletu. Dałam Monkowi znak, aby podszedł do mnie, ale potrząsnął głową. Można by pomyśleć, że każę mu chodzić boso po rozżarzonych węglach.

- Kto tam? - rozległ się z wnętrza szorstki głos.

- Gator Dunsen? - zapytał Kelton.

- Kto pyta?

- Komendant policji w Opałach.

Była to prosta, szczerza odpowiedź, a jednak zabrzmiała jak wycudzona, harda riposta twardziela, którą mógłby rzucić Walker, Strażnik Teksasu, albo Brudny Harry.

Dunsen odpowiedział odpowiednio do sytuacji. Wypalił przez zamknięte drzwi, robiąc w nich dziurę, a zbłąkana kula strzaskała prawą tylną szybę w moim samochodzie i moje pięćset dolarów udziału własnego w polisie ubezpieczeniowej.

Skoczyłam do tyłu, chowając się za thunderbir-da. Monk drgnął odruchowo w moim kierunku, ale zawahał się i znieruchomiał z jedną nogą zawieszoną nad białymi kamieniami, a drugą stojącą wciąż na chodniku. Wyglądał, jakby chciał zaprezentować postawę wyjściową jednej ze wschodnich sztuk walki.

Gator Dunsen strzelił drugi raz.

W końcu strach przed postrzeleniem okazał się silniejszy od strachu przed nierówną nawierzchnią. Monk skulił się, przebiegł do samochodu stojącego pod wiatą i przykucnął obok mnie.

- Nie ruszajcie się stamtąd! - zawołał do nas Kelton.

Przysiadł powoli, obrócił się w stronę drzwi, przyjmując klasyczną postawę strzelecką, wystrzelił dwukrotnie i wpadł do wnętrza.

Usłyszeliśmy strzały. Jedno z okien w bocznej ścianie domu wyleciało z brzękiem, a kawałki szkła rozprysnęły się po białych kamieniach. Z dobiegających odgłosów wynikało, że strzelanina przesuwa się ku tylnej części mieszkania.

Monk wydłubał jakiś drobny kamyk z bieżnika opony prawego przedniego koła thunderbirda, a potem wysunął głowę zza auta, by lepiej przyjrzeć się lśniącej, chromowanej kratce chłodnicy. Szybko wciągnęłam go z powrotem za samochód.

Rozległ się jeszcze jeden wystrzał, po nim dwa kolejne, następujące szybko po sobie, a potem zale-

gła niepokojąca cisza. Słyszałam tylko dźwięczenie w uszach po strzelaninie.

Wyprostowaliśmy się ostrożnie i wychyliliśmy głowy w kierunku drzwi. Z jednej i drugiej strony ulicy zaciekawieni ludzie zaczęli wychodzić z domów, żeby zobaczyć, co się dzieje. W oddali usłyszałam odgłosy policyjnych syren.

Z domu wyszedł Kelton z bronią schowaną w kaburze. Twarz i ręce miał poranione odłamkami szkła.

- Nie żyje - oznajmił.

Usiadł na ganku, a ja szybko do niego pobiegłam. Monk wycofał się ostrożnie na ulicę i dopiero stamtąd podszedł do nas betonowym chodnikiem.

- Nic ci nie jest? - zapytałam.

- Mógłbym prosić o jedną z tych waszych chusteczek?

Sięgnęłam do torebki i dałam mu chusteczkę dezynfekującą. Komendant rozdarł opakowanie, wyjął chusteczkę i delikatnie przemył sobie rany na twarzy.

Monk minął nas i wszedł do domu. Podałam Keltonowi jeszcze parę chusteczek i weszłam pośpiesznie za Monkiem. Nie bardzo chciałam oglądać to, co miałam tam zastać, ale taką miałam pracę.

Cały parter stanowił otwartą przestrzeń i było w nim niewiele ścian działowych. Granice wytyczały linie niskich kontuarów, regałów na książki i mebli.

Pokój dzienny otwierał się na kuchnię i korytarz. Stała w nim nowoczesna kanapa, skórzany fotel wypoczynkowy, ogromny telewizor z płaskim ekranem i przewrócony na bok, podziurawiony kulami stolik do kawy. Na podłodze zobaczyłam rozsypane chipsy i półmisek, dużą plamę sosu, torebkę z chrupka-

mi bekonowymi i kilka leżących butelek piwa. W fotelu zauważyłam dwie dziury po kulach.

Monk wyciągał przed siebie ręce z wyprostowanymi sztywno dłońmi, jakby wciąż wyczuwał ciepło promieniujące z żaru stoczony niedawno walki. Czulałam lekko metaliczną woń krwi, zapach cebulowego sosu do chipsów i spalonego prochu z broni, z której strzelano.

- Byłoby dobrze, gdyby sprząтали po sobie, w miarę jak się przesuwali - powiedział Monk, uważnie stawiając kroki, by nie wejść w jakąś mokrą plamę.

- Myślę, że trudno jest strzelać, jeśli w jednej ręce trzyma się miotłę, a w drugiej szufelkę - wyraziłam opinię.

- Kiedy komendant zapukał do drzwi, Gator Dunsen siedział na kanapie i jadł chipsy. Po krótkiej wymianie zdań chwycił za broń, przewrócił na bok stół, żeby się za nim schować, i oddał dwa pierwsze strzały - powiedział Monk. - Doprawdy, zanim przewrócił stolik, mógł uprzątnąć z niego wszystkie rzeczy. To zajęłoby mu chwilę.

- Rzeczywiście. Musiał być nienormalny - stwierdziłam.

Monk przytaknął.

- Dunsen zajmował już następną pozycję, kiedy komendant Kelton bezsensownie strzelił w fotel.

Monk przeszedł do niskiego kontuaru w kuchni, który służył jako barek i oddzielał kuchnię od pokoju dziennego. Zobaczyłam, że okno nad zlewozmywakiem jest rozbite.

- Gator Dunsen schował się za kontuarem i znowu otworzył ogień - ciągnął Monk. - Kelton odpowiedział ogniem i zbił szybę. Dunsen znowu strzelił.

Kelton rzucił się na podłogę. Wtedy Dunsen uciekł w głąb korytarza.

W miarę jak Monk opisywał, co się stało, wyobrażałam sobie całe zdarzenie. Niemal widziałam, jak wszystko rozgrywa się przed moimi oczami, jakby z udziałem duchów.

Tymczasem Monk wszedł na korytarz i zajrzał do sypialni. Zatrzymał się w progu i przechylił głowę to w jedną, to w drugą stronę.

Stałam za nim i zerknęłam mu przez ramię.

Zwalisty, łysy mężczyzna, mający co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, leżał na plecach na podłodze z rozrzuconymi na boki rękami. Przez jego kark i głowę ciągnął się wytatuowany aligator. Mężczyzna miał na sobie bezrękawnik, bermudy i zwykłe klapki. Dokładnie między jego oczami świeciła dziura po pocisku, a ściana za nim zbryzgana była krwią.

Cieszyłam się, że nie zdążyliśmy zjeść lunchu, bo pewnie znowu musiałabym go oglądać, choć w innej formie.

Monk kucnął przy ciele. Nie po raz pierwszy uderzyła mnie sprzeczność w jego zachowaniu. Robiło mu się niedobrze na widok rozbitych o szybę motyli w moim samochodzie, ale bez drgnienia powiek potrafił się przyglądać człowiekowi, któremu pocisk roztrzaskał tylną część czaszki. Wydawało mi się to zupełnie bez sensu. Ale nie byłam aż tak zadziwiona, aby nie zdawać sobie sprawy, że nad tą, dobrze przecież znaną, sprzecznością zastanawiam się po raz tysięczny tylko po to, żeby odwrócić myśli od krwawej jatki.

Nadaremno jednak.

- Ma spękane usta - powiedział Monk. - Krwawia.

- Człowiek ma w czole dziurę po kuli, jego mózg znajduje się na ścianie, a pan się przejmuje spękanymi wargami? - zapytałam.

- Ciekawe, czy zagryzał je w czasie strzelaniny, czy tylko skubał.

- Ludzie często zagryzają wargi pod wpływem stresu. Strzelanina to raczej stresująca sytuacja, prawda?

Monk zajął pod łóżko.

- Tu jest pistolet Dunsena. Musiał mu wypaść z ręki, kiedy padał na podłogę.

- Musimy tu przebywać, panie Monk? Chyba nie ma wątpliwości, jak został zabity Gator Dunsen. Byliśmy pod domem, kiedy to się stało.

- I tam powinniście byli zostać - usłyszałam za plecami czyjś głos.

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy dwóch umundurowanych policjantów z wyciągniętymi pistoletami. Wydawało mi się to lekką przesadą.

- Możecie, panowie, schować broń - powiedziałam. - Strzelanina już się skończyła. Czy komendant Kelton wam nie powiedział?

- Wychodzić - powiedział ostro policjant. - Natychmiast.

- Z przyjemnością- odpowiedziałam i w pośpiechu opuściłam pokój.

Monk ruszył za mną, nie okazując jednak żadnego pośpiechu.

Czego nie dostrzegł detektyw Monk

W ciągu kilkunastu minut posiadłość zaroїła się od detektywów i techników policyjnych z Jackson oraz członków ekipy lekarza sądowego z hrabstwa Amador.

Dochodzenie prowadziła detektyw Lydia Wilder, która zdawała się cierpieć z powodu jakichś potwornych niestrawności. Skwaszona, cierpka mina nie znikwała z jej twarzy przez cały czas, gdy obchodziła miejsce przestępstwa, a potem przepytywała szczegółowo Keltona, który siedział bez podkoszulka w ambulansie, opatrywany przez sanitariuszy.

Staralam się nie patrzeć w jego stronę, ale trudno było mi nie zauważyć, że ma niezłe ciało, a na torsie dokładnie tyle owłosienia, ile trzeba, aby okazać zdrową męskość, ale nie aż tyle, abym miała ochotę poczęstować go bananem. Czytałam niedawno w „Cosmopolitan”, że owłosione torsy u mężczyzn znowu są w modzie, choć, jeśli o mnie chodzi, wydaje mi się, że nigdy z niej nie wyszły.

Lydia Wilder zdawała się jednak w ogóle nie uważać klatki piersiowej Keltona. Im dłużej z nim rozmawiała, tym wyrazistsze stawały się jej grymasy. Nie rozmawialiśmy z nią na razie. Nasze zeznania spisywał inny detektyw, który oświadczył,

że nie możemy się oddalać, dopóki Wilder nie puści nas wolno.

Oparłam się więc o jeden z radiowozów i obserwowałam, co się wokół dzieje.

Monk dopilnowywał, aby technik policyjny, który wyciągał kulę z tylnego siedzenia mojego samochodu, zebrał również wszystkie drobiny szkła z rozbitego okna.

Po kilku minutach podszedł do mnie.

- Obawiam się, że twój samochód jest totalnie skasowany.

- Mówił pan to samo, zanim została wybita szyba.

- Ale teraz naprawdę jest totalnie skasowany - powiedział Monk. - Nie ma mowy, abyśmy mogli nim jechać.

- Będziemy musieli zadowolić się tym, co mamy.

- Ale brakuje szyby w jednym oknie. Poza tym samochód upačkany jest brudem i motylową mazią.

- Dopóki nie zamontuję nowej szyby, zakleję dziurę kawałkiem kartonu.

- To nie do pomyslenia - zaproponował Monk.

- Nie stać mnie na nowy samochód - powiedziałam. - Pana również nie, więc musi nam wystarczyć ten, który mamy.

- W takim razie potrzebna mi cegła - powiedział Monk. - Albo kij baseballowy.

- Po co?

- Aby usunąć szybę z okna po drugiej stronie - wyjaśnił całkiem serio. - Może będę mógł pożyczyć pałkę od któregoś z policjantów.

Ruszył w kierunku najbliższej stojącego funkcjonariusza, ale złapałam go za ramię i mocno przyciągnęłam z powrotem do siebie.

- Jeśli zrobi pan coś z drugim oknem, do końca naszej podróży nie umyję sobie rąk - zagroziłam. - A kiedy wejdziemy po powrocie do pańskiego domu, natychmiast zacznę dotykać wszystkiego, czego się tylko da.

- Nie ośmieliłabyś się - stwierdził niepewnie Monk.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Założymy się?

- Bądź rozsądna. - Głos Monka zabrzmiał jak ciche kwilenie.

- Niech najpierw pan okaże rozsądek, panie Monk.

- Przecież się staram. Ale ty mi nie pozwalasz.

Komendant Kelton włożył już koszulę i podszedł do nas. Również Wilder zbliżała się w naszą stronę z pokazną torebką na dowody rzeczowe pod pachą.

- Widzę, że jesteś w opałach - powiedziałam. - To znaczy, e... nie mam na myśli miasteczka, wiem, gdzie się teraz znajdujemy, tylko e... chodziło mi o to...

- Wiem, o co ci chodziło - przerwał mi. - Bywałem w gorszych sytuacjach, choć nie byłem wówczas trzeźwy.

Po chwili stanęła przy nas Lydia Wilder.

- Totalny bałagan - rzuciła krótko.

- Wiem - podjął skwapliwie Monk. - Może pani uda się przemówić tej damie do rozsądku, zanim sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.

- O czym pan mówi? - zapytała Wilder. Monk skinął głową w kierunku samochodu.

- Natalie nie pozwala mi stłuc drugiej szyby.

- Myślałam, że rozbił ją Gator Dunsen - zdziwiła się Wilder.

- Owszem, on. Stanęliśmy zatem wobec moralnego nakazu, aby ktoś teraz zbił szybę w drugim oknie.

Pani może jej to oficjalnie nakazać w ramach obowiązku utrzymywania ładu i porządku publicznego.

- Własnym uszom nie wierzę, pan się czegoś nalykał czy raczej odstawił leki?

- Niech ją pani sama zapyta. - Monk kiwnął głową w moją stronę. - Ja zadałem jej to samo pytanie.

Wilder spojrzała na Keltona.

- Sytuacja pogarsza się z każdą minutą- stwierdziła.

- Zgadzam się - przytaknął Monk.

- Przyjechał pan przesłuchać świadka, choć nie jest to pana jurysdykcja, i nawet nie uprzedził pan lokalnej policji - Lydia Wilder odezwała się do Keltona, nie zwracając już uwagi na Mońka. - Zbliżył się pan do niebezpiecznego przestępcy bez wsparcia i wdał się w wymianę ognia. Zabił pan podejrzanego i usiadł sobie na ganku, podczas gdy dwie osoby cywilne, w tym jedna niezrównoważona umysłowo, zadeptały miejsce popełnienia przestępstwa.

- Nie jesteśmy osobami cywilnymi, a w tamtej chwili Natalie wydawała się jeszcze normalna - rzekł Monk.

- Nie jesteście policjantami.

- Ja byłem. Teraz jestem konsultantem Departamentu Policji San Francisco.

- Ale nie jest pan konsultantem tego departamentu policji.

- Chętnie nim zostanę - zaferował się Monk.

- Prześlę pani nasze stawki - wtrąciłam.

- Nie jestem zainteresowana. - Detektyw Wilder odwróciła się znowu do Keltona. - Nieodpowiedzialność, którą pan dzisiaj zademonstrował, po prostu zbija z nóg. Jak to możliwe, że został pan komentantem policji?

- Musiałem trochę popić.
- Ja nie żartuję - upomniała go Wilder. - Zginął człowiek.

- Zabójca policjanta - stwierdził Kelton. - Zamordował Manny'ego Feikemę, emerytowanego policjanta z San Francisco, który wsadził go kiedyś za kratki. Kulka groziła każdemu funkcjonariuszowi, który stanąłby pod tymi drzwiami.

- Tym bardziej przed przyjazdem do Jackson powinien był pan skontaktować się z moim posterunkiem - powiedziała Wilder.

- Być może byłem nieco nadgorliwy — przyznał Kelton.

- Był pan bezmyślnie i niebezpiecznie nierozważny. Ma pan szczęście, że dzisiaj zginął tylko Gator Dunsen i nikt nie został poważnie ranny. - Wyjęła spod pachy torebkę z dowodami rzeczowymi i podniosła ją, abyśmy mogli zobaczyć, co jest w środku. - Wicie, co to jest?

Wszyscy troje zbliżyliśmy się do niej i popatrzyliśmy na znajdujące się w worku zdjęcia.

- To fotografie wnętrza Muzeum Gorączki Złota w Opałach - oznajmił Monk.

Większość zdjęć ukazywała różne ujęcia dioramy przedstawiającej poszukiwaczy złota.

- Właśnie tam pracował Manny Feikema jako strażnik - wyjaśnił Kelton. - Według naszej teorii Dunsen wszedł do muzeum razem ze zwiedzającymi, ukrył się gdzieś, a w nocy zaatakował Manny'ego, gdy ten robił obchód. Wydaje mi się, że Dunsen lustro wał muzeum w poszukiwaniu kryjówki i ostatecz nie zdecydował się na chatę w muzealnej dioramie.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami, ale nie odezwał się słowem.

Wilder włożyła worek z powrotem pod pachę, a potem spojrzała na mnie i na Monka.

- Wy jesteście wolni - oświadczyła i rzuciła wzrokiem na Keltona. - Z panem jednak nie skończyłam. Musimy sobie jeszcze wyjaśnić wiele rzeczy.

Gdy wyjeżdżaliśmy z Jackson, zatrzymałam się przy sklepie z artykułami biurowymi, gdzie kupiłam pudło tekturowe, nożyk do cięcia kartonu i dwie rolki mocnej taśmy klejącej. Wycięłam z pudła odpowiedni kawałek tektury i przykleiłam go na zbite okno. Z uprzejmości dla mojego pogrążonego w rozpacz szefa podobny kawałek kartonu nakleiłam także na nietkniętą szybę po drugiej stronie. Był to kompromis i propozycja pokojowa, którą Monk zaakceptował wdzięcznym skinieniem głowy.

Nie jedliśmy lunchu, a umierałam już z głodu, więc zatrzymałam się jeszcze przy markecie 7 Eleven, gdzie kupiłam dwa pudełka płatków Wheat Thins oraz dwie butelki wody Summit Creek. Nie jestem wielbicielką płatków Wheat Thins, ale wiedziałam, że są idealnie kwadratowe, a gdybym kupiła coś tak nieprzewidywalnego w rozmiarze i kształcie jak chipsy ziemniaczane, Monk dostałby ataku apopleksji.

Podczas drogi powrotnej do Opał Monk się nie odzywał. Jedynymi odgłosami, które rozbrzmiewały w samochodzie w czasie jazdy, było chrupanie płatków i świst powietrza wdzierającego się do środka przez tekturowe okno z prawej strony.

Myślałam, że Monk będzie chciał wrócić do miejsca, gdzie zostawiłam na szosie ślad po oponie. Ale nie. Znaczyło to tyle, że najwyraźniej coś było nie

w porządku, tak bardzo nie w porządku, że o rzeczach nie w porządku, których się wcześniej dopuściłam, zupełnie już zapomniał.

- Co pana gryzie, panie Monk? - zapytałam.

- To, co komendant Kelton powiedział detektyw Lydii Wilder - odpowiedział.

- Powiedział jej wiele rzeczy. Mógłby się pan precyzyjnie wyrazić?

- Komendant Kelton powiedział detektyw Lydii Wilder, że Gator Dunsen zabił Manny'ego Feikemę.

- Bo przecież zabił - powiedziałam. - Prawda?

- Nie - odparł Monk. - Nie zabił.

- Zazwyczaj nie spieram się z panem w takich sprawach, ale dowody przeciwko Dunsenowi mówią same za siebie. Manny posłał Dunsena do więzienia. Krótko przed morderstwem Dunsen pojawił się w Opałach i rozpytywał o Mannyego. Robił zdjęcia dioramy w Muzeum Gorączki Żłota. W starciu z komendantem Keltonem wolał dać się zastrzelić, niż pozwolić się znowu aresztować. Wszystko to mówi jedno: Dunsen był zabójcą.

- Nie było go w Opałach - rzucił Monk.

- Przecież widział go Bob Gorman - przypomniałam. - Nawet z nim rozmawiał.

- Gorman kłamał.

- Skąd pan wie?

- O tej porze nie sposób wyjechać z Opał czystym samochodem. Ale thunderbird Dunsena lśnił czystością.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

- Wierzyć mi się nie chce, że człowiek, który się domagał, abym oddała na złom swój samochód tylko dlatego, że trochę się pobrudził, teraz krytykuje kogoś za to, że utrzymuje swój pojazd w idealnej czystości. Ten wóz był dla Dunsena najcenniejszą

rzeczą, jaką miał. Prawdopodobnie mył go i woskował dwa razy dziennie. Dlatego nie było na karoserii śladu po rozmazanych motylach. Zresztą fotografie, które detektyw Wilder znalazła w domu, jasno dowodzą, że Dunsen był w Opałach i obserwował wnętrze muzeum.

- Fotografie dowodzą, że Gator Dunsen był niewinny.

- Nie wiem, jak to możliwe.

- Ponieważ nie dostrzegłaś tego, czego ja nie dostrzegłem.

- Chyba chciał pan powiedzieć, że nie dostrzegłam tego, co pan dostrzegł.

- Nie. Czego nie dostrzegłem.

- Jak mogłam nie dostrzec czegoś, czego pan nie dostrzegł? To masło maślane.

- Na fotografii dioramy nie dostrzegłem oskarda, którym został zabity Manny - wyjaśnił Monk. - Jeśli zdjęcie zostało zrobione przed zabójstwem Manny'ego, oskarżenie powinno być na swoim miejscu. Nie było go tam.

- Och, nie zauważyłam tego.

- Właśnie. Ja też nie zauważyłem.

- Nie. Pan zauważył - powiedziałam. - Ale to, co pan zauważył, było tym, czego pan nie zauważył. Nie zauważyłam tego, co pan zauważył, czyli tego, czego nie można było zauważyć, a co powinnam była zauważyć, gdybym tylko baczej się przyglądała temu, co widzę.

- Przecież to właśnie mówię - stwierdził Monk. - Naprawdę uważasz, że wyłożyłaś to w bardziej przystępny sposób?

- Nie - odparłam, pocierając skronie. - Uważam, że mam udar mózgu.

- To wyjaśniałoby całe twoje dzisiejsze zachowanie.
- Dlaczego nie powiedział pan o tym Keltonowi, gdy byliśmy jeszcze u Dunsena?

- Ponieważ dość piwa nawarzył sobie u detektywy Lydii Wilder i policji w Jackson. Nie chciałem przynosić mu wstydu i pogarszać sytuacji.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Jestem pod wrażeniem, panie Monk. Postąpił pan bardzo delikatnie.

- Jestem wrażliwym człowiekiem.

Prawda, że w kwestii wielu spraw - właściwie niezliczonych — Monk był bardzo wrażliwym człowiekiem, jednak uczucia drugiego człowieka bynajmniej do nich nie należały. Nie powiedziałam tego głośno, rzecz jasna, dlatego że sama jestem wrażliwa na uczucia Monka, a także na to, że obrażanie pracodawcy może się skończyć utratą pracy.

- Skoro Gator Dunsen był niewinny, dlaczego do nas strzelał?

- Nie zabił Manny'ego Feikemy, ale to nie znaczy, że w ogóle nie był winny. Sama zwróciłaś uwagę, że miał na imię Gator, a na karku nosił tatuaż aligatora. Musiał być winny potwornej zbrodni.

- Co pan powie komendantowi Keltonowi?

- Nic, dopóki nie zbiorę dowodów. Jednak jest to pierwszy ważny przełom w naszym śledztwie.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Ktoś podłożył w domu Dunsena fotografie, a Bob Gorman kłamał - mówił Monk. - Nie powiem, żeby nieuczciwość Gormana specjalnie mnie zaskoczyła. W chwili, kiedy zobaczyłem, jak bierze widelec do brudnych rąk, a potem obtacza naleśnik w żółtku, od razu zrozumiałem, że nie można mu ufać i najprawdopodobniej jest komunistą.

- Chce pan skonfrontować Gormana ze swoimi spostrzeżeniami?

- Nie wiem, czy byłby to teraz najlepszy ruch. Więcej możemy się dowiedzieć, udając głupich i czekając na rozwój wypadków.

- Sądzi pan, że potrafi pan udawać głupiego?

- Jestem geniuszem i ludzie o tym wiedzą - powiedział skromnie Monk. - Jednak ktoś mnie nie docenia. Mam nadzieję, że jeśli będę siedział cicho jak mysz pod miotłą, nadal nie będzie mnie doceniał.

- To nie będzie dla pana łatwe.

- Będę musiał sięgnąć do najgłębszych pokładów rezerw mojej wewnętrznej mocy. Zakładając, że po przejechaniu przez chmurę motyli w tym samochodzie śmierci będę jeszcze miał jakieś rezerwy.

Detektyw Monk i telefon do domu

Kiedy wjechaliśmy do Opał, zapadał już zmierzch. Na skrzyżowaniu Main Street i Drugiej Ulicy musiałam się zatrzymać, gdyż przez ulicę przechodził osiołek.

Zwierzakowi nigdzie się nie śpieszyło. Stał przed maską samochodu i patrzył na Monka, przeżuwając coś powoli.

Spojrzałam znudzona w lewo, w kierunku Muzeum Gorączki Złota, i zobaczyłam, że z budynku ktoś wychodzi. Postać wydała mi się znajoma.

- Panie Monk - powiedziałam. - Czy to nie Clifford Adams?

Monk podążył za moim wzrokiem, patrząc, jak Adams wsiada do przerdzewiałego, starego pick-upa, przy którym moje auto wyglądało jak nowiutki mercedes.

- Owszem - powiedział Monk. - Ciekawe, dlaczego właśnie dzisiaj postanowił przyjść do muzeum.

- Może nasza rozmowa wywołała w nim nostalgiczne wspomnienia? - wyraziłam przypuszczenie.

Kiedy pick-up wjechał na chwilę w smugę naszych reflektorów, na mijającej nas twarzy dostrzegliśmy wyraz wściekłości.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami.

- Może.

Kiedy samochód Adamsa przejechał przez skrzyżowanie, na rogu ulicy spostrzegłam Boba Gormana. Odprowadzał ciężkim wzrokiem Clifforda Adamsa, a potem jego spojrzenie spoczęło na nas.

Przymusiłam się do uśmiechu i pomachałam łązowi ręką. Bob Gorman również się uśmiechnął, pomachał mi i odszedł wolno w kierunku muzeum.

Monk spoglądał za nim z tak natężoną uwagą, na jaką tylko pozwalał mu stojący przed maską osiołek.

- Nie bez powodu nazywają to miejsce Opały.

Kiedy osiołek wreszcie się ruszył, przejechaliśmy kilka następnych przezeźnic i zatrzymaliśmy się przed motelem. Wysadziłam tam Mońka, a sama pojechałam na stację benzynową, aby zatankować do pełna i zrobić, co się da, by zetrzeć z szyby brud i owady. Usunięcie zaschłej mazi wymagało solidnego skrobania. Zdawało się, że przejechałam przez burzę lepszego szlamu, a nie motyli.

Za budynkiem stacji znalazłam stanowisko do mycia i spróbowałam spryskać samochód wodą z węża, ale udało mi się jedynie splukać nieco brudu. To musiało wystarczyć, dopóki nie wstawię nowej szyby.

Wróciłam do motelu i zapukałam do drzwi Mońka, aby zapytać, czy nie ma ochoty na wspólny obiad w Dorothy's Chuckwagon.

- Wystarczą mi płatki Wheat Thins - zapewnił mnie.

- Co pan będzie robił przez resztę wieczoru?

- Będę czyścił buty.

- Widzę, że zapowiada się ekscytujący wieczór.

- Kryłem się dzisiaj przed świszczącymi kulami, motylimi kamikaze i miotającymi się po ulicach osłami - mówił Monk. - Muszę dojść do siebie.

- Rozumiem. Życzę panu dobrej nocy, panie Monk.

- Ja tobie również, Natalie - odrzekł i zamknął drzwi.

Wróciłam do swojego pokoju i zadzwoniłam do córki, by zobaczyć, co u niej słyhać. Z zadowoleniem usłyszałam, że Julie siedzi w domu nad książkami i przygotowuje się do czekającego ją nazajutrz sprawdzianu z historii. W każdym razie tak powiedziała. Ale robić mogła cokolwiek.

Julie była już za duża, aby traktować ją jak dziecko, ale wciąż zbyt młoda, aby uważać ją za dorosłą. Dla matki, zwłaszcza dla samotnej matki, to okres pełen pułapek. Ale ufałam córce. Julie nigdy nie dała mi powodu, żeby jej nie ufać.

- Jak się bawisz na wakacjach z panem Monkiem? - zapytała zgryźliwie.

- To nie są wakacje. To podróż służbowa.

- Tak samo mówiłaś, kiedy pojechaliście na wakacje do Niemiec i Francji.

- Tamte wyjazdy dopiero przemieniły się w śledztwa - wyjaśniłam. - Ta podróż zaczęła się śledztwem. Choć mamy już dwa śledztwa.

- Wcale się nie dziwię - stwierdziła Julie. - Pan Monk jest jak Anioł Śmierci. Mowy nie ma, żeby przyszedł do mojej szkoły na zakończenie roku.

- Musisz go zaprosić - powiedziałałam. - Ale zastanowimy się jeszcze, co zrobić, żeby uprzejmie odmówił.

- Wystarczy mu powiedzieć, że wśród uczniów panuje ospa wietrzna. Albo że noszą niedopasowane skarpetki.

- Jedno i drugie byłoby skuteczne - stwierdziłam.

- W takim razie powiemy mu jedno i drugie, nie można ryzykować.

- W porządku - zgodziłam się, a potem zdałam jej relację ze wszystkiego, co się wydarzyło, odkąd przyjechaliśmy do Opał, a szczególnie o moim niezwykłym odkryciu, że Monk miał przodka, który również zajmował się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych, był podobnie genialny i miał te same dziwactwa.

- Nie byłoby super, gdyby Abigail Guthrie okazała się twoją krewną? Powinnaś to sprawdzić.

- Nie chcę tego wiedzieć.

- Teraz mówisz jak Monk.

- Skądże - zaprotestowałam. - Nie jestem taka jak on.

- On nie chce wiedzieć, czy łączy go pokrewieństwo z Artemisem Monkiem, a ty nie chcesz wiedzieć, czy łączy cię pokrewieństwo z Abigail Guthrie.

- Ale pan Monk jest krewnym Artemisa Monka - stwierdziłam. - Nie miałabym nic przeciwko pokrewieństwu z Abigail Guthrie, gdyby nie miała ona nic wspólnego z żadnym Monkiem. Jeśli jednak istotnie jestem spokrewniona z Guthrie, to cały ten zbieg okoliczności byłby zbyt potworny, żeby się nad nim dalej zastanawiać.

- Co w tym takiego potwornego?

- To oznaczałoby, że tak naprawdę nigdy nie pannaowałam nad własnym życiem i od początku byłam skazana na ten los.

- Dlaczego sądzisz, że nie byłaś skazana na pracę u pana Monka, nawet nie będąc krewną Abigail Guthrie?

- Lubię myśleć, że mam wolną wolę - odparłam. - Ty nie lubisz?

- Lubię. Ale moja mama nie pozwala mi jej mieć.

- Teraz jesteś przecież zdana na siebie, prawda? -

stwierdziłam. - Jak się domyślam, siedzisz teraz naga z trzema chłopakami w domu i wciągasz kokę. Julie jęknęła.

- Boże, skąd wiesz?!

- Bardzo zabawne.

- Jak sądzisz, dlaczego pan Monk nie przyzna, że Artemis jest jego przodkiem?

- Może się boi, że jeśli jego problemy okażą się dziedziczne, to jego stan nigdy się nie poprawi?

- Pan Monk nie uważa, że ma problemy - stwierdziła Julie. - Jego zdaniem wszyscy inni są pokrećceni.

- Wie, że ma problemy. Dlatego spotyka się z psychoterapeutą.

- Mamo, pan Monk spotyka się z terapeutą, ponieważ bardzo to lubi. Uwielbia biadolić i być w centrum zainteresowania.

- Zapominasz, że po tym, jak zabito jego żonę, złał się. Zwolniono go z policji, ponieważ nie miał już predyspozycji psychicznych do służby i przez następnych kilka lat potrzebował opieki zawodowej pielęgniarki, aby móc jakoś funkcjonować.

- To było dawno. Pan Monk się zmienił - orzekła Julie. - Gdyby nadal potrzebował opieki zawodowej pielęgniarki, nie miałabyś tej pracy. Sharonę zatrudnili doktor Kroger i kapitan Stottlemeyer, ale ciebie zatrudnił pan Monk, ponieważ ta posada nie miała już nic wspólnego z troską o jego zdrowie psychiczne. Pan Monk nie sądzi, aby miał jakieś problemy, ale na pewno uważa, że ty je masz.

Trudno było odmówić jej słuszności. Minęły lata, odkąd ostatni raz słyszałam, jak Monk mówi o swojej chęci powrotu do służby w policji. Zdawało się, że jest zadowolony z tego, co teraz robi. I wciąż kryty-

kuje mnie za patologiczne zachowanie, jak włożenie pogniecionej bluzki, jedzenie mieszanej sałatki, głaśkanie psów czy niesplukiwanie wrzątkiem szczoteczki przed i po umyciu zębów.

Powoli dochodziłam do zatrważającego wniosku, że być może Monk i ja więcej mamy wspólnego, niż myślałam. Nikt tak jak Adrian Monk nie cenił sobie idei, by w pełni panować nad własnym życiem i otoczeniem. Być może zaakceptowanie pokrewieństwa z Artemisem Monkiem, człowiekiem uderzająco do niego podobnym, oznaczało akceptację ślepego losu i bezsilność w próbach kształtowania własnego życia. Ja również nie byłam na coś takiego gotowa, a przecież daleko mi do jego stanów napięcia.

Tak się dostroiłam do dzielących nas różnic, że zupełnie nie dostrzegałam podobieństwa niektórych cech, wspólnych stron naszych osobowości, które raczej przyciągają nas ku sobie, niż odsuwają.

W dużej mierze mogłam za to winić pracę u Mońka. To on sporządził listy swoich fobii i zasad postępowania, to on uczynił moim obowiązkiem służbowym starania, aby jego bezpośrednie otoczenie było dla niego jak najbardziej komfortowe. Ciągle byłam nakłaniana - nie, szkolona -do tego, aby wypatrywać rzeczy, które Monk może uznać za irytujące lub nie na miejscu (dla mnie większość z nich nie stanowiła żadnego problemu), i żeby w porę je załagodzić, zanim przysporzą mu kłopotów. W ten sposób dostroiłam się do dzielących nas różnic, żeby łatwiej dostrzegać rzeczy, przed którymi należało Monka chronić.

Przed chwilą powiedziałam Julie, że nie jestem taka jak Monk. Jednak może gdzieś w głębi jeste-

śmy z Monkiem bardziej do siebie podobni, niż kiedykolwiek bym przypuszczała.

Jeśli była to prawda, być może Monk nie był zbyt skomplikowany, by go zrozumieć. Albo może ja byłam równie pokręcona jak on, tyle że na swój sposób.

Och, to była naprawdę zatrważająca myśl.

Obiecałam sobie, że zacznę zwracać większą uwagę na rzeczy, które są nam wspólne, niż na te dziesiątki tysięcy nieistotnych drobnostek, które nas różnią. Może sprawi to, że stanę się bardziej wyrozumiała, a moja praca mniej stresująca.

- Od kiedy jesteś taka bystra? - zapytałam.

- Zawsze byłam. Po prostu musiało minąć siedemnaście lat, żebyś to zauważyła.

- Zauważyłam to wcześniej. Kocham cię - wyznałam.

- Wiem, że zauważyłaś - odpowiedziała Julie. - Też cię kocham. Obiecuj, że będziesz ostrożna.

- Obiecuję - zapewniłam. - Jeśli tego byłoby mało, to pamiętaj, że pracuję z najbardziej ostrożnym człowiekiem na kuli ziemskiej.

- To dziwak. Ale niektóre jego dziwactwa są bardzo dobre - stwierdziła Julie.

Pożegnałyśmy się, włożyłam telefon do torebki i wyszłam na obiad do Dorothy's Chuckwagon.

Crystal DeRosso nie pracowała tego wieczoru w restauracji i nie było tam nikogo, kogo bym знаła, więc mogłam spokojnie pochłonąć dwa cheeseburgery z milkshakiem, w kompletnej anonimowości i bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Potem wróciłam do motelu, położyłam się do łóżka i otworzyłam pamiętniki Abigail Guthrie, aby przed snem poczytać jeszcze trochę o Artemisie Monku.

Nadwyczajny pan Monk

Sprawa szlaku podejrzanego gardła

(Z pamiętników *Abigail Guthrie*)

Opaly, Kalifornia 1856

Przybijałam właśnie nad gankiem nowo wybudowanego, idealnie kwadratowego domu pana Artemisa Monka tabliczkę z napisem NIE LIZAĆ OKRUCHÓW SKALNYCH, kiedy podszedł do mnie szeryf Wheeler. Była to pierwsza wizyta szeryfa, odkąd wprowadziliśmy się do nowego domu, który służył panu Monko-wi również jako biuro i laboratorium do analiz probierczych. Budynek stał dokładnie w środku idealnie kwadratowej posesji, której każdy narożnik oznaczony był świeżo posadzonymi drzewkami.

- Dzień dobry, pani Guthrie - powiedział szeryf, szarmancko chyląc przede mną kapelusza.

- Dzień dobry, szeryfie - przywitałam się.

Wheeler skinął głową w kierunku tabliczki.

- Aż się boję zapytać, o co tu chodzi.

- Wielu poszukiwaczy złota gromadzi się na naszym ganku i czeka na wynik analiz pana Monka - powiedziałam.

Wheeler podniósł brwi.

- Wciąż nie bardzo rozumiem.

- Widać, że nie spędza pan wiele czasu wśród poszukiwaczy złota.

- To prawda. Staram się trzymać od nich z daleka - powiedział szeryf. - Kąpią się raz na rok, najwyżej dwa.

- Mówi pan jak Monk.

- To jedna z niewielu kwestii, w których jesteśmy zgodni.

- Cóż, gdyby pan widział ich, jak się zbierają i per-

traktują między sobą, wiedziałby pan, że poszukiwacze złota mają w zwyczaju oddawać swoje grudki do analizy, zachowując pewien rytuał. Wheeler podniósł jedną brew.

- Że co?

- Każdy poszukiwacz, zanim podniesie do oczu grudkę, liże ją najpierw, usuwając pył, aby kruszec lśnił. Pan Monk nie tylko widzi w tym odrażającą manierę, ale uprzedza, że nie weźmie do ręki żadnej grudki, która została zaśliniona.

- Monk ma mnóstwo zasad - westchnął szeryf. - Nie wiem, jak potrafi pani je spamiętać.

- Wręczył mi listę. Ma niespełna pięćdziesiąt stron.

- Jak miło z jego strony.

- Pan również dostanie listę. Właśnie ją dla pana przepisuję, ale nie jestem zbyt biegła w pisaniu,

- Proszę się nie śpieszyć. Może sobie pani kaligrafować latami, jeśli ma pani ochotę.

Uśmiechnęłam się.

- Co pana do nas sprowadza?

- Potrzebna mi pomoc Monka.

- Ma pan jakąś grudkę do analizy?

Wprowadziłam szeryfa do środka.

Monk siedział przy biurku, pochłonięty pisaniem kolejnego listu do Samuela Colta, wynalazcy sześciostrzzałowca. Nie musiałam czytać listu, by wiedzieć, co jest w nim napisane:

Szanowny Panie!

Pańska najnowsza broń palna jest naprawdę dobra. To wzorcowy egzemplarz. Niemniej jednak wymaga jeszcze pewnych subtelnych udoskonaleń. Trudno mi się oprzeć wrażeniu,

że w obecnej formie swojego wynalazku znajduje się Pan dopiero w połowie drogi.

Ostatnie jego cztery oficjalne pisma, błagające pana Colta, aby przyśpieszył prace nad produkcją rewolweru dziesięciopistoletowego, pozostały bez odpowiedzi. Monk był jednak przekonany, że za brak odpowiedzi należy winić słabo funkcjonującą pocztę lub inne nieoczekiwane przeszkody, a milczenie z całą pewnością nie jest oznaką nieokazywania szacunku ze strony pana Colta. Pan Monk konsekwentnie więc pisał te same słowa i wysyłał ten sam list. Był w tym co najmniej uporczywie wytrwały, jeśli nie na granicy obsesji.

Monk podniósł wzrok na szeryfa i odłożył pióro.

- Ciesz się, że pana widzę, szeryfie. Musimy pilnie omówić pewną sprawę.

- Ta sprawa będzie musiała poczekać...

- Chodź o plagę gry w trzy karty - nie dał mu dokończyć Monk. - Trzeba wreszcie z tym skończyć.

- Mówiłem już, że nie mogę zabronić hazardu. Ludzi nie obchodzi, że ktoś ich robi w balona. Przeciwnie, znajdują w tym uciechę.

- Jeśli chcą być oszukiwani, to oczywiście ich problem - przyznał Monk. - Ale gra karciana z trzema kartami to pogwałcenie wszystkich świętości i podważanie podwalin ludzkiej cywilizacji. Tego już nie można tolerować.

- Później o tym porozmawiamy - obiecał Wheeler. - Zamordowano brutalnie człowieka, a jego działkę ograbiono ze złota. Nie mam pojęcia, kto jest winien tej zbrodni.

- Co to ma wspólnego ze mną? - zapytał Monk.

- Sprawę zabójstwa Barta Spicera rozwikłał pan,

nie dokonując oględzin zwłok i nie fatygując się do jego kopalni - powiedział szeryf. - Pomyślałem, że z tą sprawą upora się pan równie szybko.

- Dlaczego miałbym się w ogóle do tego brać?

- Dla dobra naszej małej społeczności i pańskiego bliźniego - odpowiedział szeryf.

- Z tego właśnie powodu powinniśmy wyplenić w naszym miasteczku hazardową grę w trzy karty. To sprawa fundamentalnej przyzwoitości ludzkiej.

Wheeler westchnął ciężko.

- Zawrę z tobą układ, Monk. Jeśli rozwikłasz sprawę tego morderstwa, w Opałach będzie można grać wyłącznie w cztery karty.

Monk się uśmiechnął i wstał.

- W takim razie zabierajmy się do dzieła i za prowadźmy cywilizację w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu.

Do morderstwa doszło na działce nad rzeczką Cripple Creek, jakieś trzy kilometry za Opałami. Jej właścicielami było czterech poszukiwaczy. Kiedy tam szliśmy, szeryf Wheeler przybliżył nam szczegóły tego, co się wydarzyło.

Raz w miesiącu trzech z czwórki poszukiwaczy schodziło na noc do miasta, aby się zabawić, podczas gdy czwarty zostawał w chacie i pilnował złota. Dyżur pełnili rotacyjnie, w ustalonym porządku.

Kiedy dzisiaj nad ranem trzech poszukiwaczy powrócili do obozowiska, zobaczyli, że ich kompan nie żyje, a całe złoto zniknęło.

Jeden z nich natychmiast poszedł do miasteczka po szeryfa, który ze swoim zastępcą Parleyem Weaverem rozpoczął śledztwo.

- Zabójstwa mógł dokonać każdy i, co gorsza, zapewne jest już daleko stąd - mówił Wheeler. - Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Jestem stróżem prawa, nie detektywem. Utrzymywanie porządku w mieście to moja specjalność, bo nie wymaga myślenia.

- Jest pan dla siebie zbyt surowy, szeryfie — zapewniłam go. - Umacnianie władzy, budowanie autorytetu wśród miejscowej społeczności, pośredniczenie w sporach czy zaprowadzanie ładu nie należą do łatwych obowiązków. Niewielu ludzi się do tego nadaje.

- Wystarczy mocna pięść, szybki ruch do kabury i gorący temperament - ciągnął szeryf Wheeler. - Najlepszy jestem wtedy, gdy nie ma czasu na myślenie.

- Ale potrafi pan wytropić człowieka - powiedział Monk.

Wheeler przytaknął.

- Potrafię iść tropem, jeśli mam go przed oczami.

- To właśnie praca detektywa - wyjaśnił Monk. - Wszystko podlega pewnemu porządkowi. Wie pan, w jaki sposób powinny wyglądać rzeczy. Widzi pan, czego brakuje, co pozostaje z boku, co jest przesunięte. Widzi pan bałagan. To jest ślad, szlak, którym trzeba podążyć.

- Morderstwa nie pozostawiają żadnych szlaków.

- Po wszystkim pozostają szlaki, szeryfie - przekonywał Monk. - Ludzie nic nie potrafią zrobić, nie zostawiając bałaganu. Dzięki temu szybko się dowiemy, kto jest mordercą i gdzie go znajdziemy.

Zrozumiałam wtedy, dlaczego Monk tak lubił skały. Ich naturalne składniki nie zmieniają się i podlegają stałemu porządkowi. Skały są trwałe,

uporządkowane i zawsze można na nich polegać. Złoto to złoto, węgiel to węgiel. Gdy wokół panoszy się chaos, Monk znajduje wytchnienie w niezmienności skał.

Skały nigdy się z niego nie naśmiewały, nie zawiodły jego oczekiwań, nie złamały serca. Miałam wrażenie, że jego doświadczenia z ludźmi to zupełnie inna historia i, co niewykluczone, tragiczna.

Nie wiedziałam wiele na temat poszukiwania złota, a jeszcze mniej na temat działki nad Cripple Creek. Ale potrafiłam sobie wyobrazić, jak bogata w złoża może być działka i jak bardzo właściciel chce na niej zostać i pracować, choćby w tymczasowym obozowisku.

Większość poszukiwaczy złota zaczyna od sieniaka, potem wykopuje ziemiankę, a później stawia szałas albo namiot. Potem zaczyna się klecenie chat z desek, wznoszenie domków z bali, a w końcu domów z prefabrykatów ze spadzistymi dachami, szybami w oknach i tak dalej. Ale jeśli człowiek rzeczywiście trafi na żyłę złota, przenosi się do willi w San Francisco, gdzie tylko liczy swoje pieniądze, gdy inni kopią za niego w ziemi. I tylko od czasu do czasu wyprawia się zobaczyć swoją kopalnię, wyruszając w drogę Złotym Ekspresem.

Trzej poszukiwacze złota kręcili się przed swoim domkiem z bali ze zwieszonymi głowami. Patrząc na solidną konstrukcję ich domu, skomplikowaną sieć śluz i skrzynek do wytrząsania złota, na wysokie hałdy przerzuconego żwiru i głębokie rowy, które wykopali, by doprowadzić do domu wodę ze strumienia, można było mieć pewność, że ludzie ci mozolnie pracowali na swojej działce, a natura wynagradzała ich za ciężki trud.

Jednak teraz nie było już żadnego wynagrodzenia, podobnie jak nie było już jednego z partnerów.

Dwaj z trzech mężczyzn mogliby być braćmi. Obaj mieli długie, bujne brody, włosy gęste jak krzaki na prerii, takie same wypłowiałe koszule, które niegdyś były może czerwone, ale teraz są sine, i takie same spodnie z postrzępionymi nogawkami, przytrzymywane bawełnianymi szelkami. Różniły ich tylko inne dziury w kapeluszach i bandany w różnych kolorach. Wydobyciego złota z całą pewnością nie wydawali na odzież. Mogłam się tylko domyślać, że większość zarobku trwonili w saloonach. Obaj mieli przekrwione oczy i tę niezdrową bladość cery typową dla ludzi, którzy dopiero wytrzeźwieli. Przypuszczam, że nie tak dobrze nie otrzeźwia człowieka jak odkrycie w swoim domu zakrwawionego trupa i brak wszystkich oszczędności.

Ich kolega, dla odmiany elegancik, siedział w cieniu drzewa. Co prawda ubrany był w równie obszarpane rzeczy, ale włosy i brodę miał starannie przystrzyżone, a do tego pachniał liliową wodą kwiatową. Musiał się nią mocno skropić, bo choć stał parę metrów dalej, a wiatr wiał w jego stronę, czułam, że zapach jest całkiem silny. Pomimo kwiatowej woni mężczyzna wyglądał równie blado jak koledzy, chociaż, jak przypuszczam, ta niedyspozycja wynikała bardziej z ponurej sytuacji niż podłej whiskey.

Razem z nimi siedział zastępca szeryfa Parley Weaver, który wyglądał nie mniej posepnie, choć nie stracił ani przyjaciela, ani fortuny. Weaver wstał ciężko z pnia, na którym siedział, i podszedł do szeryfa.

- Bardzo się cieszę, że pana widzę, szeryfie - powiedział. - Ciało zaczyna paskudnie cuchnąć. Nie

wiem, dlaczego nie pozwolił pan urządzić przyzwoitego pogrzebu, zanim się chłopak zepsuł.

- Chciałem, żeby Monk zastał wszystko tak, jak wyglądało na samym początku.

- Pete to nie hałda kamieni - powiedział elegancik, wstając. - Co Monk może tu pomóc? Dawno już powinniśmy zebrać ludzi i ruszyć w pościg.

- Za kim mam ruszyć w pościg, Pug? - zapytał Wheeler. - Jedyne ślady, jakie tu widzę, należą do was trzech. Ten, kto to zrobił, podkraść się, nie zostawiając tropu.

- To może jaki czerwonoskóry - wyraził przypuszczenie inny z poszukiwaczy. - Ci to się dobrze skradają i nieźle machają nożem. W lot mogą oskalpować, człowiek ledwie zdąży mrugnąć.

- W tej okolicy nie ma Indian, Elmore — odpowiedział podobny do niego kompan. - Za to panoszą się Meksykanie i szczwane Chińczyki. Jeszcze nigdy nie spotkałem uczciwego Chińczyka.

- Widziałem w miasteczku jakiegoś Chińczyka - ożywił się Elmore. - To mógł być on! Niech pan aresztuje tego Chińczyka, szeryfie.

- Nikogo nie będę aresztował, dopóki nie zdobędę dowodów - stwierdził spokojnie Wheeler.

- Wciąż nie rozumiem, po jakie lichy nam pierca - powiedział Pug.

- Aby dokonał analizy sytuacji. - Wheeler spojrział w stronę Monka. - Ci panowie to Pug Purdum, Elmore Portis i Alvie Bartell. Martwy mężczyzna w domu to Pete Cooley.

Szeryf wskazywał Monkowi każdego z mężczyzn.

- Ktoś poderżnął Pete'owigardło i zabrał nam złoto - rzekł Alvie. - Pete nawet nie zdążył wystrzelić.

- Gdzie było ukryte złoto? - zapytał Monk.
- Nie mieliśmy kryjówki - odpowiedział Elmore. - Trzymaliśmy je w puszkach na półce.
- Tak po prostu na widoku? - zapytałam.
- Niby czemu nie? - odparł Pug, opierając się o drzewo. - Najczęściej byliśmy tu wszyscy, pracując na działce. Jeśli musieliśmy dokądś pójść, to jeden lub dwóch z nas zostawało na miejscu. Byliśmy czujni.
- Czy wczorajszej nocy wasza trójka razem wyszła z obozowiska? - zapytał Monk, a wszyscy przytaknęli.
- Razem też wróciliście?
- Ja wróciłem pierwszy - powiedział Alvie. - Potem Pug, a na końcu Elmore.
- Nad ranem spotkałem Elmore'a na Main Street - wyjaśniał Pug. - Byliśmy prawie w połowie drogi do domu, gdy napotkaliśmy rozgorączkowanego Alviego.
- Biegłem do miasta po nich i szeryfa - wyjaśnił Alvie.
- Co pan robił w nocy? - zapytał go Monk.
- Topiłem w whiskey swoje smutki — odpowiedział Alvie z krzywym uśmiechem. -I jeszcze pańskie. Grałem w karty i piłem, dopóki nie opróżnił mi się trzos.
- Gdzie pan spał?
- Na stołku barowym - odparł Alvie. - A jak z niego spadłem, to na podłodze.
- Monk kiwnął głową, ściągając brwi z dezaprobatą, a potem przeniósł wzrok na Elmore'a.
- A jak pan spędził noc?
- Mniej więcej tak samo, tyle tylko, że ostatnią szczyptą złota opłaciłem sobie spanie w stajni u Lippy'ego - odrzekł Elmore. - Byłem zbyt pijany, by wrócić do obozowiska.

Monk spojrział teraz na Puga.

- Jak pan się bawił minionej nocy?

- Tak samo jak co miesiąc - odpowiedział zapytany. - Odwiedziłem golibrodę, gdzie zamówiłem gorącą kąpiel, strzyżenie i przycięcie brody, a potem poszedłem do hotelu dobrze się najęść.

- Gdzie pan spał?

Pug przestąpił niepewnie z nogi na nogę, starając się nie patrzeć w moją stronę.

- Z pewną panią, e... przyjaciółką.

- Pewną panią pewnych obyczajów? - zapytał Wheeler.

- W miasteczku są najwyżej dwie, trzy niezamężne panie, które nie są pewnych obyczajów - stwierdził Pug i odwrócił się do Monka. - Każdy mężczyzna ma swoje potrzeby, pan rozumie.

Jeśli Monk to rozumiał, to nigdy nie dawał tego po sobie poznać. Był jedynym mężczyzną w mieście, który ani razu nie spojrział na mnie pożądlivym wzrokiem. Nawet szeryf Wheeler raz czy drugi rzucił mi łakome spojrzenie, ale nie miałam mu tego za złe. Nie jego wina, że targają nim stare tęsknoty. Wciąż jest krzepki, a krew buzuje w nim jak w każdym innym.

Poza Monkiem. W swojej umiejętności unikania używek i pokus Monk był niemal jak ksiądz. Co nie znaczy, że uważam go za zimnego człowieka. Potrzebował towarzystwa, co prawdopodobnie było głównym powodem zatrudnienia mnie w swoim biurze. Artemis Monk był nadzwyczaj samotny.

Był też spragniony uczuć, ale nie wyrażało się to w potrzebie fizycznej intymności. Wydaje mi się, że bliskość innych wyczuwał w ich zachowaniu, w tym, ile poświęcali mu uwagi i na ile umieli zaakcepto-

wać jego dziwactwa. Jeśli tak na to patrzeć, to powiedziałabym, że najbardziej szczerze uczucia okazywał mu na co dzień szeryf Wheeler i ja.

- Ja gorącą kąpiel zostawiłbym na koniec - odezwał się zastępca szeryfa. - Niektóre z tych pań pewnych obyczajów są obrzydliwsze od maciory.

- Nie interesuje nas, co byś zrobił, Parley - rzucił Wheeler.

- Ja w ogóle zrezygnowałbym z kąpeli i kupił sobie jeszcze drinka. Umyć to się mogę w strumyku - stwierdził Alvie.

- Napić też się możesz w strumyku - powiedział Pug.

- Woda nie daje takiego kopa. Pug, ty nie umiesz się dobrze zabawić.

- Za to mam jeszcze złoto w mieszku, a ty? - zapytał Pug.

Elmore wzruszył ramionami.

- Złota jest więcej tam, skąd je bierzemy. W ziele mi go pełno. Skoro nie umiesz używać życia, nie ma sensu pracować.

Wiedziałałam, że Monk prawdopodobnie bardziej zgadzał się z Pugiem niż Elmore'em. Każdy mężczyzna, który się regularnie mył, miał u Monka wielki szacunek. Poza tym jestem pewna, że kobietę, z którą Pug spędził noc, ucieszył widok klienta umytego i pachnącego wodą kwiatową.

Monk wziął głęboki wdech i ruszył w kierunku domu. Poszłam za nim.

Nie byłam pewna, co mam robić. W ogóle nie chciałam oglądać martwego człowieka, zwłaszcza brutalnie zamordowanego, ale byłam asystentką Monka i mógł mnie w każdej chwili potrzebować.

Ale nie to było prawdziwym powodem, dla które-

go weszłam razem z nim do środka. Ciekawiło mnie, jak Monk rozwikła sprawę tego zabójstwa, zakładając, że to w ogóle było możliwe.

Monk otworzył drzwi i zniknął we wnętrzu. Ja stanęłam przed progiem, powstrzymana odpychającym zapachem i makabrycznym widokiem.

Pete Cooley leżał na boku na brudnej podłodze w kałuży zakrzepłej krwi. Krwawe ślady znajdowały się również przed nim na ścianie. Jego krtań, niczym drugie usta, ziała rozplątana w ponurym, szyderczym uśmiechu od ucha do ucha.

Był człowiekiem o suchej, ziemistej twarzy, z zapadniętymi, smutnymi oczyma. Ale może to śmierć lub to dziwne ułożenie ciała nadawały Pete'owitaki wygląd. Może za życia lica pałały mu różem, a on sam był bardzo wesoły. Tego już się nie dowiem.

Na pasku Pete'a znajdował się nóż schowany w pochwie, a na podłodze, tuż przy jego wyciągniętej jak struna ręce, leżała rozbita butelka whiskey.

Monk kucnął przy ciele. Spodziewałam się, że na widok takiej ilości krwi zrobi mu się niedobrze, ale nic z tych rzeczy. Zwłoki badał z takim zajęciem, jakby analizował grudkę skały. Powąchał nawet włosy leżącego człowieka.

Szeryf Wheeler stał u mojego boku i oboje w milczeniu go obserwowaliśmy. Monk zaczął chodzić wolno po domu, wykonując ten swój przedziwny taniec.

Wyciągnął przed siebie ręce i podniósł prosto dłonie, patrząc przez ramkę utworzoną z palców. Dzięki temu mogłam poznać, kiedy jego uwaga przenosi się z żelaznego piecyka na puste puszki na podłodze, z narzędzi górniczych w narożniku na ławy przy stole, a w końcu ze strzelb wiszących na ściennym wieszaku na cztery koje, na których sypiali mężczyźni.

Potem opuścił ręce, poruszył niezgrabnie ramionami i przechylił głowę z jednej strony na drugą. Nie ruszając się z miejsca, spojrział przez lewe ramię w okno, które było ledwie wyciętym w drewnianej ścianie otworem. Zobaczył drzewo i czekających na niego przed domem mężczyzn.

Na stoliku leżało parę skalnych grudek. Monk wziął dwie do ręki, przyjrzał się im uważnie i podszedł do nas. Na jego twarzy rysował się pogodny, pełen zadowolenia wyraz, jaki do tej pory widziałam u niego tylko raz, w dniu, kiedy nie wypatrzyliśmy w miasteczku ani jednej wykrzywionej, pękniętej lub brakującej deski w chodnikach na Main Street.

W tym momencie wiedziałam z absolutną pewnością, że Artemis Monk rozwiązał zagadkę morderstwa Pete'a Cooleya.

- Niech mnie kule -mruknął szeryf Wheeler, głosem stłumionym przez sumiaste wąsiska.

Odsunęliśmy się, robiąc miejsce Monkowi, który podszedł do zastępcy Weavera i trzech poszukiwaczy złota.

- Przyjrzałem się tym dwóm grudkom skalnym na waszym stole - powiedział Monk, rzucając jedną grudkę Alviemu, który złapał ją prawą ręką, a drugą Pugowi, który złapał ją lewą ręką. - Pochodzą z waszych ostatnich odkrywek?

- Owszem - stwierdził Alvie. Polizał grudkę i podniósł ją do oczu. - Jesteśmy coraz bliżej wielkiej żyły złota.

- Niech pan aresztuje tego człowieka, szeryfie - powiedział Monk do Wheelera.

- Alvie zamordował Pete'a Cooleya?

- Nie, ale widział pan, jak polizał grudkę? Odra-

żające. Bóg jeden wie, co on jeszcze liże. Zamknięcie go za kratkami będzie przestrożą dla wszystkich, aby trzymać język w ustach, tam, gdzie jest jego miejsce.

- Interesuje mnie tylko zamykanie morderców, Monk.

- Zaczyna się od lizania grudek, a kończy na zabójstwach - orzekł Monk. - Niech pan zapyta Puga Purduma.

- Co ja mogę o tym wiedzieć? - zdziwił się Pug.

- To pan zamordował Pete'a Cooleya - oświadczył Monk.

- Pan chyba oszalał - zachnął się Pug. - Nikogo nie zabiłem.

- Wiedziałem, że to któryś z was trzech, kiedy szeryf Wheeler powiedział, że poza waszymi nie znalazł tutaj żadnych śladów - powiedział Monk. - Ale jeśli nie wiedziałbym wtedy, wiedziałbym to natychmiast po wejściu do waszego domu. To się rzucało samo w oczy.

- Mnie się nic nie rzuciło - wtrącił się szeryf.

- Pete nie sięgnął po nóż czy pistolet - mówił dalej Monk. - Ponieważ ufał osobie, która weszła do domu. W przeciwnym razie nie odwróciłby się do niej plecami. Zabójca chwycił go prawą ręką za włosy, a lewą poderżnął mu gardło.

- Monk, skąd wiesz, której ręki używał? - zapytał Wheeler.

- Po prostu szedłem szlakiem, w tym przypadku szlakiem rany poderżniętego gardła Pete'a Cooleya. Cięcie zaczyna się wysoko i płytko z prawej strony szyi, potem schodzi łukiem ku lewej stronie, znacznie się pogłębiając. Ma to wiele wspólnego z pracą rąk. - Monk podniósł patyk i stanął za

mną, aby zademonstrować, jak przebiegał napad. -
Mogę?

Przytaknęłam milcząco. Monk złapał mnie za włosy, odciągnął mi głowę do tyłu, a potem wolno przeciągnął patykiem po mojej odsłoniętej szyi.

- Niezwykle trudno jest przeciąć komuś gardło od tyłu, nie kończąc cięcia niżej i głębiej w stosunku do miejsca, gdzie je rozpoczęto, bez względu na to, którą ręką się tego dokonuje. Teoretycznie jest to możliwe, ale byłoby to niewygodne do uczynienia, nieporęczne i mało prawdopodobne, ponieważ na pastnik chce działać błyskawicznie, by nie dać ofierze czasu na skuteczną obronę.

Monk dopiero teraz mnie puścił. Po raz pierwszy naprawdę mnie dotknął, a zrobił to po to, aby pokazać, jak dokonano brutalnego morderstwa. Być może czułabym się z tym dziwnie, gdybym nie pamiętała, że byłam w gronie słuchaczy jedyną osobą, może poza Pugiem, która ma czyste włosy.

Byłam też jedyną osobą w tym gronie, niewykluczone że również poza szeryfem Wheelerem, której Monk odważyłby się dotknąć z pełnym poczuciem bezpieczeństwa.

Myśląc nad tym, doszłam do wniosku, że rekonstrukcja zdarzenia udowodniła dwie rzeczy; w jaki sposób popełniono morderstwo i jak wielkim zaufaniem obdarzał mnie Artemis Monk.

Był to dla nas istotny punkt zwrotny, choć Monk, jeśli również to sobie uświadomił, nie dał tego po sobie poznać.

- Pug jest mańkutem - stwierdził Monk, wskazując go patykiem. - Alvie i Elmore są praworęczni.

- Skąd pan wie, że Elmore również nie jest mańkutem? - zapytał zastępca Weaver.

Monk znieca rzucił patyk w Elmore'a, który instynktownie się osłonił i odtrącił patyk prawą ręką.

- Rachunek prawdopodobieństwa był na moją korzyść - stwierdził Monk. - Zresztą od razu wiedziałem, że to Pug. Tylko on nie był zbyt pijany na obezwładnienie Pete'a. Oto, co się stało...

Monk wyjaśnił, że trzej poszukiwacze złota wyruszyli do miasteczka, zostawiając Pete'owi w domu parę butelek whiskey, żeby mu się nie nudziło. Z tej trójki każdy poszedł swoją drogą. Pug spokojnie wziął gorącą kąpiel i jadł obiad, aby Pete mógł się w tym czasie mocno upić. W ten sposób łatwiej mu było obezwładnić kompana.

Zatem Pug wrócił do domu, zabił Pete'a, a potem jeszcze raz zszedł do miasteczka i resztę nocy spędził w towarzystwie pani lekkich obyczajów.

- Znam sekwencję zdarzeń, ponieważ Pete lekko pachnie liliową wodą kwiatową - mówił dalej Monk. - Pug był już po kąpieli i kiedy mordował Pete'a, woń przeszła też na ofiarę.

- Jeśli Pete pachnie wodą kwiatową, to dlatego, że przewróciłem go na bok, kiedy rano przyszedłem z miasta - powiedział Pug. - Chciałem zobaczyć, co mu jest.

- To prawda. Widziałem to na własne oczy - potwierdził Elmore.

- Oczywiście, że pan widział - powiedział Monk. - Ponieważ Pug chciał, żeby pan widział, na wypadek gdyby ktoś wyczuł u Pete'a zapach.

- Pańska historia nie trzyma się kupy - stwierdził Alvie. - Jeśli Pug ukradł złoto, dlaczego z nim nie uciekł?

- Ponieważ na waszej działce jest jeszcze dużo złota do wydobycia.

- Każdy wie, że ten facet to wariat - rzucił Pug, opierając się plecami o drzewo, aby pokazać, z jakim spokojem i beztrząsą przyjmuje argumentację Mońka. - Jeszcze pięć minut temu chciał cię aresztować za polizanie grudki, Alvie. Musi być niezłe pokręcony. Dwóm koniom nie da się napić z jednego koryta. Nazwę Trzeciej Ulicy zmienił na Drugą Drugą Ulicę. Dziś znowu plecie dyrdymały.

Elmore gładził niepewnie brodę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

- Jeśli Pug ukradł złoto, gdzie ono jest? - zapytał w końcu.

Monk się uśmiechnął.

- Można się tego domyślić po bałaganie w domu.

- Można? - zapytał Wheeler.

- Każdy inny zabójca chciałby dostać się do wnętrza domu i opuścić je tak szybko, jak tylko byłoby to możliwe. Zabrałby złoto w puszkach i nie traciłby czasu na ich przesywywanie do innego pojemnika - tłumaczył Monk, odwracając się do trzech poszukiwaczy. - Jednak Pug nie mógł zabrać do miasteczka złota w puszkach ani w żadnym innym pojemniku. Nie mógł ryzykować, że ktoś go przyuważy z taką dużą ilością złota. Musiał więc je ukryć, najlepiej w takim miejscu, na które nie natknie się ani żaden z towarzyszy, ani nikt przypadkowy. W miejscu, gdzie może bezpiecznie leżeć miesiącami, a jednocześnie on będzie mógł je mieć na oku dzień i noc.

- Nie rozumiem, jak takie myślenie może prowadzić do wskazania konkretnego miejsca, gdzie jest teraz złoto - stwierdził Alvie.

- Musi to być miejsce, którego Pug nie spuszczałby z oczu podczas pracy, a także podczas odpoczynku na swojej koi - mówił Monk. - Spojrzałem zatem

w okno i co zobaczyłem? Drzewo. Drzewo, które wi-
dać z każdego miejsca na działce i przy którym Pug
stoi jak przyklejony, odkąd tu jesteśmy.

- Mówię wam, Monk to wariat. Słuchacie faceta,
który boi się mleka - powiedział Pug.

Monk zrobił krok w jego kierunku.

- Nietrudno sprawdzić. Zacząłbym od tej dziupli
po sęku nad jego głową.

Alvie odsunął Puga, wspiał się na drzewo i się-
gnął ręką do dziupli. Wyciągnął z niej pękaty wo-
reczek pełen złotego pyłu.

Elmore rzucił się na Puga, zwałił go na ziemię i
zaczął okładać pięściami. Wheeler z trudem ich
rozdzielił, a Weaver podniósł zabójcę.

- Dlaczego to zrobiłeś?! - krzyczał Elmore. - Dla-
czego wzięłeś nasze złoto?

- Lepiej, że ja zabrałem wam złoto, niż żebyście
przetracili je w saloonach i przegrali w karty - po-
wiedział Pug, któremu ciekła z nosa krew. - Wyrzu-
cacie je w błoto. W ten sposób nigdy się nie wzboga-
cimy.

- Ty miałeś swoją część, my swoją - powiedział
Alvie, który zeskoczył na ziemię, zostawiwszy na
razie woreczek ze złotem w dziupli. - Co cię obcho-
dzi, co robimy ze swoimi pieniędzmi?

- Kapitał. Pieniądze muszą zarabiać pieniądze.

- Pieniądze chomikowane w mieszkku do niczego
się nie nadają- stwierdził Elmore.

- Właśnie przez takie podejście kopalibyśmy tu
do końca świata i nie posunęli ani krok naprzód -
stwierdził Pug. - Byłoby kwestią czasu, aby takie
fujary jak wy popadły w tak wielkie długi, że mu-
sielibyście wszystko sprzedać, a ja sam nie miałbym
dość pieniędzy na wykupienie waszych udziałów.

Musiałem coś zrobić, żeby siebie ratować. Do tego miało mi służyć to złoto. Sami jesteście sobie winni.

- Będziesz wisiał, Pug - stwierdził Alvie. - Jeśli mogę mieć tu coś do powiedzenia, to mam nadzieję, że zawisniesz na tym drzewie.

- Jeśli o mnie chodzi, będzie to sprawiedliwe rozwiązanie - orzekł szeryf i odwrócił się do Monka. - I koniec z grą w trzy karty w Opalach.

Monk westchnął z zadowoleniem i ruszyliśmy w drogę powrotną do miasteczka.

Detektyw Monk potrzebuje pomocy

Z głębokiego snu obudził mnie przenikliwy, irytujący terkot telefonu. Wpółprzytomna i zasnana sięgnęłam po swój telefon komórkowy. Po chwili dotarło do mnie, że nie jest to dźwięk mojej komórki, lecz grzmienie starego aparatu telefonicznego, który stał na nocnej szafce przy łóżku. Porwałam słuchawkę.

- Halo?!

- Tu Clifford Adams - usłyszałam w potwornie chroboczącej słuchawce; z trudem rozumiałam słowa. - Muszę się z wami natychmiast zobaczyć.

Zamrugałam ciężko powiekami i spojrzałam na radiobudzik. Nie było jeszcze szóstej rano.

- Po co taki pośpiech?

- Wiem, kto zabił strażnika z muzeum.

Te słowa natychmiast mnie otrzeźwiły. Usiadłam na łóżku.

- Niech pan do nas przyjedzie.

- Nie. Wy przyjdźcie do mnie. Chcę żyć.

Po tej ponurej uwadze Adams odłożył słuchawkę.

Jeśli moje życie miało ścieżkę dźwiękową, a bardzo często zdawało mi się, że ma, był to idealny moment na mocny, mrozący krew w żyłach, długo wybrzmiewający akord.

Usłyszałam go. Zadudnił głucho jak odległy grzmot.

Monk już nie spał, kiedy o szóstej dziesiątej zastukałam do jego drzwi. Położył się spać dokładnie o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt, zatem zasnął nie później niż o dwudziestej drugiej, nastawiając sobie budzik na szóstą rano, co dało mu równe osiem godzin snu.

Jednak nie otworzył na moje pukanie. Powiedział, że na zagotowanie wody w czajniku elektrycznym, dezynfekcję szczoteczki, umycie zębów i ponowną dezynfekcję szczoteczki potrzebuje co najmniej dwadzieścia minut. Potem będzie jeszcze potrzebował dwóch godzin na kąpiel i posprzątanie łazienki.

- Oczywiście jeśli będę się śpieszył - zakończył.
- Ma pan dwadzieścia minut - oznajmiłam. - Potem wchodzi bez pukania.
- Nie masz klucza.
- Owszem mam. Kiedy nas meldowałam, poprosiłam menadżera o zapasowy komplet.
- Po co?
- W razie nieprzewidzianych wypadków. Właśnie taki zaistniał.

Dwadzieścia minut później Monk wyszedł z pokoju, ale nie miał szczęśliwej miny. Przez większą część drogi w samochodzie wycierał chusteczkami Wet Ones ręce, szyję i twarz, aby uniknąć, jak to ujął, „katastrofalnego niedomagania narządów wewnętrznych i śmierci w wyniku wstrząsu septycznego”.

W zwirową drogę prowadzącą do baraku Cliffor-

da Adamsa skręciłam ostro i na dużej szybkości. Nie chciałam, żeby Monk zauważył smugę po oponie, którą zostawiłam tu dzień wcześniej, i poprosił, abym się zatrzymała i zaczęła ją czyścić.

Spojrzenie, którym mnie obrzucił, dobitnie jednak świadczyło o tym, że nie da się wystrychnąć na dudka.

Z rozpędu nie zauważyłam wyrwy w drodze i wjechałam w nią z takim impetem, że gdybyśmy nie byli zapięci pasami bezpieczeństwa, wyrznelibyśmy głowami w sufit. Mimo pasów zatrzęsło nami solidnie i byłam pewna, że przednie koła samochodu straciły geometrię.

Monk wziął w obie dłonie po chusteczce i oparł się mocno o półkę przed sobą.

- Życzysz sobie śmierci? - zapytał.

- Martwię się o pana Adamsa - odpowiedziałam.

- Nie podobał mi się ton, jakim powiedział, że „chce żyć”.

- Ja też chcę żyć - zasugerował Monk. - Czy mogłabyś okazać mi równie daleko idącą troskę?

Podskakując i telepiąc się na nierównościach drogi, dotarliśmy w końcu na miejsce. Tym razem, ku mojemu zaskoczeniu, Monk wręcz wyskoczył z samochodu.

Wyszłam zaraz i dołączyłam do niego, gdy szedł już w kierunku baraku.

- Jak to, dzisiaj się pan nie zamyka od środka w samochodzie? - zapytałam.

- Tu jest bezpieczniej.

Zapukałam do drzwi.

- Panie Adams? Tu Natalie Teeger i Adrian Monk.

Nie usłyszałam żadnej odpowiedzi. Zapukałam jeszcze raz. Cisza jak makiem zasiał. Docierało do

nas tylko ciche skrzypienie przerdzewiałych łopat wiatraka, obracających się wolno na lekkim wietrze. Monk przestąpił z nogi na nogę.

- Panie Adams?! - zawołałam głośniej. - Jest pan tam? Nic się panu nie stało?

Próbowałam otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz.

Obejrzałam się przez ramię na latrynę, a potem spojrzałam na Monka.

- Nie patrz tak na mnie. Ja nie pójdę — powie dział.

Westchnęłam i ruszyłam ciężkim krokiem w stronę latryny. Szłam pod wiatr i kiedy mocniej zawiało, poczułam tak gryzący, obrzydliwy smród, że musiałam się przemoc, aby nie zawrócić i nie uciec. Jak Adams mógł tutaj codziennie chodzić?

Zatkałam nos i oddychałam przez usta, ale poczułam smak odoru, co było jeszcze gorsze niż jego woń.

Doszłam do latryny i zapukałam w drzwi. Ostatniej rzeczy, jakiej teraz pragnęłam, to zaskoczyć Adamsa w jego przybytku.

- Panie Adams?

Gdy nikt nie odpowiedział, powoli otworzyłam drzwi. Smród uderzył w moje nozdrza i opadła mnie chmara much. Zajrzałam do środka, aby się upewnić, że nie ma tam Clifforda Adamsa, a potem czym prędzej zamknęłam z trzaskiem drzwi.

Praktycznie biegłam z powrotem do Monka, który przez cały ten czas nie ruszył się z miejsca o centymetr.

- Może wyjechał - powiedział Monk.

- Przed barakiem stoi pick-up. Może Adams pracuje w kopalni? - zastanawiałam się głośno.

- Tam na pewno nie wejdę - rzucił od razu Monk.

- Wiem. Ale może usłyszy nas, kiedy podejdzie my pod wejście i zawołamy go po imieniu.

Ruszyliśmy z boczem pod górę, w kierunku wejścia do kopalni, kiedy Monk zatrzymał się, odwrócił w lewo i dziwnie przechylił głowę. Coś mu wpadło w oko.

- Co się stało? - zapytałam.

- Czy to nie Clifford Adams?

Wskazał ręką głązy sterczące wśród wysokich traw, oddalonych od nas o jakieś pięćdziesiąt metrów. Przy jednym z nich siedział oparty o niego plecami jakiś człowiek. Głowę miał zwieszoną, jakby spał.

- Nie wiem - odpowiedziałam i niemal biegiem ruszyłam w kierunku głązów.

Monk pospieszył za mną, z trudem dotrzymując mi kroku.

- Co on robi tak daleko?

- Nie mam pojęcia. Ale może potrzebować pomocy. Stąd wygląda na nieprzytomnego.

- Może tylko uciął sobie drzemkę?

- O siódmej trzydzieści rano? - zapytałam. - Może coś mu się stało? Może ukąsił go wąż? Albo skorpion?

Natychmiast pożałowałam tych słów.

Monk stanął jak wryty.

- W takim razie powinniśmy pobiec z powrotem do samochodu i zamknąć się w nim od środka.

Odwróciłam się do niego twarzą.

- Chce pan, żebyśmy odjechali, nie sprawdzając, czy Adamsowi nie stało się coś złego?

- Wrócimy do miasteczka i sprowadzimy pomoc. Już oni się nim zajmą.

- Do tego czasu może być za późno. On może potrzebować pomocy w tej chwili.

- Jeśli jednak został ukąszony, to wąż i skorpion mogą tam czekać właśnie na nas.

- W takim razie co pan proponuje?

Monk zwinął dłoń w trąbkę, przytknął ją do ust i krzyknął.

- PANIE ADAMS! CZY TO PAN? CZY NIC SIĘ PANU NIE STAŁO?

Żadnej odpowiedzi. Staliśmy zbyt daleko, aby stwierdzić, czy jest to Clifford Adams czy też nie. W każdym razie osoba ta ani drgnęła.

- Idę - postanowiłam. - Niech pan robi, co chce.

Puściłam się biegiem w kierunku głazów.

- Czekaj - zawołał Monk, ruszając za mną. - Co się stanie ze mną, jeśli coś cię ukąsi?

Gdy znalazłam się bliżej, zobaczyłam, że mężczyzna siedzący pod głazem to istotnie Clifford Adams - głowę miał spuszczoną na piersi, a nogi rozrzucone dziwnie przed sobą.

Tknęło mnie źle, bardzo źle przeczucie.

Właśnie wtedy za plecami usłyszałam gwałtowny rumor. Obróciłam się w ułamku sekundy i zdążyłam tylko zobaczyć, jak Monk znika pod ziemią - jakby nagle otworzyła się pod nim zapadnia. W jednej sekundzie był na ziemi, a w następnej, w miejscu gdzie stał, unosił się tylko tuman kurzu.

- Panie Monk! Panie Monk! - krzyczałam.

Podbiegłam do miejsca, w którym zniknął, i zobaczyłam potężną dziurę, częściowo jeszcze zakrytą resztkami próchniejącej, przysypanej ziemią dytki.

Padłam na kolana, odsunęłam dyktę i pochyliłam się na krawędzią dziury, wyteżając wzrok. Dół wydawał się nie mieć dna. Panowała w nim nieprzenikniona ciemność.

- Natalie - zakwilił Monk.

Znajdował się dwa metry niżej, przytulony do ściany, trzymając się kurczowo jakiegoś występu skalnego.

Machał nogami, rozpaczliwie próbując znaleźć oparcie dla stóp. Ten ruch, w połączeniu z ciężarem ciała, powodował, że kamień, którego się trzymał, zaczął się obluzowywać.

- Niech się pan nie rusza! - zawołałam. - Niech pan się uspokoi!

- Spadnę - jęknął.

- Nie spadnie pan. - Położyłam się na brzuchu, podczołgałam się nad brzeg jamy, najbliżej jak mogłam, nie ryzykując, że sama do niej wpadnę, i wyciągnęłam prawą rękę. - Niech pan chwyci moją dłoń.

Monk wyciągnął lewą rękę, ale dzielił nas dobry metr.

- Zginę - zakwilił Monk i opuścił rękę.

- Zawsze pan to powtarza, panie Monk - powiedziałam, próbując podtrzymać go na duchu, a jednocześnie rozglądając się desperacko za czymkolwiek, co mogłabym mu podać.

- Jednak teraz to pewna śmierć - załkał Monk.

- Och, panie Monk, niech pan nie przesadza. - Nie mogłam niczego znaleźć i czułam, że chce mi się płakać. - Za każdym razem, kiedy wychodzi pan z domu, uważa pan, że idzie na spotkanie śmierci.

- To tylko dowodzi tego, że się nie mylę!

Obejrzałam się na barak, próbując oszacować, czy zdążę do niego dobiec, znaleźć tam jakąś linę, wąż ogrodowy, cokolwiek, i wrócić do jamy. Nie zdążę. Wystający kamień nie wytrzyma długo pod ciężarem Monka.

- W takim razie powinien pan być w świetnym humorze - powiedziałam. - Pan uwielbia się nie mylić.

- Byłoby miło, gdybym ten jeden raz się pomylił.
Co robisz?

- Szukam czegoś, czym mogłabym pana dosięgnąć - odparłam.

Czego mogłabym użyć? Instynktownie poklepałam się po kieszeniach, jakbym zawsze nosiła przy sobie trzymetrową linę i właśnie sobie o niej przypomniała.

Pasek.

Odpięłam pasek i wysunęłam go ze szlufek dzinśów. Oplotłam go wokół nadgarstka i przetknęłam końcówkę przez klamrę, aby pętla zacisnęła się na rękę, gdy Monk się uwiesi na pasku. Z całych sił chwyciłam palcami skórę i znowu położyłam się nad krawędzią dołu.

Wyciągnęłam rękę i spuściłam mu pasek.

- Niech pan go łapie.

Jednak już wypowiadając te słowa, wiedziałam, że pasek również będzie za krótki. Monk prawdopodobnie też to wiedział, choć mimo wszystko usiłował go złapać. Niestety na próżno.

Rękę Monka dzieliło od końcówki paska dobre dwadzieścia centymetrów.

- O Boże! - krzyknął nagle Monk, cofając gwałtownie rękę i znowu kopiąc nogami w powietrzu w poszukiwaniu oparcia.

- Co się stało?

- Pająk! Widzę pająka.

- Jeśli pan się nie uspokoi, zaraz pan spadnie!

- Ale przynajmniej nie ukąsi mnie jadowity pająk.

Usiadłam i wbiłam bezradnie wzrok w pasek. Co w takiej sytuacji zrobiłby McGyver? Potrafiłby błyskawicznie utkać linę z czegoś, co zwykle nosi

w kieszeniach spodni, choćby były to zmechaniczone nitki albo odświeżająca oddech miętówka.

Spodnie.

Dżinsy są niezniszczalne. Wytrzymają ciężar Monka.

- Mam pomysł - rzuciłam. - Niech się pan nie rusza.

- Powiedz to temu jadowitemu pająkowi.

Wstałam, zrzuciłam szybko buty i zdjęłam dżinsy. Końcówkę jednej nogawki okręciłam mocno wokół ręki, chwyciłam tkaninę w dłoń i znowu położyłam się na brzuchu nad dołem.

Wyciągnęłam rękę jak najdalej za krawędź i spuściłam dżinsy.

- Niby co mam z tym robić?

- Niech pan to złapie.

- Przecież to czyjeś brudne spodnie!

- To moje spodnie, panie Monk. Sączyście, włożyłam je dzisiaj rano.

- Ale potem je nosiłaś. Na swoim ciele. Brałaś prysznic przed wyjściem z motelu?

- Oczywiście.

- Kłamiesz.

- Nie ma znaczenia, czy brałam prysznic czy nie - powiedziałam. - Pańskie cenne życie wisi na jednym rozchwianym kamieniu.

- Twoje ciało pokrywają warstwy zaschłego potu i brudu - ciągnął Monk. - Spodnie są już na pewno zainfekowane. Co będzie, jeśli mam otwartą ranę na ręce? Mogę złapać potworne zakażenie!

- Ale będzie pan żył - powiedziałam.

- Tylko po to, aby umrzeć powolną, skrytą, zdradziecką śmiercią od dżinsowego zakażenia.

Widziałam, że kamień coraz bardziej się poluź-

nia. Za kilka sekund może wyskoczyć ze ściany, a wtedy Monk runie w dół na pewną śmierć.

- Niech pan w tej chwili chwyci spodnie! - nakazałam.

- Nie możesz skorzystać z czegoś innego? - zapytał Monk błagalnym głosem. - Nie masz liny? Łańcucha? Drabiny?

- Myśli pan, że korzystałabym ze spodni, gdybym miała drabinę?

- To ja poczekam - stwierdził Monk.

- Niech pan chwyci dzinsy, panie Monk!

- Wolę umrzeć.

- Zaraz pan umrze! - wrzasnęłam.

- Przynajmniej nie ukąsi mnie jadowity pająk, nie zakażę się twoimi spodniami, nie amputują mi przeżartych gangreną kończyn i nie umrę pozbawiony rąk i nóg, nieszczęsne biedaczysko pokryte ropiejącymi ranami.

- Jeśli zginie pan w tej jamie, to przysięgam na Boga, że pochowam pana w różnych skarpetkach, niedopiętej pod szyją koszuli i marynarce z brakującym guzikiem.

- Och! - stęknął. - Nie zrobiłabyś tego!

- Postaram się, żeby pański grób był jednym wielkim bałaganem - stwierdziłam. - Na wieczność.

Monk zacisnął zęby, zamknął oczy i chwycił lewą ręką nogawkę dzinsów. W tej samej sekundzie kamień, którego się trzymał, wyskoczył ze ściany i poleciał w dół, a Monk zawisł nad otchłanią, kurczowo trzymając się spodni. Ciężar jego ciała zaczął mnie ciągnąć w ciemną czeluść.

Zawyłam z bólu i wściekłości, zapierając się w ziemię wolną ręką i gołymi kolanami, aby nie obsunąć się razem z Monkiem w jamę.

- Niechże pan się wspina! - krzyknęłam.

Monk, używając moich spodni jak liny, zaczął się wolno podciągać.

Moje wyciągnięte jak struna ramię paliło mnie niemilościernym bólem i czułam, jak zsuwam się centymetr po centymetrze, a kamyki wrzynają się w moje gołe nogi.

Raptem poczułam chrupnięcie w ramieniu, przeszył mnie rozdzierający ból i znowu zaczęłam wrzeszczeć. W tej męce poczułam, jak drętwieją mi palce. Ostatnim wysiłkiem woli nie puściłam dzinsów i dalej zaciskałam na nich rękę.

Monk wynurzył się z dziury, złapał moją lewą rękę i praktycznie oderwał ją od ściany jamy.

- Niech mnie pan puści! Tracę przez pana punkt oparcia! - wrzasnęłam.

Zamachnął się prawą nogą, położył kolano na krawędzi i wyczołgał się z dołu, lądując twarzą na moich pośladkach.

Z oczami pełnymi łez wisiałam nad czarną dziurą, a ramię rwało mnie ciągle piekielnym bólem.

Zdobyłam się na jeszcze jeden wysiłek i pomagając sobie zdrowszą, choć krwawiącą ręką, zdołałam usiąść. Miałam połamane wszystkie paznokcie, a skórę na kolanach zdartą do żywego mięsa. Zwichnięta ręka zwisała bezwładnie. Musiałam wyglądać jak bohaterka zakończonego jatki, kiepskiego horroru.

Monk siedział, oddychając ciężko z zamkniętymi oczami.

- Może pan otworzyć oczy, panie Monk. Już po wszystkim.

- Włożyłaś spodnie?

- Jeszcze nie.

- W takim razie jeszcze nie jest po wszystkim.

16 Detektyw Monk

za kierownicą

Miał rację. Jeszcze nie było po wszystkim. Żyliśmy, ale naprawdę wielkie zmagania dopiero miały się zacząć.

- Nie mogę włożyć spodni - wyjaśniłam. - Mam zwichnięte prawe ramię, a lewą ręką poranioną i za krwawioną.

Monk otworzył oczy i spojrzał na mnie.

- Och, Natalie...

Powiedział to z taką czułością i z takim wyrazem smutku na twarzy, że nie potrafiłam powstrzymać płaczu. Jednak łzy bardziej go przeraziły niż moje gołe nogi czy krwawiące rany.

- Spokojnie, panie Monk — powiedziałam. - Za minutkę łzy obeschną. Nie ma powodu do zmar twień.

Monk wziął moje dzinsy, otrzepał z ziemi, a potem, odwracając głowę, delikatnie wsunął moje stopy w nogawki. Powoli, ostrożnie wciągał mi spodnie na nogi, ale widać było, że przeżywa katusze.

- Musiałaś kupować takie obcisłe dzinsy?

Sama zadawałam sobie to pytanie, ale nie miałam zamiaru dawać mu tej satysfakcji i głośno o tym mówić.

- Zupełnie nie przewidziałam takiej sytuacji, pa nie Monk.

- Tyle razy ci powtarzam, że powinnaś być lepiej przygotowana na niespodziewane wypadki.

- Postaram się o tym pamiętać przy następnym zakupie spodni - obiecałam.

Zarzuciłam lewe ramię na jego bark i uniosłam się parę centymetrów nad ziemię, aby Monk mógł naciągnąć dżinsy na biodra. Dla żadnego z nas nie była to łatwa operacja. Dla mnie byłoby to nawet zabawne, gdyby nie potworny ból. Być może istniał jakiś lepszy sposób na włożenie spodni, ale nie potrafiłam już jasno myśleć.

Monk piszczał cicho, gdy z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi zębami zapinał mi spodnie na guzik i zasuwiał zamek błyskawiczny.

- Powiniennem był puścić ten kamień - powiedział.

- Albo dać się ukąsić temu szalonemu pajakowi.

- Woli pan umrzeć, niż pomóc mi włożyć spodnie? - zapytałam.

- I niż patrzeć na twoją krzywdę.

- Panie Monk, przecież pan ma zamknięte oczy.

Monk otworzył oczy. Spojrzał na moje mokre od łez policzki, bezwładne ramię, zakrwawioną rękę i potrząsnął głową.

- Potrzebna ci chusteczka, Natalie.

- Wiem. Co z Cliffordem Adamsem? Możemy coś dla niego zrobić?

Monk obejrzał się przez ramię i skrzywił się.

- Nie żyje.

- Potrafi pan to poznać z tak daleka?

- Dziobią go sępy.

Obejrzałam się z trwogą i rzeczywiście, na ciele Adamsa siedziały dwa wielkie sępy i kłuły go raz po raz dziobami. To z całą pewnością była definityw-

na oznaka śmierci. Odwróciłam głowę, żeby przez przypadek nie zobaczyć czegoś okropnego, choć już to, co widziałam nie było przyjemne.

Monk włożył mi buty, pilnując, aby sznurowadła były zawiązane w idealne kokardki z równymi końcówkami. Potem, bacząc, by nie dotknąć zranionej dłoni, objął mnie jedną ręką w pasie, zawiesił sobie na szyi moją lewą rękę i delikatnie pomógł mi wstać.

Natychmiast zakręciło mi się w głowie i byłam bliska omdlenia. Musiałam mocno się wesprzeć na Monku. Byłam pewna, że zabrudziłam mu krwią marynarkę, którą w związku z tym prawdopodobnie trzeba będzie spalić, ale nie sposób było tego uniknąć.

Zajęło mi parę chwil, zanim fala nudności minęła, a ja złapałam równowagę. Potem ruszyliśmy wolno i ostrożnie w kierunku samochodu.

- Jak pan myśli, co się tu stało? - zapytałam.

- To była zasadzka - powiedział Monk. - To nie Clifford Adams do ciebie dzwonił, lecz zabójca. Adams został posadzony pod głazem, abyśmy szli do niego przez pole. Morderca chciał, żebyśmy wpadli do któregoś z nieczynnych, starych szybów. Na pewno jest tam więcej podobnych dziur, przysłoniętych spróchniałymi dyktami i przysypanych ziemią.

- W takim razie Adams musiał wiedzieć za dużo - powiedziałam.

- Albo morderca sądził, że Adams coś wie.

- Domyślił się już pan, kto to jest?

Monk pokręcił głową.

- Jestem zbyt brudny, aby myśleć - odpowiedział.

Doszliśmy do samochodu. Monk otworzył drzwi po stronie kierowcy, pogrzebał w mojej torebce i wyjął z niej chusteczkę dezynfekującą.

- Usiądź.

Kłapnęłam na ławce przed barakiem.

Monk rozerwał opakowanie, wyjął chusteczkę i delikatnie startł brud z mojej twarzy. Prawe ramię wciąż rwało bólem, palce miałam odrętwiałe, skóra mnie piekła, ale wilgotna chusteczka dezynfekująca na policzkach jakimś cudem sprawiła, że poczułam się lepiej.

- W drodze powrotnej do miasteczka to pan będzie musiał prowadzić samochód - powiedziałam.

- Ależ ty możesz prowadzić.

- Mam zwichnięte prawe ramię, a moja lewa dłoń jest cała we krwi.

- Możemy wezwać pomoc.

Monk wsadził brudną chusteczkę do plastikowego woreczka i sięgnął po mój telefon komórkowy.

- Tutaj nie będzie zasięgu - uprzedziłam go.

Krótkie spojrzenie na ekranik telefonu potwierdziło, że miałam rację. Monk skrzywił się boleśnie i wziął drugą chusteczkę.

- Pokaż rękę - poprosił.

Uniosłam lewą dłoń, a Monk ostrożnie ujął ją między palce. Delikatnie obmył opuszki palców z krwi. Środek dezynfekujący szczypał, ale było to nic w porównaniu z tępym darcim, jakie czułam w prawym ramieniu.

- Możemy po prostu poczekać na pomoc - oznajmił Monk.

- Nikt nie wie, że tu jesteśmy - przypomniałam. - Potrzebny mi lekarz i jakieś mocne lekarstwo.

- Mamy chusteczki.

- To może nie wystarczyć - odparłam.

Monk pokiwał głową, a potem spojrzął na wielką maszynę Clifforda Adamsa.

- Czy to miazdzy kamienie?
- I ekspresy do kawy - odpowiedziałam. Monk podszedł do maszyny, przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, potem zdjął marynarkę i wrzucił ją do środka. Wcisnął jakiś przycisk, konstrukcja zatrzęsa się, a kilka sekund później strzępki tkaniny wytrysnęły przez lejowaty otwór na żwirową hałdę. Monk wyłączył silnik, poruszył niezgrabnie ramionami i westchnął ciężko.
- W porządku - powiedział. - Miejmy to już za sobą.

Prowadził powoli i bardzo ostrożnie, zaciskając na kierownicy obie dłonie (w każdej z nich trzymał chusteczkę) i pochylając się jak najbliższej szyby urnazanej brudem i owadami.

Ta jego letargiczna jazda działała na mnie i dobrze, i źle.

Dobre było to, że samochód właściwie w ogóle nie podskakiwał, tak powolutku Monk go prowadził, a przecież każdy wstrząs oznaczał dla mnie ból.

Złe natomiast było to, że dotarcie w jakiegokolwiek miejsce w takim tempie mogło zająć wieczność, a ból w ramieniu narastał z każdą sekundą. Jechaliśmy dobry kwadrans, a odjechaliliśmy od baraku zaledwie o jakieś czterysta metrów.

Zaczęłam już myśleć, że lepiej będzie, jeśli pójdę do szosy pieszo i tam poczekam na Monka.

- Może pan jechać trochę szybciej.
- To niewyafaltowana droga, a poza tym nic nie widzę przez szybę - odparł. - Ostrożności nigdy dosyć.
- Wciąż mnie boli.
- Mnie również.

- Mój ból jest nieco inny.
- Oczywiście, twój kiedyś minie - stwierdził Monk. - Możesz mieć nadzieję. Ja nie mam nadziei.

Zagryzłam zęby i nastawiłam się na długą, bardzo długą podróż. Wydawało się, że minęły dni, gdy wreszcie dotarliśmy do skrzyżowania z szosą.

- Stop - powiedziałam.

- Świetny pomysł - rzucił Monk i zatrzymał samochód. - Skoro tu jesteśmy, wreszcie możemy wyzczyścić ślad po oponie, który tu zostawiłaś.

- Nie dlatego prosiłam, żeby pan się zatrzymał - powiedziałam. - Tu będę miała zasięg w telefonie. Będę mogła wezwać pomoc.

- Możemy zrobić jedno i drugie. Chyba nie chcesz, żeby stróże prawa przyjechali i na własne oczy zobaczyli twój akt wandalizmu.

Podczas gdy dzwoniłam na numer alarmowy 911, żeby wezwać policję do morderstwa i poprosić o pomoc medyczną dla siebie, Monk wyszedł z samochodu i przyglądał się smudze zostawionej przez oponę. Najpierw jednak zatrzymał się przy wyrwie w wyboistej drodze, w którą wcześniej wjechałam. Prawdopodobnie zastanawiał się, czy nie powinien jej zasypać. Zanim ruszył dalej, przykucnął, wziął z dziury jakąś grudkę i wsadził ją sobie do kieszeni.

Dziwne to było zachowanie jak na Monka, ale do prawdy nic już mnie nie obchodziło. Kiedy skończyłam rozmowę z operatorem, oparłam się wygodnie w fotelu, przymknęłam oczy i czekałam na pomoc.

W bagażniku Monk znalazł zapas środków czystości i w chwili, gdy nadciągnęła wreszcie kawalkada wjących syrenami samochodów, pokrytych py-

łem i motylową breją, on pochłonięty był ścieraniem namydloną gąbką czarnej smugi z asfaltu. Na przedzie jechał komendant Kelton, za nim ciągnął drugi radiowóz z Opał, dalej straż pożarna z ekwipunkiem ratowniczym, a na końcu ambulans sanitarny. Kelton zatrzymał samochód z piskiem opon, ku olbrzymiemu rozgoryczeniu Monka, i podbiegł prosto do mnie. Szarpnięciem otworzył drzwi i skrzywił się litościwie na mój widok.

- Co ci się stało?

- Pan Monk wpadł do starego szybu, a ja go wyciągnęłam - odpowiedziałam.

Kelton zerknął na Monka.

- Co on robi?

- Czyści szosę - wyjaśniłam. - Kiedy przyjechaliśmy, Clifford Adams już nie żył. Biegliśmy do niego, gdy nagle Monk zapadł się pod ziemię.

- Z każdym kolejnym dniem jest coraz gorzej - stwierdził Kelton.

- Co ty nie powiesz.

Podbiegli do mnie dwaj bladzi, młodzi, nieopierzeni sanitariusze i pobieżnie zbadali urazy.

- Będziemy musieli nastawić zwichnięte ramię - oznajmił bledszy z nich.

- Co to znaczy?

- Głowę kości ramieniowej należy na powrót wstawić w panewkę łopatki - wyjaśnił sanitariusz.

- Nie brzmi to zachęcająco, chłopcy - stwierdziłam, a sanitariusze patrzyli na mnie tępo. - Żartowałam. Bardzo będzie boleć?

- Bardzo - powiedział Kelton. - Ale natychmiast się lepiej poczujesz. Przynajmniej do jutra rana, kiedy zaczniesz dziękować Bogu za wynalezienie środków przeciwbólowych.

- Skąd wiesz?
- Dziewięć razy zwichnąłem sobie ramię - powiedział. - Najczęściej podczas gry w football amerykański. Raz udało mi się zwichnąć je dwa razy w ciągu jednego dnia.

W tej chwili spokojnym krokiem podszedł do nas Monk w gumowych rękawiczkach.

- Więc jak się nastawia tę głowę? - zapytałam.

- Mogę ci to zrobić, jeśli chcesz - zaoferował się komendant.

Doszedłem do przekonania, że jeśli Kelton sam przechodził przez to dziewięć razy, to z pewnością jest w tej kwestii bardziej doświadczony niż dwaj bladzi sanitariusze. Poza tym przy nim czułam się bezpieczniej.

- W porządku - zgodziłam się.

Sanitariusze rozciągnęli na ziemi koc i pomogli mi się na nim położyć na plecach.

Kelton stanął po mojej prawej stronie, zaparł się jedną stopą pod moją pachą, chwycił obiema rękami mój prawy nadgarstek i powiedział, żebym krzyczała najgłośniej, jak potrafię.

Zaczęłam krzyczeć.

W tej samej sekundzie Kelton pociągnął ramię, kierując je trochę na bok. Poczułam przeszywający ból i lekkie pstryknięcie, kiedy głowa kości ramiennej wskoczyła w panewkę stawu.

Ból ustąpił niemal natychmiast.

- Niezła robota, komendancie - powiedział jeden z sanitariuszy, kiwając z uznaniem głową.

Kelton pomógł mi wstać.

- Ambulans zawiezie cię do szpitala. Monk pojedzie za wami twoim samochodem.

- Nie mogę - odezwał się szybko Monk. - Nie prowadzę.

- Ja mogę poprowadzić - zaofiarował się jeden z sanitariuszy. - I tak wracamy do szpitala.

- Pojadę z Natalie w ambulansie - powiedział Monk i wręczył sanitariuszowi kluczyki do mojego samochodu. - Niech pan się wydezynfekuje po przyjeździe do szpitala. Jej samochód to zaraza na kółkach.

Zastanawiałam się, czy Monk chciał mi towarzyszyć, ponieważ troszczył się o moje samopoczucie, czy dlatego, że ambulans był czystszy od mojego samochodu. Właściwie było mi wszystko jedno. Chciałam, żeby był przy mnie.

- Jest pan pewien, że nie wolałby pan zostać tutaj i pomóc mi w śledztwie? - zapytał Kelton Monk. - Chętnie wysłuchałbym pańskich wnikliwych rad.

- Mam tylko jedną- odpowiedział Monk. - Niech pan uważa, gdzie stawia nogę.

- Czy nie jest to rada, której sam panu udzieliłem?

- Ludzie rzadko kiedy słuchają własnych rad. Po-tem ani się obejrzą, a idą na zatracenie — stwierdził Monk.

Następnych parę godzin spędziłam w ambulatorium. Jedna z pielęgniarek pomogła mi się przebrać w szpitalną koszulę, potem przemyła mi rany i opatrzyła zranione palce. Zrobili mi mnóstwo zdjęć rentgenowskich i kilka zastrzyków w zdrowe ramię, co bolało niemal tak samo jak zwichnięcie stawu.

Kiedy przechodziłam przez te wszystkie badania, mój solenny pracodawca wypełniał stosowne formularze. Cieszyło mnie, że robi to osobiście. Chciałam, żeby się przekonał na własne oczy, na jaką sumę

będę zadłużona. Miałam marną polisę ubezpieczeniową, więc wiedziałam, że będę mogła się spodziewać dużego rachunku w skrzynce na listy, a potem będzie mnie czekać niemila kłótnia z Monkiem, aby raczył za niego zapłacić.

Przysnęłam na parę minut na szpitalnym łóżku, aż w końcu lekarz wrócił ze zdjęciami rentgenowskimi. Miał ciepły uśmiech na twarzy, wiele siwych włosów i wiele zmarszczek, które zdawały się świadczyć bardziej o mądrości niż o starości.

Powiedział mi, że rentgen nie wykazał żadnych złamań i doznałam tylko zwichnięcia stawu ramieniowego. Pomógł mi włożyć rękę w temblak, wypisał recepty na środki przeciwbólowe i uprzedził, że przez następne dwadzieścia cztery godziny mięśnie i ścięgna ramienia mają prawo się skarżyć na to, co im się stało, zwłaszcza jeśli będę próbowała ruszać ręką. Powiedział również, że upłynie około sześciu tygodni, zanim ramię wróci do pełnej sprawności, więc mogę odwołać udział w planowanych przeze mnie turniejach zapaśniczych.

Po tych słowach lekarz wyszedł, a pojawił się Monk, ubrany w niebieski, chirurgiczny kostium z czapeczką i jednorazowe foliowe ochraniacze na buty. Na ramieniu miał przewieszoną moją torebkę, a w rękę niósł jeszcze jeden chirurgiczny kostium.

- Gdzie pańskie buty i ubranie? - zapytałam.

- Tam, gdzie twoje. W pojemniku na niebezpieczne odpady - wyjaśnił i wręczył mi kostium. - Zaraz przyjdzie pielęgniarka i pomoże ci się w to ubrać. Ja w tym czasie zrealizuję recepty, a potem jeden z policjantów odwiezie nas do motelu.

Wyszedł, zanim zdążyłam zaprotestować, choć nie mogę powiedzieć, że miałam wielką ochotę na

protesty. Pielęgniarka pomogła mi się ubrać, posadziła mnie na wózku inwalidzkim i odwiozła do wyjścia, gdzie czekał radiowóz, który odwioził nas do motelu, dosłownie dwie przecznice dalej.

Monk wprowadził mnie do swojego pokoju, upierając się, że jest bardziej higieniczny od mojego, i położył mnie do łóżka. Wręczył mi butelkę wody Summit Creek i przysunął do łóżka krzesło.

- Jesteś głodna? - zapytał.

- Jeszcze nie - odpowiedziałam.

- Tabletki powinnaś zażyć z posiłkiem.

- Do lunchu mamy jeszcze parę godzin - powiedziałam. - Możemy zamówić pizzę. Oczywiście niepokrojoną.

- Zabrałem miarkę, ale zapomniałem zabrać sznurek, kompas, ekierkę i poziomnicę.

- Na pewno uda się panu pokroić pizzę bez tych przyrządów.

- To będzie karkołomne przedsięwzięcie.

- Bywaliśmy w bardziej karkołomnych sytuacjach.

- Och, skoro o tym mowa - wtrącił - muszę powiedzieć, że nie zakaziłem się od twoich spodni.

- Co za ulga - powiedziałam. - Nawet pan nie wie, jak mi ciążyło to potworne brzmienie.

Wiedziałam, że Monk nie wyczuje sarkazmu i potraktuje moje słowa jak najbardziej poważnie, ale człowiek musi sobie trochę ulżyć, kiedy czuje się jak zdechły pies.

- Na wszelki wypadek uparłem się, aby zrobiono mi zastrzyk przeciwwężcowy - oznajmił.

- Świetny pomysł. Milczeliśmy przez dłuższą chwilę.

- Dziękuję ci za uratowanie mi życia - odezwał

się w końcu **Monk**. - Co prawda robisz to codziennie, ale dzisiaj wyjątkowo ci się udało.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc nic nie mówiłam. Kiwnęłam tylko głową.

- Mógłbym jeszcze coś dla ciebie zrobić?

- Owszem - powiedziałam. - Może mi pan coś przeczytać.

Nadzwyczajny pan Monk

Sprawa Złotego Ekspresu

(Z pamiętników Abigail Guthrie)

Opaly, Kalifornia 1856

Pewnego ranka zjawiła się w biurze probieczym Artemisa Monka pani Cromartie, która prowadziła w Opalach niewielki pensjonat. Jednak nie chodziło jej o analizę skalnych grudek.

Przyszła wprost do niego, ponieważ szeryf Wheeler, jego zastępca oraz doktor Sloan przebywali kilka kilometrów za miasteczkiem, zajmując się śledztwem w sprawie nocnego napadu na Złoty Ekspres.

Choć Monk był przede wszystkim probiecą, to dawno już zaskarbił sobie w Opalach opinię człowieka potrafiącego rozwikłać najtrudniejsze zagadki, co było jeszcze jednym powodem, dla którego z cierpliwością znoszono jego dziwactwa.

Zresztą pani Cromartie również miała opinię osoby dość ekscentrycznej. Wdowa była pokażnej postury, z wąsami niemal równie gęstymi jak u górników, którym wynajmowała pokoje. Zawsze nosiła pas z rewolwerem, aby odstraszać niemile widzianych, umiżgających się do niej mężczyzn, choć, z tego, co słyszałam, za szczyptę złota i butelkę whiskey chętnie odpinała broń i unosiła sukienkę.

Pani Cromartie przyszła do Artemisa Monka, ponieważ w jednym z pokoiów w swoim pensjonacie znalazła dwóch martwych mężczyzn. Nie potrafiła powiedzieć, czy stracili oni życie z przyczyn naturalnych czy wskutek morderstwa, czy też w wyniku jakiejś potwornej epidemii.

Monk aż się palił, aby jej pomóc, co nad wyraz mnie zaskoczyło. Wypadł z biura i pomknął przed siebie ulicą, a my musiałyśmy niemal biec, aby dotrzymać mu kroku.

- Co będzie, jeśli to epidemia? - zapytałam po drodze.

- Trzeba będzie spalić pensjonat - odpowiedział z uśmiechem. - Być może nawet cały kwartał.

Pani Cromartie jęknęła głucho.

- Boże, tylko nie to, pensjonat jest wszystkim, co mam.

- Pan ma szczerą nadzieję, że to epidemia, panie Monk, prawda? - zapytałam.

- Każdy budynek na ulicy jest innej wysokości, niektóre nie są nawet symetryczne - mówił Monk. - Już to jest poważnym zagrożeniem dla zdrowia.

- Nie są identyczne i co z tego? Jak może to stanowić zagrożenie dla zdrowia? - pytałam.

- Napina mięśnie oczu i zakłóca zdolności zmysłowe - stwierdził Monk. - Osobę o słabej konstrukcji może doprowadzić do totalnego szaleństwa.

Kusiło mnie pytanie, czy właśnie coś takiego kiedyś mu się przytrafiło, ale ugryzłam się w język.

- Może właśnie coś takiego im się przytrafiło? - zapytała pani Cromartie.

Obejrzałam się na nią, zaskoczona, że czyta moje myśli, choć wdowa mówiła o swoich gościach hotelowych, nie o panu Monku.

- Chyba nie mówi pani poważnie - powiedziałam.
- Wczoraj wieczorem pan Durphy, jeden z martwych górników, ślinił się, tańczył nago pod moimi drzwiami i świergotał jak ptaszek - mówiła pani Cromartie. - Myślałam, że go zastrzełę.
- Co pani wie o tych ludziach? - zapytał Monk, nie przerywając marszu.

- Pracowali przy kruszarce w kopalni Big Rock.
Big Rock to jedno z największych kopalnianych przedsięwzięć w okolicach Opał. Tunele kopalni wchodziły głęboko w ziemię, skąd wydobywano rudę złota, ścieraną następnie na pył i mieszaną z rtęcią. Rtęć wyciągała z rudy złoto w postaci ciągliwego amalgamatu, z kolei amalgamat, aby odseparować czysty kruszec, można było podgrzać albo po prostu wycisnąć, jak wyciska się przez płótno biały ser.

Każdemu pracownikowi kompania nakazywała zmieniać ubranie przed rozpoczęciem pracy, a po jej zakończeniu zobowiązywano do kąpieli i ponownej zmiany odzieży.

Monk podziwiał za te praktyki dyrekcję kopalni Big Rock, jednak nie robiono tego bynajmniej ze względu na zachowanie higieny i czystości. Po prostu właściciele chcieli mieć pewność, że w kieszeniach wychodzących pracowników nie ma ani jednego grama przemyconego, wartościowego amalgamatu.

Kończącym zmianę pracownikom kazano nawet przed natryskiem skakać nago przez pryzmę bali, aby sprawdzić, czy nie ukrywają amalgamatu w swoich intymnych otworach cielesnych. Ponadto przeszukiwano należące do górników pudełka na kanapki, woreczki z tytoniem i wszelkie inne naczynia, które wnosili na teren kopalni.

- Czy poza tym nagim świergotaniem pana Dur-

phy'ego mężczyźni zachowywali się dziwnie? - zapytał Monk.

- Drugi z mężczyzn przez cały czas siedział w pokoju. Wszedł tylko raz w nocy, bo lampa raziała go w oczy - powiedziała pani Cromartie. - To chyba normalne, jak sądzę, jeśli cały dzień spędza się w ciemnej dziurze pod ziemią.

- Ale on nie pracował pod ziemią, tylko przy kruszarce - zauważyłam.

Pani Cromartie wzruszyła ramionami.

- To chyba rzeczywiście, jak twierdzi pan Monk, przez te krzywe budynki wstąpił w nich taki diabeł, jakby mieli nierówno poustawiane pod kapeluszami.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami i przechylił głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby próbował rozprostować zeszywniałą szyję. Ale widziałam wcześniej, jak robił tak tuż przed rozwiązaniem zagadki pewnego morderstwa.

Dotarliśmy do pensjonatu pani Cromartie, długiego, prostego budynku, który w zasadzie był szeregiem połączonych, jednopokojowych izb mieszkalnych, przedzielonych tylko cienkimi, blaszanymi ściankami.

- W którym pokoju znajdują się mężczyźni? - zapytał Monk.

- Numer siedem. - Wdowa wskazała ostatni pokój.

- Nic dziwnego, że ciężko zachorowali - stwierdził Monk. - Powinna się pani wstydzić, pani Cromartie.

- Co takiego zrobiłam? - zapytała zdziwiona wdowa.

- Przyczepiła pani do drzwi nieparzysty numer.

- To siódmy pokój. Nić na to nie poradzę.

- Mogła pani dobudować jeszcze jeden pokój, wtedy miałyby ich pani osiem.

- Wciąż byłyby pokoje z nieparzystym numerem, panie Monk - próbowałam bronić wdowy.

- W takim razie trzeba było dać im tylko parzyste numery. Zamiast pokoiów od pierwszego do siódmego byłyby pokoje dwa, cztery, sześć, osiem, dziesięć, dwanaście i czternaście.

- Nie sądzi pan, że dla gości byłoby to nieco mylące?

- Nie miałyby pani tylu martwych gości - stwierdził Monk.

- Uważa pan, że t o ich zabiło?

- Jestem pewien, że był to jeden z czynników, bez względu na to, co się naprawdę stało.

Monk podszedł do pokoju numer siedem i pchnął drzwi przez chusteczkę do nosa.

W środku znajdowała się koja do spania, stolik, ława i dwie półki. Na stole leżała duża misa do wypłukiwania złota, pełna wygaszonych niedopałków.

Obaj mężczyźni leżeli na plecach na podłodze. Jeden z nich rzeczywiście był nagi jak święty turecki. Zauważyłam, że obaj mają różowe policzki i opuszki palców.

- Może są górnikiemami, ale paznokcie mają jak ekspedienci - powiedziałam.

Paznokcie mieli długie, aby łatwiej zwędzić parę dodatkowych granulek złotego pyłu, wybieranego szczyptami z mieszkań klientów.

Monk odwrócił się w moją stronę.

- Bardzo spostrzegawcza uwaga, Abby - powie działał.

Abby.

Po raz pierwszy pan Monk nie powiedział do mnie pani Guthrie. Poczułam, jak się rumienię, choć nie wiedziałam dlaczego.

Monk przykucnął przy ubranym górniku leżącym na podłodze, sięgnął do kieszeni jego spodni i wyciągnął z niej mały gwóźdź do przybijania gon-tów, który z zaciekawieniem podniósł do oczu. Poki-wał głową, a potem odwrócił się do pani Cromartie.

- Ci mężczyźni byli złodziejami złota - oznajmił.

-
Pani również. Jeśli za złoto, które im pani ukradła, opłaci im pani godny pochówek i wybuduje ósmy po-kój, to pani postępek pozostanie naszą tajemnicą.

Wdowa zaczerwieniła się jak pomidor. Bała się, że może wyciągnąć broń i zastrzelić Monka.

- Nie zapłacili w tym tygodniu za wynajem - po-wiedziała w końcu przez zaciśnięte zęby. - Wzięłam swoje.

- Wzięła pani dużo więcej.

- Zaraz, zaraz — wtrąciłam się. - Skąd pan wie, że ci mężczyźni kradli złoto?

- To kradzież złota ich zabiła - wyjaśnił Monk. - Pani Cromartie rozwikłała tajemnicę ich śmierci, zanim tu dotarliśmy.

- Ja?! - zapytała zszokowana kobieta.

- Powiedziała pani, że mieli nierówno pousta-wiane pod kapeluszami - przypomniał Monk. - Tak w istocie było. Obaj górnicy zmarli w wyniku zatrucia rtęcią, jak słynni rzemieślnicy hugenoccy, którzy wyrabiając z domieszką rtęci filcowe kapelusze, stopniowo popadali w obłąd. Nietolerowanie światła słonecznego, nadmierne ślinienie, różowe wykwity i obfite pocenie się to tylko niektóre z wielu objawów zatrucia organizmu.

Monk wyjaśnił, że najprawdopodobniej w kopalni mężczyźni przeciągali długimi paznokciami po stołach z rtęcią za każdym razem, gdy obok nich przechodzili, zgarniając w ten sposób cenne próbki

amalgamatu. Wkładali ręce do kieszeni i wydłubowali sobie amalgamat spod paznokci gwoździem do przybijania gontów.

- Złapano by ich z amalgamatem w kieszeni, kiedy zmieniali ubrania po pracy.

- Drobne, utoczone palcami kuleczki amalgamatu ukrywali w tytoniu, z którego skręcali potem papierosa - tłumaczył Monk. - Podczas przerw w pracy wypalali papierosy, a niedopałki wrzucali do koszy na śmieci. Odzyskiwali je, kiedy odpady wywożono na wysypisko poza kopalnię.

Sięgnął do miski z niedopałkami i rozwinął jeden z nich. W środku pojawił się mały koralik złota.

- Co się stało z ręką? - zapytałam.

- Każdego papierosa palili do końca - mówił Monk. - Żar odparowywał rtęć, którą wdychali z papierosowym dymem.

- W takim razie ich śmierć nie miała nic wspólnego z nieparzystymi numerami pokojów. - W głosie pani Cromartie brzmiała wyraźna ulga.

- Ich pomysł był obłąkany - powiedział Monk. - Jak pani myśli, co ich do tego przywiodło?

- Nieparzysty numer na drzwiach? - zapytała pani Cromartie z niedowierzaniem.

- Bez wątplenia. Mam nadzieję, że będzie pani mogła w tym spokojnie spać - powiedział Monk i odszedł jakoś dziwnie zadowolony.

Miałam wrażenie, że nic nie dawało mu większego szczęścia niż rozwiązywanie tych drobnych zagadek. Może to było jego prawdziwym powołaniem?

Niestety, nie miał okazji pomóc szeryfowi Wheelerowi przy rozwiązywaniu zagadki napadu na Złoty Ekspres. Później tego samego dnia dowiedzieliśmy się od szeryfa, że napastnicy zabili trzech lu-

dzi, ranili dwóch kolejnych i uciekli ze złotymi monetami wartymi tysiące dolarów, odebranymi bogatym właścicielom kopalń z San Francisco, którzy podróżowali pociągiem.

Wheeler ścigał bandytów do samego miasteczka, gdzie zgubił trop.

Ponieważ w Opałach mało kto używał złotych monet, Wheeler doszedł do wniosku, że bandyci prawdopodobnie czmychnęli z łupem do San Francisco. Tam nikt nawet nie spojrzy na klienta płacącego złotą monetą. Tam działała mennica i tam szła lwia część złota wydobytego w Opałach i całej Kalifornii.

Po tygodniu czy dwóch nikt już nie myślał za wiele o napadzie na pociąg i wszystko wróciło do normy.

Tyle tylko, że Monk nadal zwracał się do mnie Abby.

Oczywiście był to jego przywilej jako pracodawcy, ale dla mnie znaczyło to coś więcej. Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym zaczęła się zwracać do niego Artemis.

Mieszkaliśmy pod jednym dachem, prałam i czerowałam jego rzeczy, gotowałam mu posiłki, prowadziłam jego dokumentację, ale Monk nigdy nie traktował mnie jak służącej.

Cały czas oszczędzałam na bilet powrotny do rodzinnego Kansas. Ale im więcej czasu spędzałam z Monkiem, tym bardziej nie chciałam wyjeżdżać z Opał. W jego domu coraz bardziej zaczynałam się czuć jak we własnym.

Któregoś przedpołudnia pomagałam Monkowi przy jego starannie sporządzanych szkicach planu podziemnej kanalizacji w Opałach - obmyślonej na wzór systemu w Paryżu, stolicy Francji - kiedy do domu wszedł mężczyzna w eleganckim garniturze.

Za jego plecami stało dwóch mężczyzn w ubraniach mniej wytwornych i o wiele bardziej zabrudzonych, którzy trzymali w rękach odłamki skalne okazałych rozmiarów.

- Pan Artemis Monk? - zapytał elegancki mężczyzna, ale nie czekał na odpowiedź. - Nazywam się Jonas Dehner, przybywam z San Francisco. Mam ze sobą próbkę do analizy. Chciałbym, aby obejrzał ją pan jak najrychlej.

- Może być teraz - powiedział Monk.

Wyciągnęłam rejestr, zamoczyłam pióro w kalamarzu i zaczęłam zadawać Dehnerowi rutynowe pytania.

- Gdzie znajduje się pana działka, panie Dehner?

- Nie jest moja. To kopalnia przy Zeskoku Joego, która należy do Eda Barkleya i jego partnerów.

Znaliśmy Eda. Przybył do Opał mniej więcej w tym samym czasie co Hank i ja. Był bez grosza w kieszeni, więc Zeb Graves, właściciel sklepu wielobranżowego, skredytował mu biznes za zyski z działki, jak zresztą wielu innym poszukiwaczom złota.

Jak na razie Ed i jego partnerzy radzili sobie skromnie. Ale powszechnie było wiadomo, że nie posiada odpowiednich środków, aby w pełni wykorzystać możliwości swojej kopalni.

Był to szczególnie problem.

Ponieważ Ed i jego koledzy byli wędrownymi poszukiwaczami i nie mieli ani dobrze prosperującej firmy, ani lokalnych korzeni, żaden bank nie chciał udzielić im pożyczki niezbędnej na sfinansowanie kopania głębszych tuneli, zakup kruszarki do rozdrabniania kruszcu i zatrudnianie dodatkowej siły roboczej.

Zatem albo musieli robić wszystko własnymi rę-

kami, wolno i mozolnie, przez długie lata, albo sprzedać kopalnię komuś z głębszą kieszenią i ruszyć w dalszą drogę.

Wydawało się więc teraz, że poszukiwacze postanowili zadowolić się tylko tym, co mieli, mimo że dopisało im szczęście i znaleźli bogatą działkę.

- Znam tę kopalnię - rzekł Monk. - Zamierzają ją sprzedać?

- W istocie rzeczy. Ale niech się pan nie martwi, panie Monk. Nie jestem półgłówkiem. Przyniosłem do kopalni własny proch, moi ludzie przy mnie wiercili dziury i własnoręcznie wysadziłem wykopany chodnik, aby odsłonić dziewiczą skałę, której kawałek mam tu ze sobą.

- Bardzo pan zapobiegliwy - pochwalił Monk.

- Gdybym był głupi, nie zaszedłbym tam, gdzie jestem - stwierdził Dehner. - Ile czasu zajmie panu analiza?

- Kilka godzin.

Dehner kiwnął głową.

- Pańska reputacja i rzetelność są dobrze znane, panie Monk. Proszę się nie gniewać, ale chciałbym rozstawić swoich ludzi w pańskim biurze, aby mieć pewność, że nikt niepowołany nie wejdzie tutaj i nie zmanipuluje wyników pańskich badań za sprawą jakiegoś sprytnego fortelu. Oczywiście z chęcią zrekompensuję panu wszelkie straty, jakie w związku z tym mógłby pan ponieść.

- To niepotrzebne. Pochwalam pańską przezorność.

Monk wziął odłamki skał i zniknął w laboratorium. Zajął się różnymi sprawami i czas minął bardzo szybko. Późnym popołudniem Monk wyszedł z laboratorium i wysłał jednego z ludzi Dehnera, aby

odnalazł i przyprowadził swojego szefa. W międzyczasie Monk posilił się filiżanką gorącej kawy i kawałkiem ciasta.

Tym razem Dehner pojawił się z Edem Barkleyem. Nigdy wcześniej nie widziałam, by Ed prezentował się tak elegancko. Ale widać było, że w nowiutkich rzeczach, świeżo ogolony, czuje się bardzo nie-swojo, a poza tym wyglądał jakoś mizerniej.

- Mam dobre wieści, panie Dehner - oznajmił Monk. - Pańskie próbki zawierają osiemdziesiąt uncji złota na tonę skały, z niewielką domieszką miedzi i srebra. To nadzwyczaj bogata ruda.

- Cudownie - ucieszył się Dehner, klepiąc Barkleya po plecach.

- Skoro jednak jest pan człowiekiem ceniącym sobie przezorność - mówił dalej Monk - doradzałbym dokonanie jeszcze jednego wybuchu, pod moim nadzorem, aby potwierdzić wynik analizy.

- Nie widzę powodu - powiedział Barkley do Monka. - Chyba że chce pan sobie zapłacić kolejną zapłatą pana Dehnera.

- Nie będzie żadnej dodatkowej opłaty - zapewnił Monk. - Konsultację proponuję grzecznościowo człowiekowi, który być może niebawem stanie się poważanym członkiem naszej społeczności.

- Będę pana dłużnikiem, panie Monk - powiedział Dehner i spojrzał na Barkleya. - Chyba że pan miałby coś przeciwko temu, panie Barkley.

- Oczywiście nie, panie Dehner - odpowiedział Barkley. - Może pan wysadzić w powietrze całą górę, jeśli ma pan ochotę. Chciałem tylko uchronić pana przed naciąganiem na niepotrzebne koszty, to wszystko.

- Doceniam pańską troskę, jednak pan Monk ma moje pełne zaufanie.

- Skąd wziął pan proch? - zapytał Monk.
- Ze sklepu wielobranżowego.
- Zatem chodźmy tam i załatwmy sprawę. - Mężczyźni ruszyli w kierunku drzwi, a kiedy tylko odwrócili się do nas plecami, Monk szepnął mi w ucho: -Sprowadź szeryfa.

Gdy mężczyźni szli do sklepu wielobranżowego, ja puściłam się pędem w przeciwną stronę, do biura szeryfa. Nie miałam pojęcia, dlaczego Monk chciał się z nim widzieć, ale serce mi biło jak szalone, i to wcale nie od biegu.

Wheeler siedział rozparty na krześle przed aresztem, opierając wyciągnięte nogi na barierce do uwiązania koni. Kapelusz miał nasunięty na oczy i chrapał głośno. Jego bujne wąsiska, przypominające monstualną gąsienicę, unosiły się z każdym wydechem. Podchodząc do szeryfa, z daleka już robiłam sporo hałasu, żeby go nie przestraszyć.

- Szeryfie?
- Witam, pani Guthrie - powitał mnie Wheeler. - Wcale nie śpię. Na ulicy unosi się mnóstwo kurzu i nie chcę tylko, żeby jakiś pyłek wpadł mi w oko.
- Rozumiem. Pan Monk chce się z panem natychmiast zobaczyć.

Wheeler westchnął ciężko.

- Niech zgadnę. Zobaczył, jak dwaj faceci piją z jednej szklanki, i chce, żeby ich aresztować, a szklankę zniszczyć?

- Wydaje mi się, że to nieco poważniejsza sprawa.
- Pies zrobił kupę na ulicy? - zgadywał dalej szeryf. - Mam aresztować psa, a ulicę zniszczyć?

Pokręciłam głową.

- Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale pan Monk prosił, aby przyszedł pan do sklepu wielobranżowego.

Jest tam w tej chwili z Edem Barkleyem i jakimś Jonasem Dehnerem, dzentelmenem z San Francisco, który jest zdecydowany kupić kopalnię przy Zeskoku Joego.

- Chętnie poznam jeszcze jednego bogacza z San Francisco - mruknął Wheeler.

Szeryf wstał, poprawił kapelusz i ruszyliśmy w kierunku sklepu.

Dotarliśmy tam w chwili, kiedy Zeb Graves i jego ludzie załadowywali na wóz Dehnera skrzynki z gotowym materiałem wybuchowym - czarnymi łaskami prochu owiniętymi w papierowe łuski - i szpulki wolno spalającego się lontu Bickforda.

Zeb miał na sobie białą koszulę z muszką pod szyją i spodnie na szelkach. Wąsy miał pociągnięte warstwą wosku grubszą niż świeca. Włosy zawsze miał tłuste, a dłonie lepły się od brudu. Mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, jak się musi czuć jego żona, kiedy kładzie się z nim spać. Ich łóżko musi być lepkie jak patelnia po wysmażeniu kilku pasków bekonu.

Monk uśmiechnął się na nasz widok.

- W samą porę. Panie Dehner, to szeryf Wheeler.

- Miło mi pana, poznać, szeryfie - powiedział Dehner i uściśnął Wheelerowi dłoń.

- Wzajemnie - odparł szeryf.

- Szeryfie, będzie pan łaskaw wyciągnąć broń i wymierzyć ją w Eda Barkleya i Zeba Gravesa - powiedział Monk. - Panie Dehner, pańscy ludzie powinni prawdopodobnie uczynić to samo.

- A to dlaczego?

- Ponieważ Ed i Zeb obrabowali Złoty Ekspres - oznajmił Monk. - Zaraz to udowodnię.

Szeryf Wheeler wyjął z kabury rewolwer z taką

szybkością, że zdawało się, jakby broń znalazła się w jego ręce za sprawą magicznej różdżki. Ludzie Dehnera poszli za przykładem szeryfa.

- To niedorzeczne, Monk. Tym razem posunąłeś się za daleko — wybuchnął Zeb.

Monk podszedł do powozu i otworzył skrzynkę z materiałami wybuchowymi.

- Kopalnia przy Zeskoku Joego rzeczywiście kryje w sobie spory potencjał. Nie mógł pan znieść myśli, że kupiec wykupi ją za cenę niższą, niż w istocie jest ona warta. - Monk wziął do ręki jedną z lasek prochu, przeciął scyzorykiem papierową łuskę i wysypał czarny proszek na podłogę powozu; proszek mienił się płatkami złota. — Wymyślił więc pan bardzo sprytny sposób na to, jak ją uatrakcyjnić. Brakowało panu tylko jednego. Trochę złota, które mógłby pan przemieszać z prochem. Ukradł je pan ze Złotego Ekspresu.

- Każdy trochę soli złotem swoją działkę - powiedział bezwstydnie Ed. - To część biznesu.

- To szalbierstwo - oburzył się Dehner.

- Pan jednak zrobił coś więcej - mówił Monk do Zeba. - Napadł pan na pociąg, zabił trzech ludzi i skruszył złoto na pył, by zmieszać je z prochem.

- Nikogo nie zabiliśmy, a złoto nie pochodzi ze Złotego Ekspresu - stwierdził Zeb Graves.

Monk potrząsnął głową.

- Te duże płatki złota w oddanej do analizy skale wydały mi się podejrzone, więc przeprowadziłem na nich test zawartości metalu szlachetnego w stopie. To złoto pierwszej próby, dziewięćset szesnaście

koma sześćdziesiąt sześć cząstek na tysiąc. Jestem pewny, że tej samej próby jest złoto, które zmiesza liście z prochem.

- Co z tego? - zapytał Ed.
- To dokładnie to samo złoto i ta sama próba metalu, jaką mają monety państwowej mennicy w San Francisco.

- Niech mnie kule - powiedział Wheeler.
- Domieszki miedzi używa się do utwardzenia złota przeznaczonego do bicia monet - wyjaśnił Monk.

Ed wycedził przez zęby jakieś przekleństwo, skrzywił cierpko twarz i zacisnął pięści. Zęb spuścił tylko głowę i wbił wzrok w nogi. Wiedzieli już, że czeka ich stryżek. Jedyne pytania, jakie pozostawały jeszcze bez odpowiedzi, to kiedy to się stanie i czy zawisną na szubienicy czy też na gałęzi drzewa.

- Ta straszne, co złoto robi z ludzkim charakterem. - Dehner pokiwał głową ze wstrętem. - Czy w tym nieszczęsnym kraju żyje choć jeden uczciwy człowiek?

- Jest Artemis. - Uśmiechnęłam się do Monka, napotkawszy jego wzrok.

Ku mojemu zaskoczeniu nie odwrócił oczu i odwzajemnił uśmiech.

- Zapomniałaś o szeryfie, Abby - dodał.

- Och, oczywiście.

- Ja się nie liczę - stwierdził Wheeler. - Mnie płacą za uczciwość.

- To bardzo krzepiące wiedzieć, że jednak gdzieś uczciwość popłaca - powiedział Dehner.

- To nie są kokosy. Ale przynajmniej nie muszą się martwić, że też mogą zawisnąć na stryżku - powiedział Wheeler.

Adrian Monk zatrzasnął książkę.

Z trudem trzymałam oczy otwarte. Ale nawet

w tym półśnie, powodowanym środkami przeciwbólowymi, nie mogłabym nie rozpoznać wyrazu jego twarzy. Malował się na niej błogi spokój.

- Artemis Monk to geniusz - powiedział. - Musimy być krewnymi.

- Rozwiązał pan zagadkę? - zapytałam, ale język miałam tak zeszywniały, że z moich ust, jak się obawiam, wydobyło się coś w rodzaju: ruosff-fiąsaalpnnnsaadke?

Jednak Monk musiał zrozumieć, o co pytam, ponieważ się uśmiechnął i wypowiedział tylko jedno słowo, które zaprowadziło mnie w krainę snu.

- Wszystko.

Detektyw Monk i ostateczna rozgrywka

Przebudził mnie ból.

Początkowo czułam tylko ledwie uświadamiany dyskomfort, który jednak, w miarę jak przestawał działać vicodin, narastał, stawał się coraz bardziej przenikliwy i coraz trudniej było go ignorować.

Chciałam się poprawić na łóżku, ale rękę miałam na temblaku i najdrobniejszy ruch sprawiał ból. Zabandażowane palce lewej ręki pulsowały bólem w miejscach, gdzie niegdyś miałam paznokcie. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że końcówki moich palców są jak piłeczki do golfa. Zdarte kolano kłuło nieznośnie. Każda próba przeniesienia ręki na klatkę piersiową lub materac powodowała natychmiastowy świdrujący ból.

Ostatkiem woli toczyłam walkę, aby się nie budzić i dalej trwać w bezpiecznym kokonie snu. Jednak ból dopraszał się uwagi, kłuł, szturchał, krzyczał, aż w końcu moje oczy otworzyły się gwałtownie.

Cała byłam spocona i pachniałam, wiem, że to zabrzmi dziwnie, nie sobą. Pachniałam, jakbym pała twarzą w talerz przy stole w indyjskiej restauracji. Doszłam do wniosku, że musi to być zapach mojego potu, wraz z którym ulatniał się z mojego organizmu vicodin.

Pokój był mroczny. Jedynie blade światło parkin-

gowych latarni przesączało się skąpo zza okna przez zaciągnięte zasłony. Drzwi do łazienki były lekko uchylone i widziałam, że łazienka jest pusta.

Gdzie jest Monk?

Odwróciłam głowę i spojrzałam na radiobudzik. Pokazywał dziewiętnastą trzydzieści siedem. Nieparzysta liczba. Monk wziąłby to za zły znak.

Spałam przez cały dzień i z jakiegoś powodu strasznie mnie to rozeźliło. Nie mogę powiedzieć, że prześpałam jakieś bardzo pilne zajęcia czy nie wykonałam przez to jakiejś istotnej pracy. Ale nie czułam się szczęśliwie, mając świadomość, że dzień zszedł mi w odurzającym stuporze, po którym pluskam się w pocie zapachu curry. Nie podobało mi się też, że nie miałam na oku Monka, choć prawdopodobnie wymagałam opieki bardziej niż on.

Moje pigułki leżały na szafce nocnej, ułożone równo na serwetce obok butelki wody Summit Creek, pudełka Wheat Thins i napisanej odręcznie przez Monka notatki.

Notatka wyglądała tak, jakby wyszła wprost z drukarki laserowej. Napisanie jej zajęło Monkowi na pewno parę godzin.

Natalie,

Bardzo przepraszam, że nie będzie mnie przy tobie, kiedy się obudzisz, ale mam do rozwikłania sprawę napadu na pociąg i trzech morderstw.

Obok leżą twoje lekarstwa. Popijaj wodę zgodnie z zaleceniami na etykietce butelki i zażyj pigułki z dwudziestoma płatkami Wheat Thins. Pij dużo napojów i dużo odpoczywaj.

Zobaczymy się nad ranem. Opowiem ci wtedy, jak udało mi się rozwiązać zagadki tych zbrodni.

PS Na wszelki wypadek zablokowałem w telewizorze kanały filmowe, żebyś w stanie farmakologicznego delirium nie aplikowała sobie dodatkowych dawek odurzających. Polecam zdrowe i pasjonujące programy na kanale pogodowym oraz teleturnieje.

Łyknęłam pigułki, popiłam wodą i przegryzłam parę płatków Wheat Thins, roztrząsając sytuację i czekając, aż zacznie działać vicodin.

Co Monk sobie wyobrażał, wychodząc samemu do miasta? Nie zdawał sobie sprawy, jakie to niebezpieczne? Skąd ten pośpiech? Dlaczego z zamknięciem sprawy nie mógł poczekać do rana?

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam przed zapadnięciem w sen, była zadowolona twarz Monka zaraz po tym, jak przeczytał mi fragment pamiętników Abigail Guthrie.

Z pewnością rozwikłał sprawę morderstw Manny'ego Feikemy i Clifforda Adamsa, a także napadu rabunkowego na Złoty Ekspres, ale był zbyt wielkim egoistą i uparciuchem, żeby po prostu zadzwonić do komendanta Keltona albo kapitana Stottlemeyera i pozwolić im zamknąć śledztwo.

Z drugiej strony może wcale nie mam racji.

Wzięłam z szafki nocnej swój telefon komórkowy i przejrzałam listę wykonanych ostatnio połączeń. Kiedy smacznie spałam, Monk dzwonił w kilka miejsc, w tym także do kapitana Stottlemeyera. Dobry znak. Poza tym, sądząc po numerze kierunkowym, parę razy telefonował do kogoś w Opałach.

Nie było łatwo trzymać w dłoni telefon i zaban-dażowanymi palcami tej samej ręki przyciskać numery na klawiaturze. Kilka razy upuściłam apa-

rat, usiłując wybrać numer, i niemal cisnęłam nim o ścianę z wściekłości.

Zaczęłam od telefonowania do biura kapitana Stottlemeyera, ale słuchawkę podniósł jakiś nieznamy mi detektyw i poinformował, że kapitana nie ma w komendzie. Zapytałam o porucznika Dishera, ale otrzymałam podobną odpowiedź.

Do obu próbowałam się dodzwonić na telefony komórkowe, ale za każdym razem odzywała się automatyczna sekretarka. Najprawdopodobniej pracowali na miejscu przestępstwa albo deptali po piętach jakiemuś podejrzanemu.

Pozostały dwa numery lokalne. Wybrałam pierwszy z nich i usłyszałam automatyczną sekretarkę towarzystwa historycznego w Opałach. Nie miałam pojęcia, dlaczego Monk telefonował do Doris Thurlo, ale domyślałam się, że najpewniej chodziło o sprawdzenie paru faktów w kwestii napadu na Złoty Ekspres lub może nawet o dowiedzenie się czegoś więcej na temat Artemisa Monka.

Drugi z numerów połączył mnie z sekretarką automatyczną Muzeum Gorączki Żłota. Hm, to już pachniało nieco gorzej. Pracownikiem muzeum był Bob Gorman, który przecież okłamał nas, mówiąc, że Gator Dunsen przyjechał do miasteczka szukać Manny'ego Feikemy.

Czy oznaczało to, że Gorman był zamieszany w morderstwa? Czy może ktoś go przekupił, by wpuścić nas w maliny?

Nie znałam odpowiedzi, ale miałam nadzieję, że Monk nie poszedł do muzeum, by samemu wypytać o to wszystko Gormana. Jednak w rejestrze połączeń swojego telefonu nie widziałam połączenia z komentantem Keltonem, co budziło mój najwyższy niepokój.

Ostrożnie zwiesiłam nogi z łóżka i wstałam. Natychmiast tego pożałowałam. Zabolało mnie tak mocno, że usiadłam na łóżku i rozplakałam się.

Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, co musiał czuć Kelton, kiedy zwichnął ramię dwukrotnie w ciągu jednego dnia. Czy ból, którego doznawał, był taki sam jak mój? Czy może dwukrotnie większy? Jeśli tak, to nic dziwnego, że facet zaczął pić.

Ból powoli zaczął ustępować i znowu spróbowałam ostrożnie wstać, ale tym razem już tak nie zabolało.

Wyjęłam z torebki wizytówkę Keltona i wróciłam do łóżka, by zadzwonić do jego biura.

Oficer dyżurna powiedziała, że komendant wyszedł na kolację. Zapytała jeszcze, czy ma mu przekazać jakąś informację, ale doszłam do przekonania, że najlepszym rozwiązaniem będzie prawdopodobnie rozmowa.

Wciąż miałam na sobie niebieską, szpitalną koszulę, a nie chciałam przechodzić przez katusze przebierania się, mając jedną rękę na temblaku, a przy drugiej zabandażowane palce. Wzięłam więc kurtkę, wsunęłam zdrową rękę w lewy rękaw, a prawą połowę kurtki tylko zarzuciłam na nastawione ramię. Nawet nie próbowałam jej zapinać na zamek błyskawiczny.

Pasek torebki przełożyłam przez głowę, a samą torebkę przesunęłam sobie pod zdrowe ramię. Pasek pełnił w ten sposób drugą funkcję - zapobiegał zsunięciu się kurtki z nastawionego ramienia.

Kiedy kładłam się do łóżka, swoje sportowe buty rzuciłam z nóg bez rozwiązywania sznurowadeł. Teraz więc wsunęłam w nie stopy i zaczęłam krę-

cić nimi w prawo i lewo. Po dłuższej chwili udało mi się je w miarę komfortowo ułożyć.

Kiedy wreszcie to wszystko zrobiłam, pot lał się ze mnie strumieniami. Nawet wam nie powiem, jak paskudnie pachniałam.

Chwyciłam klucz i wyszłam.

Vicodin działał coraz lepiej i wrażenie bólu w ramieniu z wolna przeistaczało się z palenia zatopionego pod pachą rozżarzonego pogrzebacza w tępe pulsowanie naciągniętego mięśnia. I chociaż ramię uciskały teraz dwa paski wiszące na szyi, jeden od temblaka i drugi od torebki, to środki przeciwbólowe zdawały się łagodzić również ten dyskomfort.

Och, cuda współczesnej farmakologii.

Przez frontowe okno Chuckwagon zobaczyłam komendanta Keltona. Siedział przy barze plecami do mnie. Przy stolikach siedziało czterech innych gości.

Kiedy weszłam do środka, komendant rozmawiał z Crystal DeRosso, która spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym przed chwilą na siebie zwymiotowała. Nie powiem, żeby było to sympatyczne powitanie, ale na jej usprawiedliwienie musiałam przyznać, że w przepoconej, szpitalnej koszuli, z przyklapniętymi włosami, podkrążonymi oczami, ręką na temblaku i zabandażowanymi palcami przedstawiałam żaloszny widok. Ale to wszystko było niczym wobec upajającego aromatu, jaki roztaczałam.

Zapewne również mój oddech pachniał jak tyłek górskiej kozicy.

Nie było już dla mnie żadną tajemnicą, co wypędziło z motelu Monka, który dziwnie szybko zapragnął rozwikłać sprawę zabójstw.

To byłam ja.

Kelton odwrócił głowę, aby zobaczyć, co przykuło

spojrzenie Crystal. Zdawał się być wręcz przestraszony, widząc mnie w progu restauracji. Zauważyłam, że ma przy sobie broń. To dobrze. Może mu się dzisiaj przydać.

- Natalie, dlaczego nie leżysz w łóżku?
- Szukam pana Monka. Nie widziałeś go?
- Nie. Nie ma go z tobą?
- Myślisz, że gdyby był, stałabym tutaj i pytałam cię, gdzie, u diabła, jest Monk?
- Słusznie, to było głupie pytanie. - Kelton wstał ze stołka i wskazał jeden z boksów ze stolikami. - Usiądź. Zamówię ci kawę.

Nie usiadłam.

- Rozmawiałeś z nim?
- Nie rozmawiałem. Uspokój się, usiądź, powiedz, co cię tak wytrąciło z równowagi.
- Och, sama nie wiem, może ta wczorajsza krwawa strzelanina, a może tylko to, że zdarłam paznokcie i wyrwałam sobie ramię ze stawu, próbując wyciągnąć pana Monka z tego szybu, a może podziałał tak na mnie widok dwóch sępów skubiących na śniadanie ciało Clifforda Adamsa. Naprawdę trudno mi powiedzieć. Może sam coś wybierzesz?

Wszyscy wbili we mnie osłupiały wzrok. Twarz Keltona stężała. Komendant otworzył drzwi.

- Porozmawiajmy na zewnątrz - powiedział ta kim tonem, że nie zabrzmiało to jak propozycja do odrzucenia.

Przeszłam obok niego i wyszłam na parking. Obejrzałam się i zobaczyłam, jak Crystal DeRosso i goście odprowadzają mnie spojrzeniami. Miałam ochotę pokazać im środkowy palec, ale byłam dobrze wychowaną panią.

- No dobrze, zatem Monk wyszedł sam z motelu -

zaczął Kelton. - Jestem przekonany, że to nic wielkiego. Pewnie poszedł na spacer albo coś przekąsić. Potrząsnęłabym energicznie głową, ale z dwoma paskami owiniętymi wokół szyi trudno byłoby to zrobić bez zaduszenia się na śmierć.

- Mylisz się - stwierdziłam. - Monk rozwikłał sprawę napadu na Żółty Ekspres oraz morderstwo Manny'ego Feikemy. Sądzę, że ruszył w pościg za zabójcą.

Brwi Keltona strzeliły tak wysoko w górę, że niemal wpadły na orbitę okołozemską.

- Kto jest zabójcą? - zapytał.

- Tego nie wiem.

- Gdzie jest złoto skradzione z pociągu?

- Tego też nie wiem.

- Zatem skąd wiesz, że Monk rozwiązał obie zagadki?

- Ponieważ mi to powiedział - wyjaśniłam. - Też przed tym, jak uśpił mnie środek przeciwbólowy. Kiedy się obudziłam, Monka nie było, ale zostawił mi karteczkę z informacją, że zobaczymy się nad ranem, kiedy będzie po wszystkim. Obawiam się, że „po wszystkim” może oznaczać również „po Monku”.

Komendant zmarszczył brwi i potarł brodę.

- Nie wpadaj niepotrzebnie w melodramatyzm. Zakładając, że masz rację i Monk rzeczywiście rozwikłał obie te sprawy, to dlaczego uważasz, że grozi mu teraz niebezpieczeństwo?

- Bo nie zadzwonił do ciebie, a to znaczy, że postanowił sam zatrzymać Gormana.

- Gormana? - zdziwił się Kelton. - Co Bob może mieć z tym wspólnego?

- Okłamał nas, twierdząc, że Dunsen przyjechał do Opał w poszukiwaniu Feikemy.

- Skąd wiesz?
- Ponieważ w samochodzie Dunsena nie było motyli na kracie chłodnicy, a zdjęcia z wnętrza muzeum, które znaleziono w jego domu, zrobiono już p o morderstwie - tłumaczyłam. - Na fotografii dioramy poszukiwacz złota nie ma oskarda.

Kelton ściągnął usta.

- Do jasnej cholery, dlaczego Monk nie powiedział mi tego wczoraj na miejscu przestępstwa?

- Nie chciał cię zawstydząć i pakować w jeszcze większe tarapaty, dość dostałeś po głowie.

- W tej robocie nieraz najadłem się większego wstydu - stwierdził Kelton. - Co za głupiec.

- Co robimy?

- Nie wiem, gdzie może być Monk, ale wiem, gdzie szukać Gormana. Pójdę z nim porozmawiać, a ty wracaj do motelu i czekaj tam na mnie.

- Po moim trupie.

- Twój stan nie pozwala ci na żadne wędrówki - powiedział Kelton.

- Nie wrócę do motelu bez pana Monka - oznajmiłam i bezceremonialnie ruszyłam w stronę muzeum. - Idziemy.

Detektyw Monk w muzeum

Pustkę wymarłych, zakurzonych ulic Opał podkreślał głuchy stukot naszych kroków na chodnikowych deskach. Zdawało mi się, że z każdym krokiem cofam się w czasie do lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Nie zdziwiłabym się, gdybym niespodziewanie natknęła się w ciemnościach na Artemisa Monka lub Abigail Guthrie, naszych historycznych sobowtórów.

Pokaźne dawki leków musiały mi już mocno oddziaływać na mózg.

- Co ci jeszcze wiadomo? - pytał tymczasem idący u mego boku Kelton.

Zerknęłam na niego kątem oka i zobaczyłam seryfa Wheelera oraz jego wąsiska wielkości szopa pracza.

- Nic więcej.

- Musi być coś więcej. Na podstawie tego, co mi powiedziałas i co już wiedzieliśmy do tej pory, nie potrafiłbym rozwiązać żadnej zagadki kryminalnej.

- Ja też nie. To właśnie czyni Monka geniuszem. Widzi rzeczy, których inni nie widzą. Co się stało z Adamsem?

- Ktoś uderzył go kilkakrotnie jakimś tępym narzędziem i zaciągnął między głązy. Był martwy mniej więcej od północy.

- Zatem pan Monk się nie mylił. Zabójca zatelefonował do mnie, aby zwabić nas do baraku Adamsa, a jego ciało posłużyło mu jako przynęta, byśmy wpadli w jedną z podziemnych pułapek.

- Najwyraźniej na to wygląda - przyznał. - Było tam kilka podobnych dziur przykrytych butwiejącą dyktą i przysypanych ziemią. Prawdę mówiąc, gdybyś nie zawróciła do Monka i poszła parę kroków dalej, wpadłabyś do podobnego szybu.

- Ktoś się obawiał, że wiemy, kto zabił Manny'ego Feikemę, lub że jesteśmy bliscy rozwiązania zagadki.

- Pewnie Bob Gorman. Jeśli rzeczywiście kłamał i nakierował nasz trop w stronę Dunsena.

- Nie tylko to - stwierdziłam. - Clifford Adams był wczoraj wieczorem w muzeum.

- Był w muzeum?

- Widzieliśmy, jak wychodzi stamtąd tuż przed pojawieniem się Gormana. Ale Bob Gorman też go widział. Stał właśnie na tym rogu - powiedziała, kiedy mijaliśmy ten sam narożnik, idąc w kierunku Drugiej Ulicy. - Może Adams poznał motyw, dla których Gorman zamordował Manny'ego, i postanowił z nim porozmawiać?

- Sądziś, że właśnie dlatego Clifford Adams zginął?

- Mam nadzieję, że nie, bo jeśli tak, to bardzo źle to wróży panu Monkowi.

Ale wówczas uświadomiłam sobie, że Bob Gorman nie mógł zamordować Adamsa. Pracował przecież nocami w muzeum i musiał się rejestrować w kilku czytnikach na terenie placówki, by potwierdzić, że regularnie dokonuje obchodów. Adams mieszkał zbyt daleko za miastem, aby Gorman zdążył dotrzeć

do niego, zabić go i wrócić do muzeum, nie opuszczając obchodu. Musiał zatem mieć współnika.

Albo nie miał nic wspólnego z zabójstwami, a został opłacony przez prawdziwego mordercę, aby wywieść nas na manowce.

Tak czy siak, musiała być w to zamieszana jeszcze jedna osoba. Ale kto?

Niemal natychmiast do głowy przysłała mi Crystal DeRosso, zapewne dlatego, że była córką człowieka, który być może uczestniczył kiedyś w napadzie na pociąg, a poza tym Bob Gorman był właśnie w jej restauracji, kiedy wciskał nam bajkę na temat Dunsena.

Ale dlaczego Gorman czy Crystal DeRosso chcieliby śmierci Manny'ego Feikemy? Co wiedział Clifford Adams, że musiał stracić życie?

Kiedy zastanawiałam się nad tymi pytaniami, dotarliśmy do Muzeum Gorączki Złota. Kelton wyjął z kieszeni nowy, lśniący klucz i wsadził go do zamka.

- Masz klucz do muzeum? - zapytałam zdziwiona.

- Jestem szefem policji. — Kelton się uśmiechnął, a potem otworzył drzwi i gestem zaprosił mnie do środka. - Panie mają pierwszeństwo.

Wkroczyłam w mrok wnętrza muzeum. Od razu dobiegł mnie z ciemności dziwny, metaliczny dźwięk drapania.

Kelton wyjął z kieszeni niewielką latarkę policyjną, włączył ją i omiół pomieszczenie jasnym, silnym snopem, oświetlając na moment pudła do wytrząsania złota, śluzy, dyliżanse i powozy. Światło latarki odbijało się od srebrzystych dagerotypów wiszących na ścianach, tworząc obrazy mieniących się w mroku upiornych twarzy. Poczułam, jak ciarki idą mi po plecach.

Szłam za Keltonem, który lawirował pomiędzy gablotami, kierując się do Złotego Ekspresu. Byłam zdziwiona, że Gorman nie zauważył jeszcze naszego wejścia. Kiepski był z niego strażnik.

Im bliżej byliśmy lokomotywy, tym wyraźniejszy wydawał się dźwięk metalicznego drapania, choć niósł teraz w sobie stłumione brzmienie odbijające się dziwnym echem. Jakby ktoś drapał gwoździem po wewnętrznej ścianie klosza kościelnego dzwonu.

Kelton stanął przed pociągiem. Wewnątrz jarzyło się słabe światelko.

- Bob! - zawołał komendant. - Musimy porozmawiać!

Z lokomotywy wynurzył się Gorman. Na sobie miał roboczy kombinezon mechanika samochodowego i kask górniczy z wbudowaną latarką nad czołem. Na jego rękach i policzkach zalegała warstwa czarnego brudu.

Dlaczego nie był ubrany w uniform strażnika?

- Co jest, do cholery? - zapytał Gorman.

Kelton wyciągnął broń.

- Szukamy Adriana Monka.

- Tu go nie ma.

- Sądzę, że się mylisz, Bob - powiedział Kelton i podniósł głos. - Monk! Mówi Kelton. Jest ze mną Natalie. Pokaż się.

Naraz usłyszałam za plecami szmer. Komendant Kelton skierował latarkę w dioramę z poszukiwaczem złota.

Z górniczej chaty w dioramie wyłonił się Monk. Ukrywał się dokładnie w taki sam sposób jak zabójca Manny'ego Feikemy. Monk, w swoim zwykłym ubraniu, podszedł do nas, manewrując między wy-

pchanymi osłami i manekinami przedstawiającymi poszukiwaczy złota.

- Cieszę się, że nic panu nie jest - stwierdziłam.

- Ale ty wyglądasz okropnie. Powinnaś zostać w łóżku.

- Nie powinien był mnie pan zostawiać - powiedziałam. - Martwiłam się o pana i, jak widać, nie bez powodu. Po co pan się tu schował?

- Chciałem przyłapać Boba Gormana na gorącym uczynku.

- Jak robi co?

- Jak ogołaca Złoty Ekspres ze złota - odparł Monk.

Spojrzałam przez ramię na Gormana, a potem na pociąg. To, co sugerował Monk, wydawało się nie do pomyślenia.

- Złoto jest wciąż w pociągu? - zapytałam.

Monk przytaknął.

- Jake Slocum powiedział prawdę. Trzecim ze współników był DeRosso. Ale Slocum nie wiedział, że w napadzie uczestniczyli również maszynista i palacz. Ralph DeRosso wypadł z pociągu po tym, jak doręczył worki z łupem Leonardowi McElroyowi i Cliffordowi Adamsowi w lokomotywie.

- Co zrobili z workami? - zapytałam.

- Oczywiście wrzucili je do kotła. Dlatego worki były z juty, żeby mogły się szybko spalić.

Spojrzałam na Keltona, ale ten nie wydawał się zaskoczony wyjaśnieniami Monka.

- To wcale nie takie głupie, jak by się pozornie wydawało - powiedział.

- Ależ owszem - stwierdziłam. - Wrzucając worki w ogień, bandyci spaliliby także banknoty.

- Gotówka ich nie interesowała. Chcieli mieć tylko złoto.

- To dlaczego wrzucili je do kotła?
- Stopili złoto, pokryli nim wnętrze kotła, a potem obsmarowali grubą warstwą czarnej sadzy - wyjaśnił Monk. - Choć nie było to konieczne. Nikomu nie przyszło do głowy, że bandyci wrzucili łup w ogień.

- Aż do dzisiaj - dokończył Kelton.

- Wpadłem na to dopiero wtedy, gdy przeczytałem, jak Artemis Monk, legendarny probierca Opał z lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, rozwikłał zagadkę innego napadu na Złoty Ekspres - ciągnął Monk. - W tamtym wypadku przestępcy roz-kruszyli złote monety na proszek, chcąc posypać nim swoją działkę wystawioną na sprzedaż. Ten plan skojarzył mi się z Cliffordem Adamsem i jego marną kopalnią, a także z tym, jak opowiadał o ciągłości złota.

- Przepraszam, może pigułki za mocno na mnie działają- wtrąciłam - ale wciąż nie rozumiem, dlaczego bandyci spalili worki i stopili złoto.

- Po tamtym kursie pociąg miał iść na złom. Bandyci planowali odzyskać kocioł na złomowisku i tam spokojnie zdrapać złoto, udając potem, że pochodzi ono z kopalni Adamsa - mówił Monk. - Nikt by się nie dowiedział, że w rzeczywistości złoto pochodzi z napadu rabunkowego na pociąg.

Zrozumiałam teraz, dlaczego lektura pamiętników Abigail Guthrie spowodowała, że Monkowi zaczęło się wszystko układać w głowie. W mojej głowie także zaczęło coś świtać. Wszystkie elementy układanki coraz lepiej do siebie pasowały. Niemal słyszałam, jak z cichym trzaskiem łączą się jeden z drugim.

- Plan mógł się okazać doskonały, gdyby nie pew-

na nieprzewidywalna złośliwość losu - powiedziałam. - Napad tak rozszławił Złoty Ekspres, że nie oddano pociągu na złom, lecz eksploatowano na tej samej trasie przez następnych dwadzieścia lat. Bandyci nie byli w stanie odzyskać złota.

- Wpadli jak śliwki w kompot. - Kelton pokiwał zgodliwie głową. — Ale nie zamierzali się poddawać. Przecież mieli złoto. Po prostu musieli czekać, więc pracowali dalej na tej linii. McElroy rok za rokiem sypał węgiel do tego samego kotła, aż w końcu szczywany lis wyzionął ducha od sadzy w płucach.

- Wtedy nastąpiła jeszcze jedna złośliwość losu - dodałam. - Długie lata czekania i strzeżenia skarbu poszły na marne. Kiedy pociąg w końcu wycofano z użytku, muzeum przejęło lokomotywę i nie było mowy, aby Clifford Adams mógł odzyskać złoto.

- Co za fujary - rzucił Gorman.

Niemal już zapomniałam, że Bob Gorman wciąż stoi obok nas. Monk wymierzył w niego palec.

- To pan zabił Manny'ego Feikemę, aby dostać jego posadę i spędzać nocę na wyskrobywaniu złota z kotła - oświadczył Monk. - Ale był tylko jeden sposób, abym mógł tego dowieść.

Spojrzałam na ubrudzone ręce Gormana i przypomniałam sobie, jak szorował je w restauracji. Odpowiedź na naszą zagadkę cały czas mieliśmy pod nosem! Ale z drugiej strony zawsze ją mamy pod nosem.

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Gorman jest na tyle bystry, aby domyślić się tajemnicy Złotego Ekspresu. Zastawiając na niego pułapkę, Monk podjął ogromne i niemądre ryzyko.

- Skoro chciał pan przyłapać Gormana na gorącym uczynku, dlaczego przyszedł pan sam do mu-

zeum? Dlaczego nie ściągnął pan komendanta Keltona? - spytałam Monka.

Mówiąc ostatnie słowa, spojrzałam na Keltona. Zobaczyłam wtedy, że broń, którą komendant trzymał przez cały czas w ręku, wcale nie była wymierzona w Boba Gormana.

Była wymierzona we mnie.

Detektyw Monk i niespodzianka

Byłam wstrząśnięta. Czułam się jednocześnie zdradzona, ogłupiona i wściekła.

- Ty?! - powiedziałam do Keltona.

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować, Natalie. Jeśli może cię to pocieszyć, to wiedz, że nie jestem z tego dumny. Nigdy mi do głowy nie przyszło, że rzeczy mogą się tak bardzo wymknąć spod kontroli.

- Jak do tego doszło?

- Kiedy trafiłem do tej zapadłej dziury na końcu świata, miałem mnóstwo wolnego czasu. Bardzo mi zależało, aby uciec przed nudą w sposób, który nie wiązałby się z ustawicznym oglądaniem dna butelki po whisky. Zacząłem prowadzić śledztwo w sprawie napadu na Złoty Ekspres. Jestem naprawdę niezłym detektywem, jeśli nie piję.

- Pomógł panu mój daleki krewny - powiedział Monk.

- Rozmawiałem dziś z Doris Thurlo. Dowiedziałem się od niej, że przed kilkoma tygodniami przeczytał pan pamiętnik Abigail Guthrie.

- Owszem. W niedługim czasie po lekturze pamiętnika domyśliłem się, co się stało ze skradzionym złotem - powiedział Kelton. - Gdybym jednak powiedział o wszystkim dyrekcji muzeum, że złota nie dostałbym ani okruszka. Uważałem, że to niesprawiedliwe. Postanowiłem obmyślić sposób, jak

wydostać złoto, aby dyrekcja nigdy się nie dowiedziała, że w ogóle było w lokomotywie.

- Najpierw poszedłeś ze swoim pomysłem do Manny'ego? - zapytałam.

- To nie miałyby sensu. Znałem go wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nigdy by nie poszedł na coś takiego. Szkoda, bo jeśli Manny nie mógł mi pomóc, to nie miałem wyboru.

- Jak to nie? Nie mógł pan po prostu zrezygnować z pomysłu zagarnięcia dla siebie całego złota?

- Taak, jasne... - sarknął Gorman. - Pani jest naćpana czy co?

- Właściwie to jestem - stwierdziłam.

Był to zapewne jedyny powód, że nie czułam w tym momencie strachu, choć mierzył do mnie z pistoletu człowiek, który bez skrupułów mógł pociągnąć za spust.

- Zatem postanowił pan brnąć dalej - powiedział Monk do Keltona. - Ale ponieważ nie był pan w stanie sam wydobyć złota, musiał pan nająć współnika do czarnej roboty.

- To mnie obraża - zaprotestował Gorman. - Dla nikogo nie wykonuję czarnej roboty. To była spółka oparta na równych zasadach.

- Prawda - zgodził się Monk. - Pan zabił Manny'ego Feikemę, a komendant Clifforda Adamsa.

- Jak doszedł pan do tak daleko idących wniosków, Monk? - zapytał Kelton.

- Znalazłem to na drodze do baraku Clifforda Adamsa. - Monk sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej odłamek ozdobnego białego kamyka. - Przed domem Dunsena zaparkował pan radiowóz za jego samochodem na żywirowej alejce. Ten kamyk wszedł w bieżnik opony pańskiego auta, jednak wyleciał,

gdy wjechał pan w wyrwę, jadąc zabić Clifforda Adamsa.

W miarę jak docierało do mnie pełne znaczenie wyjaśnień Monka, czułam, jak fala gorąca napływa mi do twarzy. Spojrzałam na niego gniewnie w nadziei, że patrząc mi w oczy, odczuje żar mojej wściekłości.

- Od rana wiedział pan, że Kelton jest mordercą, i nie powiedział mi pan ani słowa?

- Prawdę mówiąc, już wczoraj w domu Dunsena wiedziałem o tym, że jest winny co najmniej jednego zabójstwa, ale nie mogłem tego udowodnić.

- To jeszcze gorzej! - krzyknęłam.

Kelton przytknął do moich pleców lufę pistoletu.

- Ciszej, proszę.

- Nie tylko utrzymywał mnie pan w mrokach niewiedzy - mówiłam najgłośniejszym i najbardziej zagniewanym szeptem, na jaki było mnie stać. - Pan mnie po prostu okłamał!

Bob Gorman pokazał drwiący uśmiezek.

- Niezła parka, co? - powiedział do Keltona.

- Widziałem, że Kelton wpadł ci w oko - tłumaczył Monk. - Nie chciałem więc ryzykować, że podczas waszych intymnych kolacji mimowolnie naprowadzisz go na trop moich podejrzeń.

- Intymnych! - Aż dziw brał, że moja twarz nie zapłonęła żywymi płomieniami, tak była gorąca od gniewu. - Zjedliśmy cheeseburgera w Chuckwagon. Podczas kolacji nie było nic, co choćby z daleka mogłoby sugerować intymność i, do diabła, jestem więcej niż pewna, że Kelton nie wpadł mi w oko.

- Owszem, wpadłem. Obróciłam się do niego na pięcie.

- Chciałbyś!

Kelton się uśmiechnął.

- W takim razie dlaczego poczułaś się zdradzona, kiedy Monk powiedział, że to ja kryję się za całą sprawą?

- Ponieważ ci zaufałam - odparłam.

- Ponieważ miałaś na mnie ochotę - stwierdził Kelton. — Ja to wiedziałem, Monk to wiedział...

- Ja wiedziałem - wtrącił się Gorman. - Crystal wiedziała...

- Osiołki na ulicy wiedziały - zakończył Monk.

Najbardziej w furię wprawiało mnie to, że Kelton miał rację. Do cholery, owszem, wpadł mi w oko. Co prawda nie miałam wobec niego żadnych konkretnych zamiarów, ale mimo wszystko, zainteresowałam się zabójcą, który potem z ciebie jawnie drwi, to potwornie upokarzające uczucie.

Spojrzałam na broń, którą trzymał wycelowaną w mój brzuch, co przywołało mnie do rozsądku. Stałam naprzeciwko zabójcy, który z całą pewnością nie miał zamiaru wypuścić nas z tego muzeum żywymi.

Najlepszą szansą na przeżycie było dać Keltonowi gadać, dopóki Monk albo ja nie wpadniemy na pomysł ucieczki. Na pewno nie mogliśmy się ludzi nadzieją, że przybędzie nam na ratunek policja, skoro komendant policji stał w tej chwili przed nami i mierzył do nas z pistoletu. Może w okolicy przebywa jakiś superbohater, który zorientuje się w naszym beznadziejnym położeniu i w ostatniej chwili wpadnie przez sufit do muzeum?

Nie było dla nas nadziei, ale mimo wszystko postanowiłam przeciągać ten moment, ile się tylko dało.

- Dlaczego zabiłeś Clifforda Adamsa? - zapytałam.

- Po rozmowie z wami nabrał podejrzeń. Dłate-

go przyszedł do muzeum, żeby zajrzeć do lokomotywy i sprawdzić, czy złoto jeszcze jest na swoim miejscu. Zauważył, że ktoś zaczął wydrapywać kruszec, i szybko domyślił się reszty. W każdym razie takie miałem przekonanie. Kiedy wczoraj wieczorem Bob zobaczył, jak Adams wychodzi z muzeum, musiałem założyć najgorsze i powstrzymać starego głupca przed zrobieniem czegoś niemądrego.

- Komendantowi nie było trudno zabić Clifforda Adamsa - powiedział Monk. - Był już doświadczonym zabójcą. Właśnie zabił Gatora Dunsena, którego próbował zrobić w morderstwo Manny'ego Fei-kemy.

- Poszłoby jak z płatka... — Kelton spojrzał wymownie na Gormana. - Gdyby ktoś nie spieprzył sprawy ze zdjęciami i nie zapomniał odłożyć oskarda z powrotem do dioramy.

- Aj! - jęknął Gorman, uświadamiając sobie pełnię błęd. - Cóż, to ty jesteś detektywem. Ty powinieneś zauważyć brak oskarda, kiedy przeglądałeś fotografie. Twoja wina, nie moja.

Przez chwilę zdawało się, że komendant Kelton wypali do Boba Gormana, nie do mnie, i przeciąganie sprawy jednak się opłaci. Ale ta chwila nie trwała długo.

- Teraz to już bez znaczenia - stwierdził Kelton. - Poza Monkiem nikt nie dostrzegł naszego błędu, a Monk nie będzie mógł już o tym nikomu powiedzieć.

- Jak podłożyłeś zdjęcia w domu Gatora Dunsena? - zapytałam.

- To nie Kelton podłożył zdjęcia - odezwał się Monk. - Zrobił to Gorman. Kiedy przyjechaliśmy, był już w domu Dunsena.

- Gorman był w środku? - zdziwiłam się.

- Był tam już od pewnego czasu. Mój domysł jest taki, że grożąc Gatorowi bronią, Gorman zmusił go, by upił się na umór, a potem skrepował go i zakneblował taśmą klejącą. To Gorman oddał pierwszy strzał w drzwi. Kiedy się schowaliśmy za samochód, a Kelton wpadł do domu, wszystkie następne strzały były tylko na pokaz, oczywiście poza tym jednym, który pozbawił życia Gatora Dunsena. Kelton i Gorman wykorzystali ten czas na upozorowanie strzelaniny, zerwali z Gatora taśmę, a Gorman bezpiecznie wymknął się tylnymi drzwiami.

- Krwawiące usta Dunsena - przypomniałam sobie. - Po tym domyślił się pan, że ofiara miała usta zaklejone taśmą.

Monk przytaknął.

- Miał spękane wargi. Kiedy zrywali mu z ust taśmę, oderwali też kawałki zaschłego naskórka.

- Brawo, w ten sposób zamknąłeś sprawę, Monk - stwierdził Kelton. - Nie musisz się martwić o śledztwo w swoich ostatnich chwilach, do których już tak blisko.

- Chcesz nas zastrzelić tutaj? - zapytałam. - Trudno ci będzie to wszystko wyjaśnić.

Kelton potrząsnął głową.

- Zginiecie dzisiaj w okropnym wypadku samochodowym w drodze powrotnej do San Francisco. Nigdy nie powinnaś była pozwolić Monkowi siadać za kierownicą, Natalie. Tak będą mówić na pogrzebie. Ale stanę w twojej obronie i przypomnę wszystkim, w jakim byłaś ciężkim stanie, fizycznym i psychicznym.

- Jak miło z twojej strony.

- Nie martw się, Natalie - uspokoił mnie Monk. - Nic nam się nie stanie.

- Skąd ta pewność? - zapytał Gorman.

- Ponieważ w chwili, gdy komendant Kelton wszedł do muzeum, funkcjonariusze jednostki specjalnej i brygady antyterrorystycznej kalifornijskiej policji stanowej zajęli stanowiska bojowe - mówił Monk. - Budynek jest szczelnie otoczony.

Kelton uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś pewien, że to tylko policja stanowa, Monk? Może mamy tu jeszcze FBI i Gwardię Narodową?

- Tym się nie udało przybyć - usłyszałam nagle znajomy głos, który z miejsca nappełnił mnie otuchą. - Ale policja San Francisco jest na miejscu.

W tej chwili w muzeum zapłonęły światła i w dyliżansie stojącym za Keltonem zobaczyłam kapitana Stottlemeyera, który celował w niego z pistoletu.

- I wszystko mamy nagrane na taśmę — dodał po rucznik Disher, wychodząc z dyrektorskiego biura wraz z detektyw Lydią Wilder i kilkoma policjantami kalifornijskiej policji.

Wszyscy mieli broń skierowaną w Keltona i Gormana.

W ten sposób znaleźliśmy się z Monkiem na linii krzyżowego ognia, ale niewiele się już nad tym zastanawiałam. W tych pełnych napięcia chwilach myślałam tylko o telefonach, które Monk wykonywał z mojej komórki do muzeum i kapitana Stottlemeyera. Zrozumiałam wreszcie, po co dzwonił i dlaczego nie mogłam się połączyć z kapitanem, kiedy sama usiłowałam się do niego dodzwonić; kapitan ukrywał się z Monkiem w muzeum.

Powinłam się była domyślić, że Monk nigdy w życiu nie próbowałby samodzielnie zatrzymać Boba Gormana. Winę za brak dobrej oceny sytuacji, co

zdarzało mi się bardzo rzadko, zrzuciłam na środki przeciwbólowe.

Kelton upuścił broń na podłogę i położył ręce na głowie. Również Gorman podniósł ręce do góry. Stottlemeyer wygramolił się z dylizansu i wyjął zza paska kajdanki.

- Obaj zostajecie aresztowani pod zarzutem za bójstwa Manny'ego Feikemy, Gatora Dunsena i Cliffora Adamsa - oświadczył.

- Proponuję układ - powiedział Gorman.

Kelton prychnął ponuro.

- To chyba rekord świata w szybkości sprzedawania jednego przestępcy przez drugiego.

- Osobiście dopilnuję, aby zawiadomiono komitet rekordów Guinnessa - obiecał Stottlemeyer i zakuł Keltona w kajdanki.

Detektyw Monk w opałach w Opalach

Jakąś godzinę później siedzieliśmy z Monkiem przy stoliku w jednym z boksów w restauracji Dorothy's Chuckwagon. Ja zamówiłam dla siebie cheeseburgera, frytki i milkshake'a. Monk zamówił tosta.

Stottlemeyer i Disher załatwiali jeszcze jakieś sprawy z detektyw Wilder i policją stanową. Wiedziałam już jednak, że obaj zamierzali spędzić noc w naszym motelu, a nad ranem Disher zawiezie nas moim samochodem do San Francisco.

Podczas posiłku panowała niezręczna cisza. W każdym razie miałam nadzieję, że dla Monka cisza jest niezręczna. Byłam na niego zła i zależało mi, aby o tym wiedział.

Do naszego stolika podeszła Crystal DeRosso i postawiła przed nami duży, okrągły, niepokrojony jabłecznik.

- Na koszt firmy - oznajmiła. - Niech to będzie mały symbol mojej wdzięczności za rozwiązanie zagadki napadu na Złoty Ekspres, choć nie powiem, żebym czuła się ucieszona odkryciem, że mój ojciec również należał do gangu.

- Nie ma powodu do wstydu. Pani nie miała z tym nic wspólnego - uspokoił ją Monk.

- Ale głupio mi, że przez tyle lat go broniłam.

- Tak robiłaby każda córka - powiedziałam. -

Kochała pani ojca. To oczywiste, że broniła jego imienia.

- Podobnie jak broniło go całe miasto. Z tym też nie czuję się najlepiej.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - stwierdziłam. - Gdy rozniesie się wiadomość o odkryciu złota, miasteczko znowu przeżyje okres prosperity. Jestem pewna, że do jutrzejszego wieczoru pojawią się tu dziennikarze wszystkich stacji telewizyjnych. Opały znowu staną się turystyczną atrakcją.

- Jeśli ma pani rację, to nasze miasteczko po raz drugi ożyje dzięki napadowi na pociąg - powiedziała Crystal. - To mimo wszystko zasmucające.

Jej uwaga przypomniała mi, że powinniśmy za telefonować do Jake'a Slocuma, aby opowiedzieć mu, jak się zakończyła cała historia. Kiedy cała sprawa ujrzy światło dzienne i ludzie dowiedzą się, że jeden z uczestników napadu jeszcze żyje, Slocum najpewniej będzie miał swoje pięć minut. To powinno mu się spodobać.

- Po prostu musicie znaleźć sposób na to, żeby co pięćdziesiąt lat rabować pociąg - poradziłam.

- Lepiej nie podsuwaj takich pomysłów - powiedział Monk. - Teraz, kiedy się okazało, że lokomotywa jest warta fortunę, muzeum będzie musiało poważnie zainwestować w środki bezpieczeństwa. Złoto stanie się łakomym kąskiem dla złodziei.

- Jakim cudem ktoś mógłby wykraść kocioł z lokomotywy? - zapytała Crystal. - Przecież waży tonę albo więcej.

Monk tylko wzruszył ramionami.

- Nigdy nie należy nie doceniać przebiegłości zło dziejskiego umysłu.

- Ma pan słuszość. Być może za pięćdziesiąt lat kocioł będzie można wyteleportować z lokomotywy.

- Wyteleportować? - zapytał zdziwiony Monk. - Co to znaczy?

- No, wie pan, *Beam me up Scotty* - powiedziałam. — Chodzi o teleportujący promień.

Monk wpatrywał się we mnie, wciąż nic nie rozumiejąc.

- To z filmu *Star Trek*, panie Monk - wyjaśniła Crystal.

- Powinien pan wreszcie poznać naszą rodzimą kulturę, panie Monk — stwierdziłam. - Jest bardzo wesoła.

Crystal uśmiechnęła się i poszła obsługiwać innych gości, zostawiając nas samych. Powoli gryzłam frytkę po frytce.

- To miło z jej strony, że nie pokroiła jabłecznika - odezwał się w końcu Monk. - Ale teraz mamy kłopot. Nie wiem, jak uda nam się precyzyjnie pokroić nasz deser. Mam nadzieję, że będzie to dla ciebie nauczką na przyszłość, aby nigdy nie wychodzić z domu bez kompasu, sznurka, ekierki i poziomnicy.

- Dla mnie?

- Tak, dla ciebie.

- Dlaczego dla mnie?

- Ponieważ jesteś moją zaufaną asystentką i twoim obowiązkiem jest pomóc mi się przygotować na każdą sytuację.

- Zaufaną? - Odłożyłam frytkę i wbiłam w Monka tak zimne spojrzenie, że odchylił się odruchowo do tyłu. - Gdyby mi pan tak ufał, nie zatajałby pan przede mną informacji i nie okłamywał.

- Już raz przez to przechodziliśmy - skrzywił się. - Pod lufą pistoletu.

- Nie przez wszystko - oświadczyłam. - Nie jestem aż tak otumaniona lekarsstwami, żeby nie zauważyć, jak mnie pan wykorzystał.

- Otrzymujesz za to wynagrodzenie.

- Nie za to, żeby mnie wykorzystywać w taki sposób. Wiedział pan, że będę pana szukać i przyprawdę Keltona.

- Skąd taki pomysł?

- Bo w przeciwnym razie aresztowałby pan Boba Gormana w chwili, gdy zaczął wydrapywać z kotła złoto. Ale nie zrobił pan tego. Czekał pan na mnie i Keltona.

Monk uciekał wzrokiem.

- Nie wiem, jak ci to mogło przyjść do głowy - mruknął.

- Sam mi to pan powiedział w muzeum. Mówił pan, że policja otoczyła muzeum p o tym, jak Kelton wszedł do środka — przypominałam mu. - Policjanci nie czekali na niego, gdyby się go nie spodziewali.

- Ach, stąd ci to przyszło do głowy - powiedział Monk.

- Moją troskę o pana wykorzystał pan do tego, aby zwabić w pułapkę Keltona.

- Wykorzystałem też fakt, że wpadł ci w oko - dodał Monk.

- Nie wpadł mi w oko - zaprotestowałam, ale wypadło to bardzo mizernie. - Niech się pan nie waży zmieniać tematu i stawiać mnie w pozycji obronnej. To pan jest mi winien wyjaśnienia, a nie ja panu.

- Ani przez chwilę nic ci nie groziło - zapewnił Monk. - Policja stanowa miała cię na oku od chwili, gdy wyszłaś z motelu.

- Nie w tym rzecz, panie Monk. Pan mnie oszukał, okłamał i wykorzystał. Tak pan rozumie zaufanie?

- Komendant Kelton zamordował trzy osoby. Musiałem go powstrzymać dla wyższego dobra i przywrócenia równowagi, nawet jeśli miałyby to oznaczać dla ciebie małe poirytowanie - tłumaczył.

- Niech mi pan spojrzysz w oczy, panie Monk. Ratując panu życie, zwichnęłam sobie dzisiaj ramię, zdarłam paznokcie i poraniłam kolana do krwi. Ale nic mnie tak nie boli jak to, że zawiódł pan moje zaufanie.

Monk sięgnął do kieszeni, wyjął opakowanie chusteczek Wet Ones i położył je na stole.

- To nie pomoże, panie Monk.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Jak pan myśli?

- Nie stać mnie na podwyższenie ci pensji.

Rzuciłam mu frytką w twarz. Myślę, że gdybym zniecka wylała mu na głowę kubel lodowatej wody, wcale by się bardziej nie wystraszył.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał cienkim głosem.

Rzuciłam w niego następną frytką.

- Ile wzięłaś tych pigułek? - krzyknął przestraszony.

Tym razem rzuciłam w niego dwiema frytkami, żeby dostał chociaż jedną, gdyby próbował się uchylić.

- Dobrze już, dobrze. - Podniósł ręce w geście poddania. - Przepraszam. Nie powinienem był tak ciebie wykorzystywać.

Wzięłam w palce jeszcze jedną frytkę i przygotowałam się do rzutu.

- I obiecuję, że już tak nigdy nie postąpię. Popeliłem błąd, duży, duży błąd.

Odłożyłam frytkę, a on odetchnął z ulgą.

- To był dopiero początek - powiedziałam.

Do restauracji weszli Stottlemeyer z Disherem i podeszli do naszego stolika.

- Czy mnie wzrok mylił, czy rzeczywiście przed chwilą rzuciłaś w Monka frytkami? - zapytał kapitan.

- Nie mylił pana wzrok.

- Dlaczego? - zapytał Disher.

- Żeby zyskać odrobinę szacunku.

- Dla tego widoku warto było jechać na te bezdroża - stwierdził Stottlemeyer.

Monk wyszedł z boksu.

- Przepraszam. Muszę wyjść.

- Dlaczego? - zapytał Disher.

- Spójrz na mnie, cały ociekam tłuszczem - odpowiedział Monk. - Ślepy jesteś? Co z ciebie za detektyw?

Odszedł rozdrażniony. Stottlemeyer i Disher odprowadzili go wzrokiem, potem usiedli naprzeciwko mnie na zwolnionej przez Monka ławce.

- Ulżyło? - zapytał kapitan Stottlemeyer.

- Trochę. Zajmie to jeszcze trochę czasu.

- Kiedy Monk zadzwonił dziś do mnie i przedstawił swój plan, ostrzegałem go, że będziesz wściekła. Ale uznał, że schwytywanie Keltona jest ważniejsze niż twoje emocje.

- Co pan mu powiedział?

- Powiedziałem mu, że dobrze rozumiem jego uczucia

- odparł kapitan. -I że prawdopodobnie właśnie dlatego odeszła ode mnie żona i od tamtego czasu nie przeżyłem już ani jednego szczęśliwego związku z kobietą.

- Zaraz, była ta agentka nieruchomości, Linda Fusco - przypomniał mu porucznik Disher, zjadając leżącą na stole frytkę. - Sprawy przecież miały się jak najlepiej.

- Dopóki nie została aresztowana za morderstwo.
- To nie pańska wina, kapitanie - pocieszył go Disher. - Wyrwał pan do końca związku.
- Może moje związki z kobietami nie przedstawiają się najlepiej, ale za to związki z morderczyniami przychodzą mi bez kłopotu - podsumował kapitan.

Disher pokiwał głową.

- Bardzo dobrze. Trzeba pozytywnie patrzeć w przyszłość. To klucz do wszystkiego.
- Dzięki ci, Randy, za wnikliwe uwagi i wsparcie.
- Nie ma za co. — Disher spojrzał na mnie, kiwając głową w kierunku jabłecznika. - Sama to wszystko zjesz?
- Zamierzałam się podzielić z przyjaciółmi - odpowiedziałam z uśmiechem. — A oni właśnie usiedli przy stole.

Monk byłby w szoku, widząc, jak jemy jabłecznik. Nawet nie chciało nam się kroić go na kawałki. Zajadaliśmy go widelczykami prosto z dużego talerza, delectując się smakiem. Monk uznałby takie zachowanie za niecywilizowane, niehigieniczne, niezrównoważone i prawdopodobnie niemoralne.

W czasie jedzenia opowiedziałam Stottlemeyerowi i Disherowi o naszych przygodach w Opałach, o tym, jak się one zazębiły z przejściami Artemisa Monka, co ostatecznie doprowadziło Adriana Monka do rozwikłania sprawy trzech morderstw oraz zagadki napadu na pociąg sprzed pięćdziesięciu lat.

- Wydaje się, jakby było dwóch Monków - powiedział Disher. - Jeden nasz i drugi, bliźniaczko do niego podobny, żyjący w równoległym świecie Dzikiego Zachodu.

- Nic z tych rzeczy — powiedział Stottlemeyer. -

Artemis Monk rzeczywiście żył sto pięćdziesiąt lat temu.

- A jeśli przeszłość i teraźniejszość nie następują po sobie? Może koegzystują? - dywagował Disher.

- Nie koegzystują- odparł Stottlemeyer. - Teraźniejszość nie mogłaby istnieć bez przeszłości. Teraźniejszość jest rezultatem wydarzeń z przeszłości.

- A jeśli pan się myli, kapitanie? - upierał się Disher.

- Nie myślę się.

Była to konwersacja z rodzaju tych, jakie mogłam kiedyś toczyć po wypaleniu marihuany na studenckiej imprezie. Tym razem nie byliśmy naćpani, choć niewątpliwie mieliśmy we krwi nadmiar cukru.

- A jeśli to miasteczko znajduje się w rozpadlinie między dwoma wymiarami, jak Sunnysdale i Hellmouth?

- Jakie Sunnysdale? - zapytał Stottlemeyer.

W tej chwili cała nasza trójka skrzyżowała nad jabłecznikiem widelce, niczym szable, w szermierczej potyczce o ostatnie smakowite okruchy ciasta.

- To takie miasteczko w Kalifornii, w którym mieszka Buffy, postrach wampirów - wyjaśnił Disher. - Być może Opały są dla Monka takim piekielnym Hellmouth.

- Monk ma piekielne Hellmouth wszędzie, gdzie się pojawi.

- Co się stało z Artemisem Monkiem i jego asystentką? - zapytał zniecierpliwiony kapitan.

- Nie wiem.

- Na twoim miejscu nie wyjeżdżałbym z miasta bez poznania odpowiedzi na to pytanie - powiedział Stottlemeyer.

- Wyjeżdżamy jutro rano bez względu na wszyst-

ko - odparłam, siadając prosto i odkładając widelczyk.

Najadłam się do syta, a talerz był pusty.

- Nie powinnaś przedtem oddać pamiętnika? - zasugerował Disher. Wziął talerz do ręki i zebrał ostatnie okruchy poślinionym palcem.

- Oczywiście - powiedziałam. - Zatrzymamy się tylko na chwilę, oddam pamiętnik pani Thurlo i biegiem wrócę.

- Nie jesteś w zbyt dobrej formie na bieganie - stwierdził Disher.

- Rozmowa z miejscowym historykiem może być bardzo interesująca - zaciekał się Stottlemeyer.

- Kto mówi, że mam zamiar z nią rozmawiać?

- Chyba się z tobą zabiorę - stwierdził kapitan.

- Ja też - powiedział Disher, odstawiając talerz.

- Ty musisz. Będziesz prowadził.

- Właśnie, skoro o tym mowa - wtrącił Stottlemeyer. - Cała ta historia, z jakim poświęceniem wyciągnęłaś Monka, jest po prostu niesamowita. Twarda z ciebie kobieta.

- Nie czuję się twarda.

- Ale tak wyglądasz - zapewnił mnie Disher.

- Przyjmę to jako komplement, Randy.

- Wciąż nurtuje mnie jedno pytanie - powiedział porucznik. - Jak włożyłaś z powrotem spodnie, mając zwichnięte ramię i poranioną dłoń drugiej ręki.

- Lepiej o tym nie mówmy.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się wyrzucić z głowy ten obraz, jak leżysz tam w samej bieleźnie - powiedział Disher.

Wzięłam do ręki szklanekę wody z lodem i chlusiłam mu w twarz.

- Pomogło?

Crystal spojrzała na mnie surowo zza baru. Ci-
skałam wokół siebie więcej jedzenia i picia niż trzy-
latak w napadzie złości, a wyglądem przypominałam
bezdonną ćpunkę i pijaczkę. Wątpię, abym w najbliż-
szej przyszłości była mile widzianym gościem w Do-
rothy's Chuckwagon, bez względu na to, ile wdzięcz-
ności żywi Crystal do Monka za rozwikłanie sprawy
napadu na Złoty Ekspres.

- Pomogło... - odpowiedział Disher, ocierając twarz
serwetką. - Dzięki.

Stottlemeyer uśmiechnął się radośnie.

- Tak się cieszę, że przyjechałem do Opał.

Detektyw Monk porządkuje świat

Wróciłam do mojego motelowego pokoju, który Monk wysprzątał specjalnie dla mnie, kiedy siedziałam jeszcze w restauracji. Jestem pewna, że zrobił to, próbując się zrehabilitować, ale w tej kwestii, jeśli o mnie chodzi, czekała go jeszcze długa droga.

Pałam na łóżko, nawet już nie trudząc się zdejmowaniem cuchnącej, szpitalnej koszuli, i natychmiast zasnęłam.

Ale spałam niespokojnie, gdyż dokuczały mi moje liczne kontuzje, i obudziłam się już o siódmej, zeszytniała i obolała, z potwornym bólem głowy od cukrowego kaca.

Aby uśmierzyć ból i wyciszyć szum w głowie, połknęłam szybko pigułki, popiłam je kilkoma łykami Summit Creek i zagryzłam paroma płatkami Wheat Thins.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak okropnie pachnę i jak klei się moja skóra. Musiałam wziąć prysznic, jednak z niechęcią myślałam o czekających mnie męczarniach i bólu, jakie wiązały się z próbą realizacji tego zamiaru. Ale cóż, nie trzeba było być wrażliwym jak Monk, aby zauważyć, że wyglądam odpychająco, a pachnę wręcz ohydnie. Sama nie mogłam znieść siebie obok siebie.

Przygotowałam się więc wewnątrz na próbę

ognia, powoli usiadłam na łóżku i ruszyłam do łazienki, by zrobić to, co trzeba było zrobić.

Nie będę was zanudzała szczegółami, powiem tylko, że kąpiel, wytarcie się i ubranie wiązały się z najrozmaitszymi trudnościami i niezwykłymi niedogodnościami, którym towarzyszyły bolesciwe grymasy twarzy i głośnie, wulgarne przekleństwa.

Kiedy o dziewiątej trzydzieści wyszłam w końcu z pokoju, zobaczyłam, że Monk, Stottlemeyer i Disher czekają na mnie cierpliwie w holu. Disher był nawet tak uprzejmy, że wrócił do pokoju, przyniósł moją walizkę i włożył ją do bagażnika. Domyślałam się, że on również próbował się zrehabilitować.

Wspólnie zdecydowaliśmy, że zrezygnujemy ze śniadania w Opałach, za to w drodze zatrzymamy się na lunch. Im prędzej wyjedziemy z Opał, tym lepiej, przynajmniej jeśli chodziło o mnie i Monka.

Wsiadliśmy do mojego samochodu. Monk nalegał, aby ze względów bezpieczeństwa mógł pojechać z kapitanem Stottlemeyerem. Uważał, że trzy osoby w jednym samochodzie to zbyt duże ryzyko i byłoby znacznie lepiej, gdyby w każdym samochodzie były dwie osoby. Spodziewałam się tego, ale domyślałam się również, że obawiał się kolejnej polajanki z mojej strony.

Przed wyjazdem zatrzymaliśmy się w siedzibie towarzystwa historycznego, aby oddać pamiątki Abigail Guthrie.

Doris Thurlo bardzo się ucieszyła na nasz widok. Oczywiście dotarła już do niej wieść, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru. Nie umknęły też jej uwagi analogie między śledztwem Monka a sprawami rozwiązanymi niegdyś przez Artemisa Monka.

Tak samo zresztą jak podobieństwa między mną, Stottlemeyerem i Disherem a postaciami z życia Artemisa Monka.

- To tak jakby przywrócono równowagę między przeszłością a terażniejszością- mówiła zachwycona.

- Niemal idealna symetria.

- Podoba mi się takie podejście. Wydaje się na wskroś słuszne — stwierdził Monk.

- Też mi niespodzianka - rzucił Stottlemeyer.

- Ktoś inny powiedziałby, że to przeznaczenie - dodała Doris.

- Wie pani, co się potem działo z Artemisem Monkiem i Abigail Guthrie? - zapytał Stottlemeyer, oglądając z uwagą wiszące na ścianie dagerotypy.

- Wiem trochę o latach pięćdziesiątych, a nawet sześćdziesiątych. Zachowało się jeszcze parę pamiętników Abigail Guthrie, w których opisuje ich przygody w tym okresie - odpowiedziała Doris. - Ale potem pamiętniki nagle się urywają, w czym zresztą nie ma nic dziwnego.

- Dlaczego? - zapytał Disher.

- Skończyła się gorączka złota, więc większość poszukiwaczy i górników wyruszyła próbować szczęścia gdzie indziej, w Nevadzie i na Alasce. Poza tym wydobycie złota stawało się coraz trudniejsze i droższe. Większość osad z czasów gorączki złota poupadła i wymarła. O mały włos Opały spotkałby taki sam los. Tak więc Artemis Monk nie miał już wiele roboty jako probierca, a przecież z tego żył. Rozwiązywanie zagadek kryminalnych traktował raczej jako hobby.

- Cóż, to bardzo ciekawe, co pani mówi. Dziękujemy serdecznie i do zobaczenia - powiedział Monk i ruszył w kierunku drzwi.

- Dlatego po ślubie przeprowadzili się do San Francisco - dokończyła Doris.

Monk stanął jak wryty.

- Monk ożenił się ze swoją asystentką? - zapytał najwyraźniej rozbawiony Disher.

Również Stottlemeyer nie krył wesołości, ale mnie nie było do śmiechu.

- Tak mówią - rzekła Doris.

- Tak mówią? - Stottlemeyer wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Nie mam niestety aktu ślubu ani żadnego dokumentu, który by to potwierdzał - ciągnęła Doris. - Ale to fakt powszechnie znany. O ile wiem, w różnych innych świadectwach tamtego okresu znajdują się wzmianki o asystentce Artemisa Monka, Abigail Monk.

Kapitan Stottlemeyer odwrócił się do Monka, który stał w bezruchu, unikając spojrzeń. Podzielałam jego uczucia.

- Wiesz już, co powinieneś zrobić, jeśli rzeczywiście chcesz zachować fundamentalną równowagę między przeszłością i teraźniejszością - rzekł kapitan.

Żałowałam, że nie mam pod ręką frytek albo szklanki wody z lodem czy kremowego tortu, którym mogłabym cisnąć w Stottlemeyera. Ale nie miałam. Mogłam najwyżej rzucić najbardziej mordercze spojrzenie, na jakie było mnie stać, z którym wyglądałam tak, jakbym na dodatek miała zaparcie, co jeszcze bardziej rozbawiło kapitana.

Nawet Doris uśmiechała się jak idiotka.

- To się absolutnie nie mieści w granicach sfery hipotetycznych możliwości - stwierdził Monk.

- Zgadza się - przytaknęłam.

- Jestem pewna, że Abigail Guthrie myślała podobnie - powiedziała Doris. - Ale miłość nie zna granic.

- W takim razie będzie musiała je poznać. - Ruszyłam do drzwi, które Monk przede mną otworzył.

Wyszliśmy na ulicę.

- Przeszłość to przeszłość - stwierdziłam. - Z nami nie ma nic wspólnego.

- Zresztą nie ma dowodu, że Artemis i jego asystentka wzięli ślub - powiedział Monk. - To skandaliczne pogłoski.

- Ponieważ nic takiego nie miało miejsca - oznajmiłam.

- Nie mogło mieć miejsca - dodał Monk.

- Dlaczego?

- Ponieważ naruszyłoby to idealną równowagę.

- Jaką idealną równowagę?

- Tę, która istniała między nimi. I która istnieje między nami. Nie zrobiłbym nic, aby ją zepsuć.

Zatrzymałam się przy samochodzie.

- Dlaczego, panie Monk?

- Ponieważ zbyt wiele dla mnie znaczy.

Wyciągnęłam zdrowe ramię i przytuliłam go. Ku mojemu zaskoczeniu nie zeszywniał ani się nie opierał. Nawet delikatnie poklepał mnie po plecach.

W tym momencie Stottlemeyer i Disher wyszli z budynku towarzystwa historycznego. Disher zaczął nucić marsz weselny. Obiecałam sobie w duchu, że mi za to słono zapłaci. Nie wiedziałam jeszcze, w jaki sposób, ale byłam pewna, że coś wymyślę.

- Czy Monk wydusił już z siebie sakramentalne pytanie? - zapytał kapitan.

- Jeszcze trochę, a zaraz ja z pana coś wyduszę -

warknęłam i odwróciłam się do Monka. - Wszystko już panu wybaczyłam, panie Monk.

- Dziękuję, Natalie - powiedział z wyraźną ulgą.
- Ale na resztę tygodnia biorę wolne. Może nawet na następny tydzień.
- Dlaczego?
- Ponieważ mam zwichnięty staw i poranioną rękę - odpowiedziałam, starając się nie irytować i nie psuć słodkiej chwili, którą właśnie przeżyliśmy.
- Muszę się zregenerować.
- Możesz się regenerować przy mnie - zapewnił Monk. - Potrzebny ci będzie ktoś, kto się o ciebie zatroszczy.

Bardzo mnie to ujęło.

- Naprawdę byłby pan gotów?
- Do pewnego stopnia
- Co pan ma na myśli?
- Jeśli czegoś nie będziesz mogła dla mnie zrobić, zrobię to sam.
- A jeśli czegoś nie będę mogła zrobić dla siebie?
- Po prostu nie będziesz tego robić. I po problemie.
- To nie będzie takie proste, panie Monk.

Stottlemeyer odwrócił się do Dishera.

- Czy ty ich słyszysz? Przecież oni już rozmawiają jak stare dobre małżeństwo.
- Zawsze tak ze sobą rozmawiali - przytaknął porucznik, podchodząc do mojego samochodu. - Pojadę pierwszy. Niech pan jedzie za nami.
- Nie - odpowiedział Stottlemeyer, podchodząc do swojego samochodu. - Będzie lepiej, jeśli ty pojedziesz za mną.
- Dlaczego? - zapytał Disher.

- Ponieważ ja jadę służbowym radiowozem, a ty nie. Jeśli trochę naciśnę na gaz, ty też będziesz mógł przyspieszyć.

- Tak samo będzie, jeśli pan będzie jechał za mną, a ja naciśnę na gaz - stwierdził Disher.

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego nie?

- Bo tak mówię. - Stottlemeyer wszedł do samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Zobaczymy - powiedział Disher, wszedł do samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Oni się zawsze kłócą. - Monk pokręcił głową z dezaprobatą. - Mogliby się od nas uczyć harmonijnej współpracy i wzajemnego szacunku.

- Na przykład czego? - zapytałam.

- Na przykład tego, że ja mam rację przez cały czas. A ty przez pozostałą resztę czasu.

- Chyba ma pan rację - westchnęłam.

- Wiem, że mam rację. - Monk wszedł do samochodu, wyraźnie ucieszony i przekonany, że znowu udało mu się uporządkować świat.

Może i tym razem miał rację.